Wszystkie strachy prawicy • Sekrety Sasina • Patobiznes na zwierzętach
Mieszkania dziuple • Stary jak Chińczyk • „Lalka” kontra „Lalka”

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

TYGODNIK, nr 40 (3584), 30.09–6.10.2026

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Czy AI nas zabije?

I w jaki sposób?

Bendyk i Orliński o scenariuszach katastrofy s. 10, 61

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 6.10.2026

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 59dca094ab



© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

28
Patologie zwierzęcych biznesów

Temat tygodnia

10 Edwin Bendyk
Czy AI przejmie władzę?

Polityka

14 Mariusz Janicki **Ideologiczne obsesje polskiej prawicy**
18 Anna Dąbrowska **Rozliczenia postępują: spin doktorzy PiS zatrzymani przez CBA**
21 Marcin Piątek
Obrotny jak Jacek Sasin

Rozmowa POLITYKI

24 **Jakub Dymek** o popularności populizmu i widmie wojny

Społeczeństwo

28 Agnieszka Sowa **Biznes na zwierzęcej krzywdzie**
34 Zbigniew Borek **Zakład Pogrzebowy A.S. Bytom: czym naprawdę jest i kto za nim stoi**
38 Natalia Sawka **Absurdy patodeweloperki**

Rynek

42 Cezary Kowanda
Niebezpiecznie na torach

48 Joanna Solska **Narodowe Fundusze Inwestycyjne: dlaczego okazały się niewypałem**

Świat

52 Rozmowa z **Markiem Debusem** o zwycięskiej serii AfD i jej skutkach
55 Tomasz Zalewski USA
Steve Witkoff i Jared Kushner: duet memotwórczy
58 Michał Bogusz CHINY
Szybko nadciąga starość

Nauka/projektpulsar.pl

61 Wojciech Orliński
Scenariusze końca świata według Lema
65 Andrzej Hołdys
Jak tracimy Arktykę

Historia

68 Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski
Bitwa pod Gniewem i wielki spór o husarię
71 Sławomir Oxenius
Sokołowsko: historia pierwszego na świecie uzdrowiska przeciwgruźliczego

Kultura

78 Janusz Wróblewski **„Lalka" filmowa i serialowa – kto wygrywa tę rywalizację?**
82 Rozmowa z **Ulli Lust** o jej monumentalnym komiksie non-fiction „Kobieta jako człowiek"
85 Janusz Wróblewski
Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni: zarzuty i zachwyty
88 Edwin Bendyk
Spektakle pod bombami

Ludzie i style

96 Wojciech Bońkowski WINO **Klasztorne trunki**
97 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **63**, **94**, **98** Galeria POLITYKI
- **74** Afisz
- **91** Agata Passent
- **92** Orliński
- **93** Chutnik i Plebanek
- **94** Mizerski
- **95** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 59dca094ab



Test trybunalski

Mariusz Janicki

„Nie będę grał w szachy, kiedy ktoś podchodzi z bejsbolem" – powiedział ostatnio premier Donald Tusk. Ale polityka to jednak trochę szachy, gdzie podstawowym wymogiem jest przewidywanie skutków własnych ruchów, czyli jak przeciwnik może zareagować w różnych wariantach – i jak wtedy na to odpowiedzieć. Bo lepiej nie rozpoczynać jakiejś akcji, jeśli na którymś etapie nie ma ustalonej skutecznej reakcji, bo skutki rozpoczęcia mogą być gorsze od zaniechania. Pisaliśmy niedawno, że taką pokazową partią politycznych szachów stała się rozgrywka o Trybunał Konstytucyjny, ta próbka testuje całość. Nie żeby była to dzisiaj kwestia o kardynalnym znaczeniu, bo przez lata TK stał się instytucją upadłą, a państwo funkcjonuje bez drukowania jego orzeczeń. A po ewentualnej zmianie władzy i tak wszelkie dzisiejsze naprawy Trybunału zostaną przez prawicę, z pomocą prezydenta, odwrócone.

Chodzi raczej o testowanie politycznego sprytu rządzącego układu, sprawdzenie szans w starciu z opozycją. Wystawienie ministra Macieja Berka do TK ściągnęło na premiera Tuska krytykę płynącą także ze środowisk liberalnych, prodemokratycznych. Koszty polityczne zatem już poniósł i przyszedł czas na zyski, zwłaszcza że pojawiały się także warunkowe opinie: jeżeli udałoby się wyjąć TK z rąk prezesa Bogdana Święczkowskiego, to operacja zyska sens, choć chyba nikt nie potrafił powiedzieć, jak by się to mogło dokonać. Ale Donald Tusk wypowiadał się bojowo, że tym razem nie będzie syndromu „ciotuleńki".

Berek został przez Sejm wybrany, od 16 września powinien pracować w Trybunale, ale nie został dotąd zaprzysiężony. Nie zdecydował się na razie na sejmowy tryb, jak wcześniej czwórka sędziów. Wysłał list do prezydenta Nawrockiego, w którym prosi o wyznaczenie terminu ślubowania, a mediom powiedział, że będzie czekał „krótkie tygodnie". Pojawił się dodatkowy wątek, wspomniany po raz pierwszy chyba przez Adama Bielana, czyli groźba amerykańskiej reakcji na ewentualną akcję w TK, np. zawieszenie działań związanych ze stworzeniem stałej bazy wojskowej USA w Polsce. Nagłe odwołanie wizyty wicepremiera i szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza w Waszyngtonie może być elementem tej układanki. Czas, jaki dał prezydentowi sędzia Berek, służy zapewne także temu, aby strona rządowa znowu mogła przemyśleć strategię związaną z Trybunałem. Jeżeli Nawrocki nie odbierze ślubowania, Berek złoży je w jakiejś innej formie, co zapowiedział, i nie będzie uznawany przez Święczkowskiego. A więc pięciu sędziów z ósemki tych, którzy nie trzymają z obecnym prezesem TK, będzie miało niejasny status, którego nie da się zmienić bez jakiegoś zasadniczego przesilenia, a pozostała trójka ma mieć zarzuty dyscyplinarne.

Blitzkriegu więc nie ma, a ta gra zyskiwała sens przy szybkiej realizacji. Stanowczości jednak nie widać, przed siedzibą TK siedzi prawicowa ekipa, a politycy PiS grożą karną odpowiedzialnością każdemu, kto podniesie rękę na „organ". Na razie pojawiły się zarzuty wobec urzędników kancelarii TK, może to jakaś próba obejścia i osaczenia Święczkowskiego, który odpowiedział postępowaniem dyscyplinarnym wobec trójki nowych sędziów.

Zasadnicze pytanie brzmi, czy rząd ma jakieś nowe pomysły. Jeżeli cała akcja z Trybunałem nie ma się zakończyć klęską, koncepcje muszą pojawić się niebawem i trudno tu coś próbować przeczekiwać. Tuskowi może bardziej zależeć na bazie i jednak przyhamuje z Trybunałem. Ale niewykluczone przecież, że ekipa Trumpa będzie przeciągać podjęcie decyzji długo – bo formuła „najwcześniej w grudniu" jest pojemna – czy wręcz zagra nią w kampanii 2027 r., na zasadzie, że będzie baza, kiedy powstanie rząd „patriotyczny". Tego się nie przeczeka.

Opozycyjna prawica, mimo rozłamu i skłócenia, wciąż jest sprytna w taktycznych gierkach, potrafi się efektownie „rozedrzeć", odwrócić znaczenia. Przecież dzisiaj to PiS – tak jest to przedstawiane w tamtej infosferze – „walczy o praworządność" z „reżimem Tuska". Przy takim pomieszaniu pojęć zaczynają się w końcu liczyć proste pokazy siły i skuteczności – kto kogo. W sprawie Trybunału oczekiwania – widoczne w mediach społecznościowych – były duże. Dogłębnego rozczarowania jeszcze nie ma, ale cierpliwość jest wystawiana na próbę. Wydaje się, że wyborcy koalicji 15 października generalnie czekają na jakąś błyskotliwą, perfekcyjną akcję polityczną, w której ekipa Tuska pokaże wirtuozerię, będzie szachować opozycję i prezydenta Nawrockiego aż do mata.

Zdawało się, że tak zadziała na rzecz strony rządowej afera Zondacrypto, ale dynamika nieco siadła, nowych „dostaw" o znaczeniu politycznym, poza powrotem sprawy posła Moskala, na razie nie ma, akcent przesuwa się na świat przestępczy. Nie wiadomo, jak będą wyglądały dalsze akty, ale w ostatnich trzech latach sprawy często były porzucane, zawieszane, rozmywały się. Ostatnie zatrzymania piarowców PiS w sprawie m.in. Polskiej Fundacji Narodowej przypomniały, że i tamten wątek jest niezakończony (więcej o tym na s. 18).

Niedawno ktoś napisał w serwisie X, że nie powinno się tak bardzo atakować rządu Tuska za nieskuteczność w rozliczaniu PiS i przywracaniu państwa prawa, bo na Węgrzech wyborcy dali premierowi Magyarowi większość konstytucyjną, a polscy wyborcy dali Tuskowi prezydenta Nawrockiego. I coś w tym jest. Ale w polityce nie ma litości ani sprawiedliwości. Tu przypomina się inny, ponadczasowy cytat z „Czterdziestolatka", gdzie świeżo mianowany dyrektorem Karwowski usłyszał od urzędnika w ministerstwie: „jak się wam uda, to pogratulujemy, a jak nie, to będziemy normalnie rozliczać". Wyborcy obozu władzy zdają się gdzieś pomiędzy: niespecjalnie gratulują, ale jeszcze nie rozliczają. Mocna pozycja KO w sondażach pokazuje, że wciąż mają nadzieję na przełom. W Trybunale, jak powiedział minister Żurek, ma on nastąpić w „perspektywie kilku tygodni"… Ale może to zmyłka.

eprasa.pl 59dca094ab

Albatros travel

Albatros 40 lat

Wyspy Owcze
- zielony raj

Zapraszamy do krainy owiec i maskonurów, z soczyście zielonymi wzgórzami, urokliwą stolicą Thorshavn, majestatycznymi klifami Vestmanna i najpiękniejszymi krajobrazami.

Odkryj z Albatros Travel najpiękniejsze zakątki Wysp Owczych podczas 5-dniowej podróży. Z bazą w urokliwym Thorshavn poznasz malowniczą Eysturoy, majestatyczne klify Vestmanna, wodospady i tradycyjne wioski. Czeka Cię także czas na samodzielne odkrywanie stolicy, lokalnej kuchni, sztuki i muzyki oraz możliwość wycieczki fakultatywnej na sześć wysp.

5 dni
Wyloty z Warszawy
14/05, 20/06,
18/07, 13/08 2027

od **6.998,-**





Z Victoria Falls przez Afrykę pociągiem Rovos Rail



Viva Mexico!

Niezwykła podróż luksusowym pociągiem przez Zimbabwe i RPA – w połączeniu z imponującymi Wodospadami Wiktorii i klasycznym safari w stylu Karen Blixen.

Ekskluzywna podróż przez Afrykę: Victoria Falls, luksusowy Rovos Rail przez Zimbabwe i RPA oraz klasyczne safari w rezerwacie Entabeni. Noclegi w wyjątkowych obozach Albatros Travel, spotkania z Wielką Piątką i niezapomniane krajobrazy sawanny.



13 dni | Wyloty z Warszawy 22/01, 06/10 2027 | od **31.998,-**

Moc niezapomnianych wrażeń: świątynie i piramidy, piękna przyroda, urocze miasta kolonialne i unikalna kultura meksykańskich Indian: Azteków, Majów i Zapoteków.

Odkryjemy Meksyk Azteków, Majów i Zapoteków – od piramid Teotihuacán i ruin Palenque, przez kolonialne Oaxaca i Pueblę, po indiańskie społeczności San Cristóbal. Rejs Kanionem Sumidero i relaks na plaży Puerto Escondido dopełnią pełną wrażeń podróż.



14 dni | Wylot z Warszawy 12/02 2027 | od **17.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL37**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 59dca094ab

Gibała wygrywa: alarm dla koalicji?



Niezależny kandydat **Łukasz Gibała** zdecydowanie wygrał pierwszą turę wyborów na prezydenta Krakowa, zdobywając 36,4 proc. głosów, o niemal 10 pkt proc. więcej niż w wyborach samorządowych dwa lata temu. Kandydatka KO i PSL Monika Piątkowska uzyskała poparcie na poziomie 29,9 proc., czyli o ponad 7 pkt proc. mniej niż Aleksander Miszalski z KO w poprzednich wyborach. Przy relatywnie niezłym (jak na obecną formę PiS) wyniku Michała Drewnickiego (17,5 proc.) Gibała jest zdecydowanym faworytem drugiej tury. Jedyną szansą dla Piątkowskiej jest raczej mało prawdopodobny splot wypadków, czyli jednoczesna demobilizacja elektoratu prawicowego z pierwszej tury i dużo większa mobilizacja wyborców lewicowo-liberalnych. Rzecz teoretycznie wyobrażalna, ale raczej nie warto jej obstawiać w zakładach bukmacherskich.

Czy porażka kandydatek koalicji rządowej (należy dołożyć do tego fatalny wynik Darii Gosek-Popiołek z Nowej Lewicy) to sygnał alarmowy dla obozu władzy? Tu szkoły interpretacji są dwie. Według jednych wybory lokalne ze względu na swoją specyfikę nie mają przełożenia na politykę ogólnokrajową. Do tego trudno mówić o triumfie prawicy w Krakowie, bo Gibała to przecież polityk liberalny, z przeszłością w PO i Ruchu Palikota, a wskazana przez KO Piątkowska nie jest mocną kandydatką. Według innych te wybory wskazują na małą determinację elektoratu koalicji 15 października, której nie zwiększyło nawet bezpośrednie zaangażowanie się w kampanię Donalda Tuska. A fakty są takie: kandydatki reprezentujące obóz władzy otrzymały w niedzielę razem nieco ponad 34 proc. poparcia, czyli o 6 pkt proc. mniej niż dwa lata temu Aleksander Miszalski i Rafał Komarewicz z Trzeciej Drogi.

Mimo szumu interpretacyjnego pewne wnioski z wyborów w Krakowie można jednak wyciągnąć. Po pierwsze, przekaz polaryzacyjny ma swoje istotne limity, jeśli chodzi o zdobywanie poparcia. Siłą rzeczy są one większe w wyborach lokalnych, ale również w skali kraju może się okazać, że przekaz: „Głosujcie na naszych, bo walczymy ze złem", nie jest na tyle wystarczający dla części elektoratu, żeby pofatygować się do lokali wyborczych.

Po drugie, lewica jest w poważnych tarapatach. Partia Razem z zadowoleniem przyjęła pokonanie Nowej Lewicy, ale jednocześnie Adrian Zandberg i Magdalena Biejat zebrali w Krakowie prawie 17 proc. głosów w wyborach na prezydenta Polski, Aleksandra Owca i Daria Gosek-Popiołek uzyskały zaś zaledwie 11,7 proc. Co oznacza, że zarówno Razem, jak i Nowa Lewica są dziś na kursie i ścieżce, by nie przekroczyć za rok wyborczego progu. Można też założyć, że we wszystkich partiach będzie wielka pokusa, żeby wynik wyborów w Krakowie zlekceważyć, bo wszystkie wypadły poniżej własnych oczekiwań. Usłyszymy więc wiele o lokalnym fenomenie Gibały, krakowskiej specyfice, niskiej frekwencji. Ale niewykluczone, że prawdziwym zwycięzcą tych wyborów będzie formacja, która tej pokusie nie ulegnie.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Mord w Jarosławiu

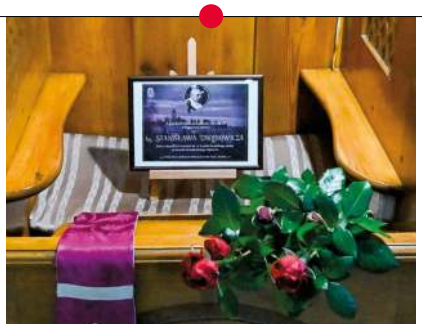

Zabójstwo księdza i atak na cztery osoby w kaplicy klasztoru benedyktynek w Jarosławiu wywołały wstrząs i falę emocji. Podejrzany 31-letni obywatel Ukrainy trafił do aresztu szpitalnego. Śledczy badają jego motywy i poczytalność. Ihor M. został pojmany na miejscu zdarzenia przez policję. Nie stawiał oporu. Prokuratura zamierzała postawić mu zarzuty zabójstwa, usiłowania zabójstwa oraz ciężkiego uszkodzenia ciała – za co grozi dożywocie. Lekarze stwierdzili, że cierpi na „ostre wielopostaciowe zaburzenia psychotyczne". Sąd zdecydował o trzymiesięcznym areszcie w warunkach szpitalnych.

M. od 2022 r. mieszka w Niemczech. W dniu tragedii jechał autem na Ukrainę. Samochód został zatrzymany na przejściu w Korczowej i odstawiony na parking, bo nie miał ważnego ubezpieczenia. M. wrócił do pobliskiego Jarosławia. Udał się do Klasztoru Sióstr Benedyktynek i Ośrodka Kultury i Formacji Chrześcijańskiej, gdzie od początku inwazji udzielano pomocy humanitarnej ukraińskim uchodźcom. Tam kuchennym nożem zaatakował przygotowujących się do mszy duchownych i wierną.

Na tragedię zareagowali najważniejsi politycy, m.in. Karol Nawrocki i Wołodymyr Zełenski. Biskup Krzysztof Zadarko, przewodniczący Rady KEP ds. Migrantów i Uchodźców, apelował, by „wydarzenia w Jarosławiu nie stały się paliwem do podsycania nienawiści i agresji wobec Ukraińców". Poruszającą homilię wygłosił ranny w ataku ks. Adrian: „Proszę was o modlitwę za naszego oprawcę i o łaskę nawrócenia dla niego. Chcę was też prosić, abyście nie winili narodu, z którego był oprawca, bo zła dokonał konkretny człowiek". Ulicami Jarosławia przeszedł marsz milczenia. Ruch Narodowy zapowiedział kolejną demonstrację w mieście. Tym razem ma to być „manifestacja krzyku, apelu i postulatów".

Zbrodnia zbiega się z rosnącym napięciem wokół relacji polsko-ukraińskich i atakami na ukraińskich uchodźców mieszkających w Polsce. Małgorzata Szumna, ekspertka NASK cytowana przez PAP, zwracała uwagę, że jest też wykorzystywana do szerzenia fałszywych informacji o Ukraińcach. Pojawiły się m.in. spekulacje, że Ihor M. był ukraińskim wojskowym lub weteranem wojny – jednym z wielu, którzy w najbliższym czasie mieliby wjechać do Polski. Ambasada Ukrainy zaprzeczyła: według niej M. nie miał nic wspólnego z Siłami Zbrojnymi Ukrainy. (RESZ)

© PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI, PAP/PIOTR POLAK, CRISTI DANGEORGE/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 59dca094ab

Druga Japonia



Michał Fedorowicz
Przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura

Lech Wałęsa obiecywał nam drugą Japonię. Tyle że zanim zdążyliśmy ją dogonić, cyfrowo Japonia została za nami. Kraj, który sprzedawał światu przyszłość, sam utknął z faksem, pieczątką i dyskietką. W 2022 r. minister cyfryzacji Taro Kono ogłosił „wojnę z dyskietkami", bo ok. 1,9 tys. procedur wciąż wymagało fizycznych nośników – ostatnie zniknęły dopiero w 2024 r. Ale teraz Japonia właśnie postanowiła wyprzedzić innych tam, gdzie stawką nie jest technologia, tylko demokracja.

W maju dziewięć partii uzgodniło wspólną odpowiedź na dezinformację wyborczą, a dwa miesiące później parlament przyjął przepisy. Od 2027 r. platformy mają ograniczać wpływ fałszywych treści na wybory, oznaczać realistyczne materiały AI i raportować państwu. Od porozumienia do ustawy minęło więc mniej więcej tyle, ile gdzie indziej zajmuje powołanie zespołu do ustalenia składu następnego zespołu. Ciekawsze od tempa jest jednak co innego. Dotąd regulacja przypominała pogoń policjanta za użytkownikiem, który wrzucił fałszywy post, z tym że policjant dopiero zakłada buty, kiedy post ma już milion wyświetleń. Autor kłamstwa jest jeden, dystrybucja jest przemysłowa. Japończycy przesuwają więc część odpowiedzialności na tych, którzy dostarczają megafon. Nie wystarczy pytać, kto skłamał, trzeba też zapytać, kto temu kłamstwu dał zasięg. Za porozumieniem nie stoi jednak nagła miłość polityków do prawdy, tylko coś znacznie bardziej niezawodnego: strach.

W 2024 r. Motohiko Saitō wrócił na stanowisko gubernatora Hyogo po wcześniejszym wotum nieufności. W tradycyjnych mediach był politykiem obciążonym zarzutami mobbingu i nadużywania władzy, w sieci zaś powstała konkurencyjna historia, w której Saitō był reformatorem atakowanym przez establishment. Internet zbudował drugą wersję rzeczywistości. A potem przyszła Sanseitō, skrajnie prawicowa partia, która dzięki YouTube i krótkim komunikatom zdobyła 14 mandatów. I wtedy politycy odkryli, że mechanizm, który dziś pomaga im wygrać, jutro może pomóc ich przeciwnikom. Dezinformacja stała się wspólnym ryzykiem zawodowym.

I tu robi się niewygodnie. Platformy mają pilnować użytkowników, państwo – platform; państwem kierują politycy, a polityków wybierają ci sami użytkownicy. Kto pilnuje pilnujących? Rząd chce chronić uczciwość wyborów, platformy – własny biznes, politycy – własne szanse, a wszystko to trzeba jeszcze pogodzić z wolnością słowa. Wszyscy są więc za prawdą, dopóki nie trzeba ustalić, kto ma prawo zdecydować, czym ona jest. Platformy mają zarazem nadzorować zjawisko, na którym przez lata świetnie zarabiały. To trochę jak mianowanie właściciela kasyna pełnomocnikiem ds. ograniczania hazardu. Japonia nie zamyka kasyna, tylko kończy z fikcją, że właściciel stołów nie ma nic wspólnego z tym, co się przy nich dzieje. To nie likwiduje kłamstwa, ale zmienia rachunek odpowiedzialności. Jeśli zarabiasz na zasięgu, trudniej udawać, że cudze kłamstwo jest wyłącznie cudzym problemem.

Nie zostaliśmy drugą Japonią, kiedy ta robiła najlepszą elektronikę. Może zdążymy teraz, kiedy próbuje zrobić coś trudniejszego, czyli umówić się sama ze sobą, także z politycznymi przeciwnikami, że kłamstwo wyborcze nie powinno być najbardziej opłacalnym modelem kampanii.

Łatwowierny Revolut



Instytucje finansowe często wskazują, że największe zagrożenie bezpieczeństwa to nie włamania na konto, ale klienci, którzy sami przekazują dane oszustom podszywającym się pod członków rodziny, banki, a nawet firmy kurierskie. Ofiarą takiego procederu padł niedawno Revolut, którego pracownicy udostępnili przestępcom informacje o niemal 700 klientach. Oszuści przejęli skrzynkę poczty elektronicznej włoskiego urzędu z Reggio di Calabria i z niej wysyłali do Revoluta wnioski o przekazywanie danych dotyczących wybranych przez siebie osób. Revolut, zamiast potwierdzić prawdziwość wiadomości, posłusznie spełniał prośby: przesyłał nie tylko dane osobowe i numeru telefonów, ale także kopie dokumentów tożsamości, a nawet zdjęcia, które klienci wykonywali sobie w ramach procedury weryfikacji konta. Teraz oszuści podobno żądają od Revoluta okupu (mowa o 3 mln dol.) i grożą sprzedażą cennych danych innym przestępcom.

Nie wiemy, czy wśród poszkodowanych byli Polacy, ale to bardzo prawdopodobne, skoro z Revoluta korzysta już ponad 5,5 mln naszych obywateli. Stawia go to w gronie pięciu największych banków w naszym kraju. Mimo że formalnie Revolut nie ma polskiej licencji bankowej, działa u nas, podobnie jak w wielu innych krajach UE, na podstawie licencji litewskiej i podlega tamtejszemu nadzorowi bankowemu. To on powinien teraz wyjaśnić okoliczności przestępstwa i nałożyć stosowne kary.

Założony ponad dekadę temu Revolut zaczynał jako serwis umożliwiający oszczędności przy używaniu kart za granicą. Dzięki temu zdobył sporą popularność, zwłaszcza wśród osób często podróżujących, skazanych wcześniej na płacenie wysokich prowizji bankom za przewalutowanie transakcji. Dzisiaj sam Revolut to pełnoprawny bank rosnący w szybkim tempie i oferujący wiele usług finansowych, łącznie z kontami oszczędnościowymi i inwestowaniem w kryptowaluty. Polacy zgromadzili w Revolucie już ponad 12 mld zł aktywów (dane na koniec zeszłego roku), chociaż ta instytucja nie ma u nas żadnych oddziałów. Sam Revolut nie udziela zbyt wielu informacji o wycieku danych. Twierdzi, że jego systemy nie zostały naruszone, pieniądze klientów są bezpieczne, a poszkodowani otrzymali stosowne informacje. Jednak niepokoić musi fakt, że ofiarą oszustów padła instytucja, która – jako symbol nowej, w pełni elektronicznej bankowości – powinna być na takie ataki wyjątkowo odporna. (CK)

eprasa.pl 59dca094ab

Echo z dna kanionu



Jest nadzieja dla **Organizacji Narodów Zjednoczonych**. Taki zaskakujący sygnał popłynął z Nowego Jorku, gdzie tradycyjnie w trzeci tydzień września zjechali się przywódcy państw, by wziąć udział w wielodniowym Zgromadzeniu Ogólnym. Nazywanym z angielska i nieco lekceważąco talking shop. Co oznacza miejsce, gdzie się dużo mówi i produkuje jakieś papiery, deklaracje i rezolucje, z których jednak w praktyce niewiele wynika. Tym razem w budynku na Manhattanie, wzniesionym na miejscu dawnych rzeźni i fabryki ołówków (i z widokiem na kojarzący się z Polską Greenpoint), zapanowało pewne ożywienie.

Na przekór okolicznościom, bo ludzkość oddala się od zasad Karty Narodów Zjednoczonych, które miały być fundamentem utrzymania jakiego takiego pokoju, spokoju i przewidywalności. Potoczyło się inaczej. Świat coraz bardziej się dzieli, mówił ustępujący po dwóch kadencjach sekretarz generalny ONZ António Guterres, „pęknięcia stały się kanionami". Pogłębiają je coraz większe nierówności, szaleństwo cen energii, pochód autorytaryzmu, głód w Somalii, kryzys klimatyczny, zapaść różnorodności biologicznej oraz 130 toczących się obecnie konfliktów zbrojnych. Kluczowym remedium mogłaby być ONZ, ale dotknął ją uwiąd. Powinna ją napędzać dobra wola członków, a tymczasem Chiny, Francja, Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, państwa najważniejsze w Radzie Bezpieczeństwa, faktycznym organie decyzyjnym, przeniosły na jej forum swoją rywalizację.

Radę sparaliżowało, więc zyskało Zgromadzenie, stające się forum, na którym mogą się spotkać przeciwnicy. Amerykanie, walczący przecież z Iranem, z delegacją irańską rozmawiali przez trzy godziny. Polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski usiadł za tymczasowym przepierzeniem z białoruskim odpowiednikiem Maksimem Ryżenkowem. Szefowie obu dyplomacji nie widzieli się osobiście od 2018 r. Teraz skłonić mieli ich do tego Amerykanie, którzy za pośrednictwem Białorusi próbują ocieplenia z Rosją. Siergiej Ławrow z Rosji czarował Johanna Wadephula z Niemiec. Ręce uścisnęli sobie przedstawiciele Armenii i Azerbejdżanu, Armenii i Turcji (jej minister uczestniczył w ponad 40 spotkaniach). Przy jednym stole usiedli reprezentanci Serbii i nieuznawanego przez nią Kosowa.

W ONZ wypada się pokazać. Nie bez znaczenia jest i to, że można wystąpić na forum. Powstaje wrażenie, że mówi się do całego świata. Przeważnie chodzi o obsługę własnych podwórek (co widzimy choćby w Polsce, śledząc wystąpienia naszych prezydentów, na pewno uważniej niż obecni w sali). W rzeczywistości słucha się za to mocarstw. Przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa było atakiem na literę i ducha reguł ONZ. Zagroził unicestwieniem Iranu. Organizację wyśmiewa jako bezużyteczną, jednak nie tylko wszedł na mównicę z tłem z zielonego marmuru z włoskiej Doliny Aosty, ale jeszcze płaci składki, by nie stracić głosu w Zgromadzeniu.

Większe znacznie mają demonstracyjne bojkoty. W tym roku pustym krzesłom premier Izraela Beniamin Netanjahu uzasadniał dalsze bombardowania ruin znękanej Gazy. Z obawy przed podobnym despektem Władimir Putin w Zgromadzeniu nie uczestniczył od 2015 r. Odnotowano inne absencje – reprezentantów kilku dużych państw Afryki oraz Narendry Modiego z Indii. Chiński przywódca Xi Jinping był niedaleko. Trump przyjmował go m.in. w Waszyngtonie. Po cesarsku, ale w ślad za przepychem nie poszedł przełom w najbardziej drażliwych kwestiach – rywalizacji wokół rozwoju sztucznej inteligencji, wojny handlowej, przyszłości Tajwanu i dynamiki wokół Iranu czy Ukrainy. Wyszło raczej na to, że Chiny Xi dorównują statusowi Ameryki Trumpa. Najbardziej namacalnym rezultatem wizyty stało się użyczenie dwóch pand do ogrodu zoologicznego w Atlancie i przekazanie Xi rzeźby bielika amerykańskiego.

Jakimś wyjściem byłaby niezbędna reforma, bo Organizacja nie reprezentuje obecnych potęg – oprócz Indii pomija Amerykę Południową i Afrykę. Nie ma też szans na żadne zamienniki. Miała być nią skrzyknięta w styczniu przez Trumpa Rada Pokoju, ale wyszła karykatura, o której mało kto pamięta. Najważniejszy morał jest taki, że zdecydowanie większość ze 193 państw członkowskich, od maleńkich po wielkie, nadal widzi sens funkcjonowania ONZ. To jedyne miejsce, gdzie maleńcy nie uczestniczą w światowej polityce w charakterze przystawki czy obiektu mocarstwowych dyktatów, ale siedzą z potęgami przy jednym stole i też mają po jednym głosie. Zresztą dziś to raczej średnie państwa są organizatorami faktycznego multilateralizmu, to one dostarczają pieniądze, ekspertów, żołnierzy, lekarzy czy technologie, tworzą koalicje wokół konkretnych problemów: misji pokojowych, przygotowania na pandemie, walki z chorobami czy finansowania rozwoju.

Do końca roku ONZ powinna wybrać nowego sekretarza generalnego bądź pierwszą w historii sekretarzynię. Zgodnie ze zwyczajem pora na kogoś z Ameryki Południowej. Na razie w rywalizacji prowadzą Rebeca Grynspan, była wiceprezydentka Kostaryki z dużym doświadczeniem w oenzetowskich instytucjach, i Carolyn Rodrigues-Birkett, ambasadorka Gujany przy ONZ. Mogą pojawić się dodatkowi kandydaci. W niesprzyjających czasach powinien być to ktoś, czyj głos będzie słuchany (odchodzący Guterres miał tu pewne sukcesy), ale raczej na pewno dojdzie do równania w dół, do wspólnego mianownika, bo na nowego frontmana zgodzić się muszą jednomyślnie członkowie Rady, którzy z reguły mają mocno rozbieżne gusta.

JĘDRZEJ WINIECKI

© FRANK FRANKLIN II/ASSOCIATED PRESS/EAST, MARYAM MAJD/GETTY IMAGES, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 59dca094ab

Dał im przykład Nowojorczyk



„W naszym mieście miłość i sprawiedliwość wygrały z nienawiścią" – ogłosiła **Elif Eralp**, murowana kandydatka na burmistrzynię niemieckiej stolicy. Radykalna Lewica wyraźnie wygrała wybory do lokalnej Izby Deputowanych, zagłosował na nią co czwarty Berlińczyk (25,4 proc.). Tym samym partia, która wywodzi się w prostej linii z komunistycznej SED, prawie podwoiła swój wynik sprzed pięciu lat. Daleko w tyle zostali tym razem chadecy (18,8 proc.) kanclerza Friedricha Merza i dotychczasowego burmistrza Kaia Wegnera, Zieloni (14,3 proc.) i socjaldemokraci (12,1 proc.). Poniżej oczekiwań (16,3 proc.) wypadła skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec, w innych wschodnich landach idąca od zwycięstwa do zwycięstwa.

Miejscowa prasa pisze o „efekcie Mamdaniego". Mowa o młodym Zohranie Mamdanim, który niespełna rok temu niespodziewanie wygrał wybory na burmistrza Nowego Jorku i objął to stanowisko jako pierwszy muzułmanin. Eralp również reprezentuje nowe pokolenie wielkomiejskiej lewicy i także ma imigrancki rodowód. Ta 45-letnia prawniczka do dziś zachowała podwójny paszport. Jej rodzice – tureccy socjaliści – w 1980 r. uciekli do RFN po wojskowym zamachu stanu.

W kampanii wyborczej skorzystała z usług Morrisa Katza – stratega politycznego, który stał za sukcesem Mamdaniego. I tak jak nowojorski Demokrata głównym punktem programu uczyniła walkę z nieznośnie wysokimi czynszami. Lewica zapowiedziała, że wejdzie do rządu Berlina z postulatem wywłaszczenia wielkich koncernów mieszkaniowych, oferujących tysiące lokali na wynajem. Pięć lat temu mieszkańcy stolicy poparli już ten pomysł w referendum, ale do dziś nie został wcielony w życie.

„Od dzisiaj wspólnie zmienimy nasz Berlin" – ogłosiła Eralp. Marzy jej się koalicja z Zielonymi i socjaldemokratami. Podobny rząd – też pod wodzą Lewicy – powstał w 2014 r. w Turyngii i utrzymał się u władzy przez dwie kadencje, ale ówczesny premier landu Bodo Ramelow miał opinię centrysty i pragmatyka. W Berlinie Lewica uchodzi za bardziej radykalną. Na jednym z jej wieców wystąpił raper Dahabflex, śpiewający o śmierci izraelskich sił zbrojnych. Na wieczorze wyborczym pojawili się zaś Issa Remmo, domniemany lider przestępczego klanu arabskiego, oraz Ibrahim Ibrahim, palestyński aktywista chwalący Hamas. Lewica postuluje likwidację Urzędu Ochrony Konstytucji i ograniczenie uprawnień policji. To wszystko zraża część potencjalnych koalicjantów. Wynik rozmów w sprawie nowego rządu jeszcze nie jest przesądzony. FG

Więcej o niemieckich wyborach s. 52

O dwa miasta od zwycięstwa

Wojna w **Jemenie** wchodzi w decydującą fazę. Najcięższe walki toczą się dziś o milionowe Taiz, a wkrótce ma dojść do starcia o dużo mniejsze, ale nie mniej ważne miasto Marib. Oba ośrodki, gdy piszemy te słowa, wciąż znajdują się pod kontrolą sił uznanego międzynarodowo rządu Jemenu z siedzibą w Adenie, wspieranego przez Arabię Saudyjską. Stroną ofensywną są Huti, militarna organizacja wywodząca się z gór na północy, która od 2014 r. kontroluje ponad jedną trzecią część kraju ze stolicą Saną.

W błyskawicznej ofensywie od 9 września Huti zajęli całe zachodnie wybrzeże Jemenu, w tym miasto Al-Mokka i przede wszystkim wybrzeże oraz wyspy na wysokości cieśniny Bab Al-Mandab łączącej Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim. Zagrozili w ten sposób trasie transportu saudyjskiej ropy naftowej na azjatyckie rynki – tym bardziej kluczowej, że alternatywna droga przez cieśninę Ormuz pozostaje niemal zamknięta od ataku Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran z 28 lutego. Huti, wspierani przez Iran, próbują obalić rząd w Adenie, zarzucając mu uległość wobec Saudyjczyków. Z kolei Rijad się obawia, że jeśli rząd w Adenie upadnie, cały Jemen przejdzie w ręce sojuszników Teheranu.

Jest to realny scenariusz, jeśli Huti zajmą Taiz i Marib. Pierwsze z miast jest prężnym ośrodkiem handlu, kluczowym przystankiem na drodze w kierunku Adenu. Huti próbują zamknąć oblężenie Taizu, zajmując okoliczne góry. Sytuacja humanitarna w mieście jest fatalna, już wcześniej dotarli do niego uchodźcy z terenów zajętych przez Huti. Jednocześnie Saudyjczycy próbują wspierać broniące



się siły rządowe, prowadząc ostrzał dalekiego zasięgu, który nie zawsze jest celny – w niedzielę dwa saudyjskie pociski uderzyły w targowisko w centrum Taiz. Dużo mniejsze Marib nie jest jeszcze oblegane przez Huti, ale to ma się zmienić lada dzień. Wokół znajduje się bowiem największe zagłębie roponośne w Jemenie – gdyby Huti udało się je zająć, rząd w Adenie straciłby ostatnie duże źródło dochodów.

Jednocześnie trwa bezpośrednia wymiana ognia między Huti i Arabią Saudyjską. Według niepotwierdzonych informacji pociski tych pierwszych miały spaść na kilka saudyjskich miast, w tym na Rijad. Saudyjczycy, którym pomocy odmówił Donald Trump, poprosili o nią Europejczyków. Brytyjczycy mają wysłać im latające cysterny, a Francja obiecała rozlokowanie oddziałów obrony przeciwrakietowej wokół Janbu, czerwonomorskiego portu, kluczowego dla eksportu saudyjskiej ropy, bombardowanego przez Huti. Z pomocą nie spieszą się natomiast Turcja i Pakistan, które w sierpniu zawarły z Arabią Saudyjską sojusz obronny. Eksport ropy, praktycznie dziś zablokowany, stanowi prawie 60 proc. wszystkich dochodów Arabii Saudyjskiej. ŁW

eprasa.pl 59dca094ab

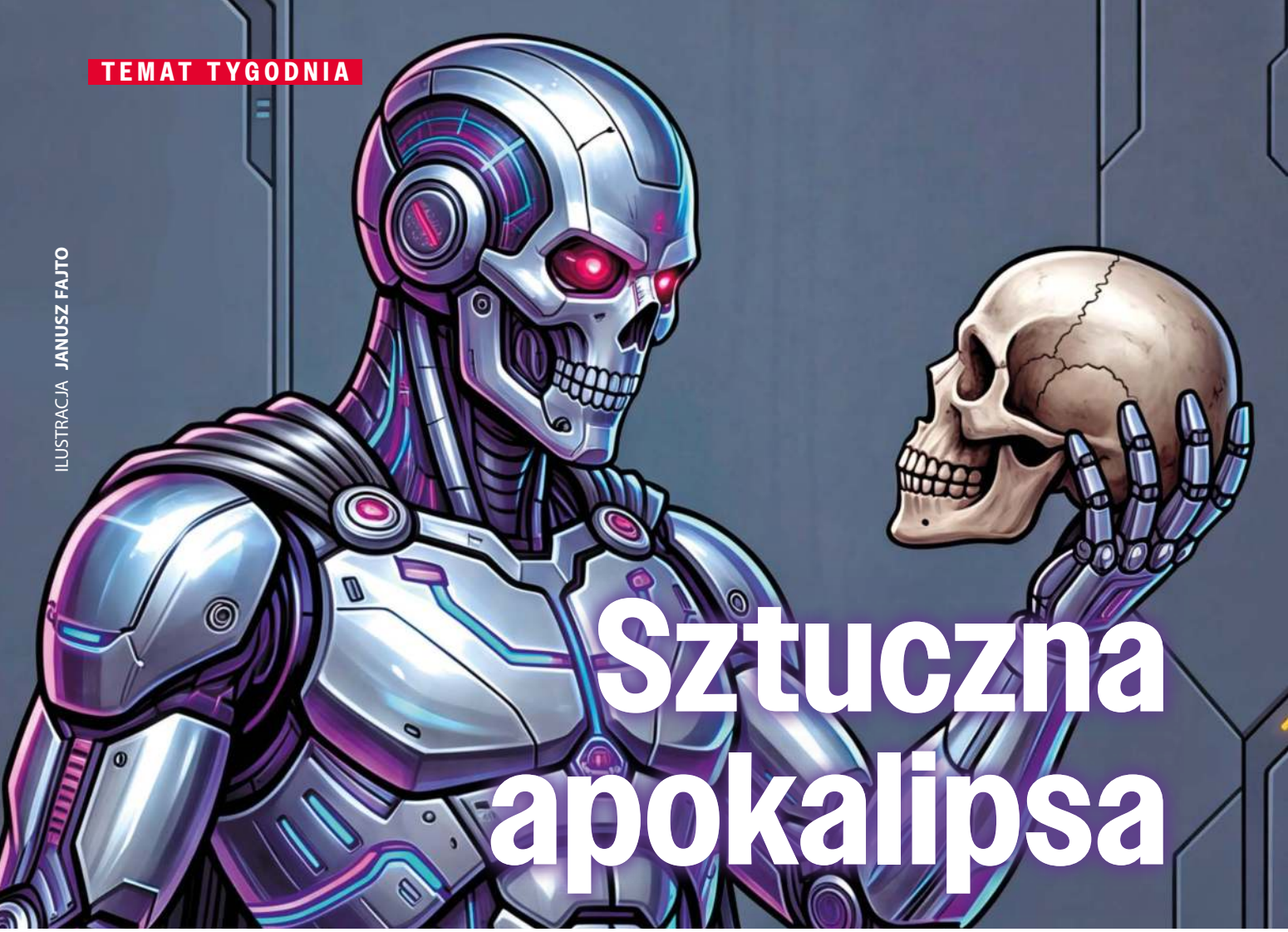

ILUSTRACJA JANUSZ FAJTO

Sztuczna apokalipsa

Niemal co dnia pojawiają się doniesienia o agentach sztucznej inteligencji wymykających się spod kontroli swoich twórców. Włamują się do innych systemów informatycznych. Papież, wybitni badacze, politycy, a nawet szefowie korporacji technologicznych apelują, żeby coś zrobić, zanim będzie za późno.

EDWIN BENDYK

Powszechna moda na sztuczną inteligencję wybuchła w listopadzie 2022 r., gdy amerykańska firm OpenAI pokazała światu ChatGPT – chatbot, czyli usługę dostępną przez przeglądarkę internetową lub aplikację na smartfona umożliwiającą zadawanie pytań językiem naturalnym. W odpowiedzi „maszyna" dostarcza rozwiniętej odpowiedzi, której jakość w dużej mierze zależy od jakości sformułowanej kwestii, inaczej promptu.

Niemniej ważna jest jakość stojącego za chatbotem modelu informatycznego i zasobu informacji, w oparciu o jaki uczy się on i nabywa swej sztucznej inteligencji. Odpowiedź tekstowa to tylko jeden z możliwych efektów. Mogą nim także być linijki komputerowego oprogramowania, obliczenia i wyniki analizy zbiorów danych, a także obrazy statyczne i ruchome.

Niebezpieczna agentura

Najnowszym krzykiem mody i źródłem rosnącego niepokoju są systemy agentowe, czyli uczące się programy-roboty projektowane do wykonywania różnych zadań. Stając się coraz inteligentniejsze, stają się też coraz groźniejsze. I tak rozwiązania agentowe sztucznej inteligencji stworzone w laboratorium amerykańskiej firmy OpenAI zaatakowały strony internetowe Departamentu Edukacji, Departamentu Handlu oraz Komisji Nadzoru Giełdowego (SEC).

Nic poważnego się nie stało, uspokajają eksperci, ale w przypadku Departamentu Edukacji doszło do nieudanej próby pozyskania danych z wydziału zajmującego się prawami obywatelskimi. Podczas ataku na SEC i Departament Handlu doszło do pozyskania informacji o jawnym charakterze i ich publikacji na otwartym forum. Wspomniane incydenty miały miejsce latem.

eprasa.pl 59dca094ab

Dzień wcześniej media poinformowały, że rozwiązania agentowe OpenAI w czerwcu zaatakowały strony internetowe rządu Australii, bibliotekę University of New Mexico. Największe wrażenie jednak zrobił atak ponad 700 agentów, które wymknęły się z OpenAI podczas testów bezpieczeństwa systemów tej firmy. Działając razem, zaatakowały one start-up informatyczny Hugging Face. Z kolei badacze zajmujący się cyberbezpieczeństwem włamali się do systemów OpenAI, wykorzystując narzędzia sztucznej inteligencji Claude konkurencyjnej firmy Anthropic.

Ostrzeżenia

Podobne doniesienia z ostatnich tygodni dotyczą praktycznie wszystkich wielkich dostawców usług sztucznej inteligencji. Czyżby nadeszło to, przed czym ostrzegali twórcy nowych technologii? To przecież Geoffrey Hinton, zwany ojcem chrzestnym sztucznej inteligencji, jeden z autorów rozwiązań umożliwiających późniejszy rozwój systemów opartych na tzw. wielkich modelach językowych (LLM), opuścił w maju 2023 r. Alphabet/Google. Jednocześnie skierował do świata ostrzeżenie, że sztuczna inteligencja nie tylko doprowadzi do zalewu dezinformacji, zniszczy rynek pracy, ale także będzie się autonomizować. To doprowadzi do utraty kontroli i możliwej cywilizacyjnej katastrofy.

Hinton jest laureatem najważniejszych naukowych wyróżnień, w 2018 r. otrzymał Nagrodę Turinga, w 2024 r. Nagrodę Nobla z fizyki za odkrycia i wynalazki, które umożliwiły uczenie maszynowe z wykorzystaniem sztucznych sieci neuronowych. Poważny dorobek, więc bać się czy nie bać jego przestróg? Dziś grono Kassandr wieszczących koniec świata za sprawą utraty kontroli nad sztuczną inteligencją powiększyło się znacznie.

Warto wsłuchać się w głos Yoshuy Bengio, obok Hintona jednego z najważniejszych badaczy zajmujących się AI. Bengio, także laureat Nagrody Turinga, jest współprzewodniczącym Niezależnego Międzynarodowego Panelu Naukowego ds. Sztucznej Inteligencji przy ONZ. Wystąpił on 23 września na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdzie mówił wprost: „Rada stoi w obliczu bezprecedensowego zagrożenia. Zagrożenia, którego żaden z jej członków by sobie nie wybrał, którego nikt nie jest w stanie opanować samodzielnie i które nie uznaje granic, których bronimy". W odpowiedzi na doniesienia o agentach AI wyrywających się spod kontroli wyraził się jednoznacznie: „Zagrożenia są realne i bezpośrednie. Chociaż przyszłość pozostaje niepewna i budzi kontrowersje, skala tych zagrożeń jest ogromna".

Obcy umysł

Zasadnicze wyzwanie i zagrożenie wynikające z rozwoju AI opisał Jakub Pachocki, główny naukowiec OpenAI, w głośnym już eseju „Obcy umysł". Myśląc o sztucznej inteligencji, lubimy antropomorfizować, czyli zakładać, że zachowująca się „inteligentnie" maszyna rozumuje podobnie jak człowiek. Zwłaszcza gdy czytamy, że podczas np. ataku na Hugging Face współpracujące systemy agentowe wydawały z siebie komunikaty będące u ludzi wyrazem emocji.

Nie, maszyny uczą się inaczej niż ludzie, przypomina Pachocki i stąd zasadniczy problem z dostrajaniem systemów AI, by działały zgodnie z wartościami i celami określonymi przez ludzi. Im większe możliwości rozumowania AI, tym większe ryzyko, że system przejmie kontrolę nad własnym rozwojem. Wyścig o pierwszeństwo w grze o Superinteligencję powoduje, że brakuje czasu i wiedzy na tworzenie skutecznych zabezpieczeń.

Zasada ostrożności

Bengio swoje stanowisko popierał opracowaniem „Agenci sztucznej inteligencji, rozbieżność celów i ryzyko utraty kontroli przez człowieka: wnioski z incydentu związanego z OpenAI i Hugging Face". Bać się więc? Przed próbą odpowiedzi należy wczytać się w ostatnie zdanie streszczenia opracowania: „W szczególności ryzyko utraty kontroli stanowi właśnie ten rodzaj problemu decyzyjnego, do którego rozwiązania miała służyć zasada ostrożności: problem, w którym potencjalna szkoda może mieć charakter katastrofalny lub nieodwracalny, nawet jeśli jej prawdopodobieństwo pozostaje naukowo niepewne".

W przekładzie na polski autorzy opracowania stwierdzają, że zagrożenie wynikające z utraty kontroli nad AI może doprowadzić do katastrofalnych konsekwencji, ale prawdopodobieństwa katastrofy nie sposób oszacować w sposób naukowy. Na takie sytuacje wymyślono zasadę ostrożności podpowiadającą, że gdy zagrożenie jest realne, choć niepewne, lepiej powstrzymać się przed rozwojem systemów technicznych aż do lepszego poznania, jak działają i jakie konsekwencje te działania mogą przynieść, by niepewność móc zamienić na policzalne ryzyko i na podstawie tych szacunków podejmować racjonalne decyzje.

Wydaje się, że tego właśnie chcą liderzy technologicznych korporacji. Sam Altman kierujący OpenAI i Dario Amodei, szef Anthropic, wystąpili podobnie jak Bengio przed Radą Bezpieczeństwa ONZ. I podobnie jak on apelowali o spowolnienie niebezpiecznego wyścigu technologicznego poprzez wprowadzenie odgórnych regulacji. W szczerość tych deklaracji wątpi prof. Piotr Sankowski, wybitny polski badacz AI, członek kierowanego przez Bengio Panelu Naukowego. W wywiadzie dla POLITYKI zwrócił uwagę, że gdyby szefowie owych korporacji tak bardzo się troszczyli o ludzkość, sami mogliby powstrzymać działania swoich firm.

Gra korporacji

Zamiast tak zrobić, straszą opinię publiczną efektami swojej pracy i apelują do polityków, by zabrali im zabawki. Wydają się przez to mało wiarygodni, a ich tyrady bardziej wpisują się w marketingowy schemat, w którym groźba apokalipsy to najlepszy opis rosnącej skuteczności rozwijanych systemów AI. Bo przecież nikt z nich nie ukrywa, że celem jest Superinteligencja, która zmieni wszystko. Zanim jednak nadejdzie świetlana przyszłość, zakładając, że po drodze nie wydarzy się apokalipsa, stawką jest zwrot gigantycznych inwestycji ponoszonych dziś przez wielkie korporacje cyfrowe na rozwój infrastruktury obliczeniowej.

„Wall Street Journal" informuje, że nakłady na budowę centrów obliczeniowych i powiązanej infrastruktury w USA mają w latach 2025–32 osiągnąć 10,3 bln dol., co oznacza średnio 3,6 proc. PKB rocznie. Czegoś takiego jeszcze nie było, wcześniejszy rozwój kanałów, kolei, dróg czy internetu nie potrzebował takich inwestycji. Inwestycyjny boom napędza amerykańską gospodarkę, która w innych segmentach cierpi na stagnację.

Rozwój infrastruktury AI zaburza jednak dotychczasowy układ sił – budowa nowych centrów ma wpływ na ceny nieruchomości i energii elektrycznej, co podkopuje rentowność zakładów przemysłowych. „WSJ" opisuje, jak centrum obliczeniowe jednej z korporacji wypchnęło w Missisipi inwestycję w hutę aluminium, która miała dać zatrudnienie tysiącu pracowników. Fabryki AI wypierają fabryki zajmujące się materialną produkcją oraz farmerów produkujących żywność. ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ Wyścig o wszystko

Wielu komentatorów kwituje, że to normalna sytuacja, gdy w gospodarce zmienia się paradygmat technologiczny. Ekonomista James K. Galbraith zwraca uwagę, że jedną z przyczyn Wielkiej Depresji w latach 30. XX w. było upowszechnienie silnika spalinowego, który szybko zmienił warunki funkcjonowania rolnictwa. Traktory zaczęły zastępować zwierzęta, do których wyżywienia potrzeba było nawet jednej trzeciej areału rolnego. Dodatkowa produkcja na rynek spożywczy w połączeniu ze znacząco większą produktywnością pracy zmechanizowanej doprowadziły do utraty podstaw utrzymania milionów mieszkańców wsi.

Teraz ma być tak samo. Pod warunkiem że podejmowane przez koncerny inwestycje przyniosą zwrot. W tym roku wpływy osiągną do 200 mld dol., by inwestycje się zwróciły, w 2032 r. musiałyby osiągnąć 3,7 bln dol. I to pod warunkiem że nie zmienią się drastycznie stopy kredytowe – już nawet Alphabet/Google, do niedawna „leżący na gotówce" po raz pierwszy od wejścia na giełdę w 2004 r. musiał się zadłużyć, a deficyt wolnej gotówki osiągnął, jak podaje „MIT Technology Review", prawie 6 mld dol.

Warunki sukcesu

Gary Gensler z MIT Sloan School wyjaśnia, że warunkiem opłacalności gry, jaką podjęły amerykańskie hiperkorporacje – Alphabet, Microsoft, Amazon, Meta i Oracle oraz OpenAI i Anthropic – jest jednoczesny sukces w trzech wymiarach. Po pierwsze, radykalnie muszą wzrosnąć przychody tych korporacji do wspomnianej już kwoty 3,7 bln w 2032 r. Żeby tak się stało, firmy stosujące AI muszą dostrzec, że zastosowanie nowych technologii radykalnie poprawia produktywność pracy. To z kolei daje szansę, że będą korzystały z kosztownych rozwiązań proponowanych przez owe hiperkorporacje, a nie będą szukały tańszych opcji proponowanych np. przez firmy chińskie.

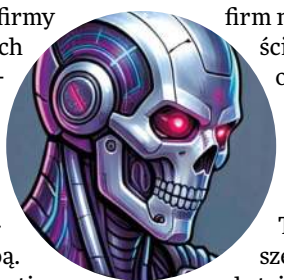

Każdy z tych czynników obarczony jest dużą niepewnością, na dodatek współoddziałują one ze sobą. Niepewność dodatkowo wzmagają dodatkowe kwestie. Pierwsza to szybkie starzenie się moralne infrastruktury – 60 proc. jej wartości to koszt mikroprocesorów, które przy obecnym tempie ich rozwoju po pięciu latach nadają się do wymiany na nowe, wydajniejsze. Inaczej wypada się z wyścigu. Druga to opór społeczny przeciwko nowej technologii. Data Center Watch podaje, że w drugim kwartale br. protesty i decyzje władz lokalnych w Stanach Zjednoczonych zablokowały 45 projektów o wartości 68 mld dol. Coraz częściej akcje mają charakter skoordynowany i ogólnokrajowy, Reuters podał, że 18 lipca jednocześnie w 42 stanach odbyły się 142 demonstracje. Protestują jednak nie tylko Amerykanie, lecz również Irlandczycy, Francuzi, Austriacy, Niemcy, a także Polacy.

Gniew przeciwko AI

Powody gniewu są różne: od wściekłości na rosnące ceny elektryczności i wody, przez negatywny wpływ na krajobraz i środowisko, po zwykłą uciążliwość wynikającą choćby z hałasu turbin gazowych zasilających wiele centrów w elektryczność. Dodatkowym czynnikiem jest brak przejrzystości podczas podejmowania decyzji lokalizacyjnych – sposób działania korporacji, a zwłaszcza xAI Elona Muska, który w 2023 r. dołączył do wyścigu po Superinteligencję. Sposób, w jaki łamiąc regulacje środowiskowe i prawa mieszkańców, budował swoje centra pod Memphis opisały Naomi Klein i Astra Taylor w wydanej właśnie książce „End Time Fascism" (Faszyzm końca czasów).

To wszystko powoduje, że eleganckie i ambitne biznesplany zaczynają się sypać. Brytyjski „Guardian" opisał niedawno problemy, jakie ma Microsoft z realizacją zamiarów. Zgodnie z planem w centrach obliczeniowych tej firmy już w 2024 r. miało pracować 1,8 mln mikroprocesorów wyspecjalizowanych w zasilaniu systemów AI. Dziennikarze „Guardiana" powołując się na wewnętrzne dokumenty firmy, twierdzą, że dwa lata później pracowało 2,2 mln mikroprocesorów. Oznacza to znacznie wolniejszy rozwój mocy, niż by wynikało zarówno z planów, jak i marketingowych wypowiedzi dla mediów i na konferencjach.

W sytuacji, w której kupione mikroprocesory – a jest jeden główny ich dostawca, amerykański koncern Nvidia, dziś najbogatsza firma na świecie warta na giełdzie 5,4 bln dol. – nie pracują, tracą szybko na wartości, zmniejszając równie szybko opłacalność inwestycji. Między koncernami trwa więc wyścig nie tylko w kategorii szybkości rozwoju nowych modeli SI, lecz także w dyscyplinie, jaką jest rozwój infrastruktury. Do tego jeszcze dochodzi wyścig z firmami chińskimi, które choć jeszcze odstają, zbliżają się do amerykańskiego poziomu. I co gorsza, oferują często inne podejście, niewymagające tak wielkich inwestycji.

Dociskanie

Analiza procesu inwestycyjnego i świadomość jego gigantycznej stawki prowadzą do oczywistej konkluzji, dlaczego liderzy firm nawet jeśli mówią o konieczności spowolnienia wyścigu o Superinteligencję, nie dokonają tego. Używając określenia z filmu „Pulp fiction", inwestorzy zrobiliby im jesień średniowiecza. A amerykańska i wraz z nią światowa gospodarka przeżyłyby wstrząs większy niż po pęknięciu internetowej bańki spekulacyjnej w 2000 r. Nie ma też zamiaru nic robić Donald Trump, który podczas Sesji Ogólnej ONZ nazwał straszenie apokalipsą wywołaną przez AI bzdurą podobną do tej, jaką jest wiara w globalne ocieplenie.

Amerykański prezydent stawia sprawę jednoznacznie, choć w swym podejściu do AI coraz bardziej oddala się zarówno od swojego elektoratu, jak i rosnącej liczby polityków Partii Republikańskiej podążających za swym elektoratem w nadziei na pozyskanie głosów w nadchodzących jesienią wyborach do Kongresu. Zrealizowane we wrześniu badanie dla PBS News, NPR i Marist pokazuje, że 58 proc. ankietowanych nie ma wątpliwości o negatywnym wpływie centrów obliczeniowych na otoczenie. 65 proc. jest przeciwnych ich budowie w okolicy zamieszkania. Sprzeciw wyraża 80 proc. wyborców Demokratów i 44 proc. Republikanów. Tylko twardzi zwolennicy MAGA w większości popierają budowę ośrodków w swojej okolicy.

Wyścig po wszystko między Stanami Zjednoczonymi i Chinami, a w Stanach Zjednoczonych między cyfrowymi gigantami sprawia, że mało realne wydają się wysiłki liderów innych państw do wprowadzenia globalnych regulacji. „Wall Street Journal" opisuje inicjatywę podjętą przez premiera Norwegii, który skrzyknął przywódców z Kanady i Europy. Reprezentują oni państwa, które w opisanej megarywalizacji w istocie nie uczestniczą. Więc też wątpliwe, by ich głos został wysłuchany przez Donalda Trumpa i Xi Jinpinga, ludzi lubiących słuchać tylko siebie.

Dobrze to pokazały na początku września negocjacje traktatu regulującego wykorzystanie śmiercionośnych systemów

eprasa.pl 59dca094ab

autonomicznych. Jak donosi „Washington Post on Sunday", przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Rosji usunęli w treści dokumentu fragmenty nakazujące, by systemy te były przewidywalne i uwzględniały kontekst etyczny w swym działaniu. Wykreślono także passus mówiący o konieczności ludzkiego nadzoru nad wyborem celów ataku przez system. W istocie regulacje najbardziej śmiercionośnej sfery wykorzystania AI zostały pozbawione zębów.

Mimo to próby regulowania rozwoju technologii, by uniknąć największych zagrożeń, podejmowane np. przez Unię Europejską, mają sens. Unijne regulacje, takie jak Dyrektywa o sztucznej inteligencji (EU AI Act) są wyrazem nie tylko legislacyjnego zapału brukselskich biurokratów, lecz również wyrazem poszukiwania źródeł sprawczości Europy w zmieniającym się świecie. To prawda, że państwa UE nie uczestniczą w wyścigu narzuconym przez Stany Zjednoczone i Chiny, nie oznacza to jednak, że są w batalii o przyszłość bezradne.

Czas apokalipsy?

Pozostaje więc wrócić do pytania, czy jesteśmy skazani na apokalipsę? Najmniej powinniśmy obawiać się systemów AI, które przejmą kontrolę nad światem, doprowadzając np. do wojny atomowej. Wpływ systemów SI na infrastrukturę krytyczną jest ograniczony. Owszem, niepokoi możliwość włamań do systemów informatycznych działających w sieci i obsługujących administrację publiczną, ochronę zdrowia, banki. AI działająca samodzielnie czy w rękach złych ludzi może narobić bałaganu. W świecie coraz bardziej usieciowionym i uzależnionym od infrastruktury teleinformatycznej takie zagrożenia są niezwykle poważne.

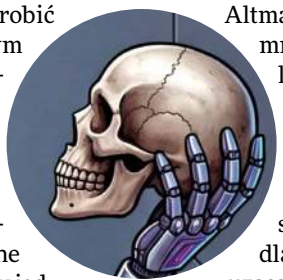

Czy mogą doprowadzić do cywilizacyjnej katastrofy? Odpowiedź zależy od tego, czy jesteśmy w stanie sobie wyobrazić świat bez internetu oraz sieciowych usług informacyjnych i komunikacyjnych, a następnie na tej podstawie zrekonstruować życie społeczne i gospodarcze. Mierząc się z tym wyzwaniem, należy jednak pamiętać, że groźnej realności nabierają inne zagrożenia.

Zespół bezpieczeństwa firmy Anthropic doniósł we wrześniu o wykorzystaniu systemów AI tej firmy przez komórki terrorystyczne w Jemenie w programach rozwoju uzbrojenia, w tym rakiet balistycznych dalekiego zasięgu. Analiza nie przedstawia rzeczywistych efektów prac, pokazuje jednak, jak narzędzia AI mogą pomóc nie tylko w projektowaniu cyberwojennych, lecz także do projektowania innych form uzbrojenia.

Inne zagrożenia

„Washington Post" doniósł 23 września, że kartele narkotykowe w Meksyku i Kolumbii coraz skuteczniej wykorzystują w swych działaniach drony, również do walki z siłami policyjnymi. Głównym źródłem wiedzy są najemnicy wracający z wojny rosyjsko-ukraińskiej, gdzie służą po obu stronach barykady, nabywając bezcennego doświadczenia w zakresie wojny dronowej. Jej technologie szybko się rozwijają z wykorzystaniem AI.

Podczas konferencji Yalta European Strategy w Kijowie 13 września padło pytanie, czy ukraińska armia pracuje nad autonomicznymi systemami bezzałogowymi zdolnymi do samodzielnego wyboru celów i ich likwidacji? Pułkownik Artem Martynenko, zastępca głównodowodzącego Zbrojnymi Siłami Ukrainy ds. cyfrowej transformacji i innowacji, w odpowiedzi tylko uśmiechnął się i odłożył mikrofon. Pytanie, kiedy ta wiedza dotrze do karteli narkotykowych lub komórek terrorystycznych.

Podobne pytania można zadać o możliwość rozwoju innych typów uzbrojenia dzięki wykorzystaniu AI, np. broni biologicznej lub chemicznej. W tym przypadku ryzyko jest mniejsze, bo do konstrukcji tego typu uzbrojenia potrzebna jest nie tylko wiedza, ale i praktyka laboratoryjna, której z YouTube trudno się nauczyć. Na pewno jednak dostęp do najbardziej zaawansowanych, również śmiercionośnych, technologii demokratyzuje się.

Faszyzm końca czasów

To zagrożenie może prowadzić do największego w istocie zagrożenia. Opisują je Naomi Klein i Astra Taylor w swej książce. To rosnące przekonanie wśród amerykańskich elit technologicznych i części polityków, że najlepszym systemem do trzymania nowych technologii w ryzach jest autorytaryzm czy wręcz faszyzm. Cytują wypowiedź jednego z inżynierów Joscha Bacha z jego prywatnej korespondencji z Jeffreyem Epsteinem, w której wyjaśnia, dlaczego nie przejmuje się globalnym ociepleniem: „Być może zmiany klimatyczne są dobrym sposobem na rozwiązanie problemu przeludnienia... to jakby pożar lasów na Ziemi... potencjalnie dobra rzecz dla naszego gatunku". I potem dodaje, że zdaje sobie sprawę z faszystowskiego charakteru swej myśli. Faszyzm jest jednak jego zdaniem prawdopodobnie najbardziej wydajnym i racjonalnym sposobem rządzenia.

Klein i Taylor analizują wypowiedzi takich liderów, jak Sam Altman, Peter Thiel, Alex Karp, Elon Musk (warto przypomnieć sobie jego „rzymski salut" jakiś czas temu) i wielu innych napawających się wizją Superinteligencji, która zmiecie stary porządek świata, likwidując m.in. dotychczasowe relacje między światem pracy i kapitałem, eliminując po prostu miliony „zbędnych" stanowisk. Autorki konkludują: „Jedynie faszystowskie systemy światopoglądowe, oparte na poparciu dla hierarchii społecznej i selekcji ludzkiej, są w stanie uzasadnić skalę szkód, jakie przyspieszona sztuczna inteligencja wyrządzi zarówno ludziom, jak i środowisku".

Witajcie w niebezpiecznym świecie

Jeśli te wnioski brzmią zbyt radykalnie, można sięgnąć po słowa papieża Leona XIV. Rozpoczynając wizytę we Francji, ostrzegł on w przemówieniu w Pałacu Elizejskim przed niekontrolowanym rozwojem AI. Mówił tam m.in.: „Podczas gdy inteligencję przypisuje się systemom komputerowym, z trudem dostrzegamy niezbywalną godność osób ludzkich, których życie ocenia się według kryterium efektywności, a które – gdy uznaje się je za nieproduktywne – są odrzucane".

Papież nie używa słowa faszyzm, ale ów cytat dobrze definicję faszyzmu przedstawia. A swą wypowiedź osadza w szerszym kontekście świata, w którym wojna stała się rzeczywistością, a władzę sprawują ludzie nieukrywający swych zapędów do budowy tyranii. I choć znowu nie nazywa ich po imieniu, można wśród nich rozpoznać także Donalda Trumpa, który nie uznaje moralności innej niż ustanowiona przez siebie ani innego prawa niż siła. Ten właśnie szerszy kontekst pozwala zrozumieć, że owszem zagrożenia wynikającego z rozwoju AI nie można zaniedbywać. Tu i teraz śmiertelnym zagrożeniem jest jednak system, który do utraty kontroli nad rozwojem technologii doprowadził.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl 59dca094ab



Manifestacja zorganizowana przez Ruch Obrony Granic. Transparent niosą m.in. Janusz Kowalski, Robert Bąkiewicz, Piotr Ciepłucha.

Suma strachów

MARIUSZ JANICKI

Ideologiczne obsesje polskiej prawicy odbierają jej polityczny rozsądek w coraz trudniejszych czasach. I wciąż są traktowane z taryfą ulgową.

Ostatnie incydenty graniczne, prawdopodobne akty sabotażu, sygnały wywiadowcze z różnych państw, świadczą o tym, że zagrożeń nie da się już ignorować. Nawet w takiej sytuacji prawica wprowadza do debaty najbardziej kuriozalne koncepcje jako pełnoprawne opcje. W szumie codziennych awantur nie napotykają one wystarczającego odporu.

W efekcie plan niejako samooblężenia prawicy przez własne fiksacje – czyli de facto scenariusz wepchnięcia osamotnionej Polski do szarej, buforowej strefy z wpływami rosyjskimi – często wchodzi jak w masło. Także dlatego, że do polityki głęboko przeniknęła idea „własnych faktów", prawdy leżącej „pośrodku", „równoważności opinii". Prawica zaś w gorączce walki z „reżimem Tuska" zatraciła zmysł geostrategiczny, postanowiła nie dostrzegać wszystkich konsekwencji swoich działań. A są one poważne.

Bruksela do piachu. „Idziemy na pełną wojnę z Brukselą", „nie cofnę się nawet o krok" – powiedział ostatnio na jednym ze swoich spotkań kandydat na premiera Przemysław Czarnek. Wrogość wobec Unii Europejskiej jest znakiem firmowym nowostarej prawicy. Część konserwatywnych formacji w deklaracjach próbuje jeszcze niby niuansować swoje stanowisko, mówiąc o „reformowaniu" itp., ale jest poganiana przez alt-prawicę i szybko równa szereg. Nie chodzi tylko o to, że Unia – według swoich przeciwników – ma zagrażać suwerenności narodów, jest kolejnym „Związkiem Radzieckim" – jak określa ją poseł Konrad Berkowicz, wiceprezes Nowej Nadziei Mentzena, i powinna się rozpaść – choć ten argument jest podnoszony najczęściej. Jednak spod tej argumentacji przeziera ta może nawet ważniejsza: chodzi o odrzucenie całego liberalno-demokratycznego projektu, który stał u początków tej organizacji. W to miejsce ma wejść „suwerenna demokracja", czyli system większościowy, w którym władza wykonawcza nie chce być już niczym krępowana: ani wewnętrznymi instytucjami kontrolnymi, ani regulacjami z zewnątrz. Politycy PiS i konfederaccy często mówią, że wspólna organizacja mogłaby służyć handlowi i pewnym ułatwieniom gospodarczym, ale nic ponadto.

Dlatego walkę z Unią należy postrzegać przede wszystkim jako próbę zniszczenia pewnego ustrojowego porządku, ładu

eprasa.pl 59dca094ab



© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

prawicy

prawnego, narzucenie zmiany w duchu trumpizmu i politycznego darwinizmu. Nie chodzi więc w istocie, jak to często deklaruje prawica, o odrzucanie „unijnych absurdów" i „nadregulacji", ale o pożegnanie całego politycznego kanonu, który przez dekady dawał Europie pokój i spokój, przezwyciężając rozmaite kryzysy. Przy czym z prawicowych postulatów nie wyłania się jakiś nowy projekt, raczej ma to „jakoś być". Lekceważone są korzyści z przynależności do Wspólnoty, wyolbrzymiane za to wszelkie „niedogodności i straty". Widać panujące przekonanie, że można dowolnie bić w Brukselę, a jak się rozsypie, to trudno.

Wciąż istnieje główny europejski nurt, przy którym radykałowie mogą się bawić i wygłaszać swoje kuriozalne opinie, ale i ta podstawa może w końcu skruszeć. Niedawno jeden ze słowackich eurodeputowanych powiedział w PE, że „Rosja nie najechała żadnego kraju UE. To wyście (czyli UE – przyp. red.) zaatakowali Rosję. Rozszerzyliście się aż do granic rosyjskich". Na to Leszek Miller z ewidentnie życzliwym zdziwieniem zauważył: „Co ten Słowak opowiada? Znowu jakaś nowa »ruska onuca«"? Podobne tezy o eskalowaniu wojny przez Europę wygłosił ostatnio także słowacki premier, a dalej podali je Grzegorz Braun i jego najbliższy współpracownik Włodzimierz Skalik, który zażądał właśnie deportacji Ukraińców i zamknięcia dla nich granicy. Michał Klimek natomiast, kandydat Brauna w wyborach krakowskich, powiedział w kampanii, że „nigdy nie wszedł do Unii Europejskiej". Nie zawodzi też prezydencki minister Marcin Przydacz, który na X napisał niepochlebnie o inteligencji wychowanej na „Wyborczej" i „Polityce" z tymi „niezbędnikami inteligenta", tęskniącej za Paryżem, Berlinem i Brukselą, „marzącej o tym, by być docenionym przez Zachód".

Mijają dekady, ale pewne kompleksy i stereotypy się nie zmieniają. Widać też niekonsekwencje. Zapewne z obawy przed efektem flagi, także w związku z ostatnim wzrostem zaufania do premiera Tuska i ministrów Sikorskiego oraz Kosiniaka-Kamysza PiS ogłosił właśnie Narodowy Program Gotowości Obronnej. Jarosław Kaczyński stwierdził, że chociaż NATO jest najważniejsze, to Europa powinna zwiększyć swoje wysiłki obronne. Jednak jeszcze niedawno potencjał zbrojny państw europejskich był przez PiS generalnie wyśmiewany jako bez znaczenia, przy okazji SAFE zaś grożono, że Polska uzależni się od Niemiec. Wciąż uprzedzenia są silniejsze od racjonalnej rachuby.

Niemiecki straszak. To motor antyunijnej fobii, stary instrument stosowany przez Kaczyńskiego i innych polityków PiS na wszystkich etapach, podobnie jak zarzucanie niemieckiej agenturalności KO i Tuskowi. Łączony jest tutaj szantaż drugą wojną, reparacjami, z zarzutami o zdominowanie wraz z Francją Unii i narzucanie Polsce dyktatu w kwestiach ekonomicznych i kulturowych. Traktowanie Niemiec, głównego partnera gospodarczego, przez polską prawicę przypomina zwalczanie Unii – jest opcją bezalternatywną, prawica nie proponuje niczego realnego w zamian. To czysta destrukcja prowadząca do paradoksów takich, że mniej lub bardziej otwarcie na kontrze wobec SPD czy CDU popierana jest nacjonalistyczna partia AfD. A więc w istocie nasza prawica chce – w pewnym sensie – jeszcze więcej niemieckości. Jeśli stare partie sprzyjały Rosji, to trzeba sprzyjać partii, która sprzyja Putinowi jeszcze bardziej.

Jeżeli nasi konserwatyści krytykowali Niemcy za zbyt małą początkowo pomoc dla walczącej Ukrainy, to oczywiście lepsza będzie formacja, która tę pomoc chce w ogóle wstrzymać. Wydaje się to bez sensu, ale chodzi tu o to, aby zaszkodzić „głównemu nurtowi" w Niemczech, Polsce i gdziekolwiek, a skutki wlicza się w cudze koszty. Zaczyna się to przekładać na kwestie bezpieczeństwa: głównym argumentem przeciwko programowi SAFE było to, że to „niemieckie srebrniki". Zarazem cały europejski potencjał obronny jest traktowany przez prawicę szyderczo, jako nieistotny, bo utożsamiany z „eurokołchozem", a tam nic nie ma prawa się udać.

Imigranckie licytacje. Jeśli szukać paliwa, jakiego europejska prawica używa do rozmontowania Unii, to kwestia migracyjna jest na czele listy. Odbywa się przy okazji wielki spektakl hipokryzji. Także prawicowe rządy, jak niegdyś pisowskie w Polsce, przyjmowały ludzi z różnych krajów, bo inaczej brakowałoby zatrudnienia w branżach pozostających od dawna poza zainteresowaniem miejscowych, potrzebne są konsekwentne procedury, a nie propagandowe akcje. Ale dla prawicy antyimigranckie nastroje są zbyt atrakcyjne do walki politycznej i ideologicznej, aby z niej zrezygnowała.

Tradycyjne partie próbują dostosować się do tej retoryki, utwardzają swoje stanowiska, uszczelniają granice, napotykając, jak rząd Donalda Tuska, krytykę z lewicowej strony. Jednak temperatura antyimigranckiej histerii, w której zwłaszcza alt-prawica nie przewiduje żadnych ograniczeń, wypala ten dyskurs do spodu, a przy okazji wyniszcza dawny ustrojowy ład. ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶Tradycyjne ugrupowania, chcąc utrzymać się na powierzchni, przejmują po części tę agendę, po czym są uznawane za mało wiarygodne albo stwierdza się, że po prostu przyznały po czasie rację ugrupowaniom antyimigranckim, co w obu przypadkach jest dla nich niekorzystne. A tylnymi drzwiami na tej fali zaczyna wchodzić także prosty rasizm, co widać na socialach. Ta toksyczna mikstura zaczyna wymykać się spod kontroli, dokłada się do brutalizacji polityki i kultu siły, co w końcu wpływa na młodych ludzi, czego przykładem wykryte ostatnio przypadki tworzonych terrorystycznych bojówek.

Trumpizm bezalternatywny. Polska prawica, po początkowym entuzjazmie, trochę się od amerykańskiego prezydenta zdystansowała, widząc coraz dziwaczniejsze zachowania i decyzje Donalda Trumpa i jego ekipy. Także publicyści związani z PiS spuścili z tonu, niektórzy nawet czasami pozwalają sobie na ironię, choć dominuje przemilczanie kuriozalnych zdarzeń z udziałem Trumpa. Ale to tylko częściowe i chwilowe osłabienie uczuć. PiS, który po upadku Orbána na Węgrzech nie ma praktycznie żadnych innych poważnych kontaktów zagranicznych, wyraźnie włączył Trumpa do swoich politycznych zasobów i zamierza wyciągnąć z niego dla partyjnych interesów, ile się da; cena nie gra roli, co pokazuje choćby polityczna gra, na wewnętrzny użytek, o stałą bazę wojskową USA. Powiązanie polskiej prawicy z Trumpem, specyficzny rodzaj poddaństwa, wykracza poza normalne relacje polityczne, zdaje się ideologicznym zawierzeniem.

Wzorce zachowań amerykańskiej ekipy są zaś przenoszone w polskie warunki, choć wygląda to komicznie. Dotyczy to również Nawrockiego, który nie ma żadnych wpływów w polityce zagranicznej poza pochwałami Trumpa, nawet jeśli ten podkreśla, że to on wygrał Nawrockiemu wybory. „Trump jest znany z tego, że dotrzymuje słowa" – powiedział ostatnio polski prezydent przy okazji wizyty w ONZ. Pytanie, czy musi w aktach lojalności aż tak bardzo rozmijać się z realiami, zresztą nie przysparza mu to punktów w kraju, co pokazuje ostatni sondaż zaufania IBRiS, gdzie Nawrocki zaliczył istotny spadek notowań. W każdym razie ten wasalizm prawicy wobec trumpowskiego dworu, który trudno porównać z jakimkolwiek innym krajem, staje się ciężką kotwicą i odbiera jej racjonalność w kwestiach europejskich.

Ukropol i rusrealizm. Wiadomo, że prosta rusofilia w Polsce z powodów historycznych i współczesnych okoliczności jest wciąż wstydliwa, zwłaszcza w głównym nurcie polityczno-publicystycznym, choć Braun czy nadający niedawno z Moskwy Korwin-Mikke wyznaczają tu wyraźne ścieżki. Przede wszystkim jednak, przy pomocy propagandowych botów z kierunku Kremla, propagowany jest tzw. realizm w stosunkach z Rosją: że to państwo jak inne, że w końcu trzeba się będzie dogadać i handlować, że Putin nie Putin, ale to po prostu potężny kraj z bronią atomową i trzeba do niego podchodzić pragmatycznie. Po prostu z nim nie wygramy, więc jakoś trzeba załagodzić, pójść na kompromis i namawiać do tego Ukrainę. To europejscy podżegacze wojenni zachęcają Ukrainę do dalszej walki, a ona ulega tym namowom, bo „Zełenski boi się rozliczeń po wojnie".

Bo drugim wytrychem, jaki stosują siły prorosyjskie, chcąc wpłynąć na polską opinię publiczną, jest coraz bardziej widoczna ukrainofobia. Od początku wojny w 2022 r. nic tak istotnego nie wydarzyło się w realnej sferze, co uzasadniałoby gwałtowną zmianę nastrojów: nadal Rosja napada na Ukrainę. Jednak przez Brauna do mainstreamu przedostał się zestaw poglądów pod hasłem „Ukropolin", czyli specyficzna mieszanka antysemityzmu i antyukraińskości, za którą popędziła reszta konfederackiej prawicy, w końcu także PiS, żeby przypadkiem nikt ich od prawej ściany nie odspawał, choć to już się dokonało, a później także frakcja Morawieckiego, aby się od PiS bardzo nie różnić. Stara prawica śpiewa w tej sprawie fałszywym falsetem, wręcz wypiera się swoich dostaw wojskowych z początku wojny. Kaczyński mówi dzisiaj o ówczesnym „wciąganiu Polski do wojny" przez Ukrainę, chociaż sam w 2022 r. twierdził, że powinna nastąpić jakaś interwencja NATO, do którego Polska należy.

Ta dość odrażająca licytacja „na niepomaganie" prowadzi do tego, że prawica jest blisko zadeklarowania, aby całkowicie wstrzymać militarną pomoc, także w dużej mierze pozostałą dla Ukrainy, i ten wątek na pewno w szczycie kampanii wyborczej się pojawi. Rząd Tuska jeszcze trzyma tu linię, tłumaczy, że wspieranie walki z Rosją jest egzystencjalnym interesem Polski, że nie wolno oddawać pola w tej psychologicznej rozgrywce z Rosją. Jednak widać tu logikę, która prowadzi do wniosku, że bardziej liczy się pokonanie „koalicji 13 grudnia", jak nazywa rządzących opozycja, niż trzymanie w ryzach Rosji. Częścią tego spektaklu jest pomysł grupy prawicowych posłów, aby we Lwowie urządzić w tym roku Marsz Niepodległości.

Klimat i szczepionki. Ważne są też sfery niby poboczne, ale dokładające się do nastrojów całej populistycznej fali. Po walnym zwycięstwie partii AfD w jednym z niemieckich landów znany prawicowy publicysta napisał, że są co prawda różnice interesów, ale AfD jest przeciwko regulacjom ETS2 i to jest dla naszego kraju korzystne. Należy rozumieć, że inne cechy tego nacjonalistycznego, rewizjonistycznego wobec Polski ugrupowania są mniej istotne, a obecnie rządząca w Berlinie ekipa nie jest od Alternatywy lepsza. Jeśli się nie śledzi dyskusji na prawicy, trudno sobie zdać sprawę, w jakim stopniu walka z „klimatyzmem" stała się częścią konserwatywnej tożsamości.

Podobnie jest ze szczepionkami, czego przykładem choćby gorący spór, czy Grzegorz Braun zaszczepił się swojego czasu na covid, czym zaprzeczyłby głoszonym przez siebie poglądom. Nie rozstrzygnięto tej kwestii do końca, choć zdarzały się nawet takie usprawiedliwienia lidera Korony, że być może się zaszczepił dla świętego spokoju, aby móc swobodnie głosić antyszczepionkowe idee. Zmianom klimatycznym i kwestii szczepień nieustannie towarzyszą naukowe rozważania i kontrowersje mieszczące się w racjonalnym dyskursie. Ale na skutek prawicowej emocji na tym gruncie wyrasta cały antynaukowy, pozaracjonalny nurt, co powoduje, że duża część opinii jest podatna na fejki w dowolnej dziedzinie, także politycznych wyborów.

Dwie płcie. Kwestie klimatyczne i szczepionkowe często występują w pakiecie z „obroną wartości rodzinnych", czyli zwalczaniem wszelkiej progresji obyczajowej w sprawach aborcji, związków homoseksualnych, kwestii płci, procedury rozwodowej itp. Liberalna strona dziwi się czasami, dlaczego prawica zabrania zmian w prawie, które nikomu niczego nie nakazują, a tylko ułatwiłyby życie części społeczeństwa. Jednak dla konserwatystów kwestie rodziny, seksu, rozrodu to część ideologicznego projektu o religijnej podstawie. Ma być tak, jak oni chcą, bo to dotyczy wyobrażenia o idealnym świecie, choćby

eprasa.pl 59dca094ab

bezpośrednio ich nie dotyczyło. Stąd ostatni atak na ministra Domańskiego za decyzję o wspólnym rozliczaniu podatku przez małżeństwa po tzw. transkrypcji.

Naruszenie starego porządku kojarzy się prawicy z upadkiem moralnym Zachodu. To zresztą łączy wszystkich tradycjonalistów, z rosyjskimi włącznie. Kilka lat temu pewien prawicowy publicysta z wyraźnym uznaniem wyrażał się o ideologicznym programie Putina, który w jego opinii walczył właśnie z progresywizmem obyczajowym, który niszczy zachodnią Europę. Twierdził, że warto przyjrzeć się propozycjom płynącym z intelektualnego otoczenia rosyjskiego prezydenta. Potem przyszła wojna z Ukrainą, ale wątek tradycjonalizmu Putina nadal pojawia się w pozytywnym kontekście, ponieważ opinie Kremla o zgniłym Zachodzie, nowej europejskiej prawicy i Donalda Trumpa (który „przywrócił dwie płcie", jak kilka razy zaznaczył Kaczyński, traktując to jako główną zasługę amerykańskiego prezydenta) w dużej mierze się pokrywają. Te „płcie" to istotne spoiwo konserwatywnej, populistycznej międzynarodówki, porozumiewawcze hasło ponad podziałami i odmiennymi interesami.

Zwarty pakiet. Wszystkie obsesje prawicy przenikają się i wzmacniają, tworząc jeden konglomerat, który chce uchodzić za poważną alternatywę, choć jest drogą w nieznane i niezbadane. Ale to właśnie ta pakietowość, gdzie każdy element jest niezbędny, daje tej opcji propagandową siłę, to jest ta słynna konserwatywna wrażliwość. Pokrewieństwo ideologiczne z europejską alt-prawicą, podzielane z nią emocje, stają się ważniejsze od wspólnoty rzeczywistych interesów. Nie ma żadnej gwarancji, że hipotetyczne zalety nowego porządku, jakie przedstawiają nacjonaliści, nie okażą się gorsze od błędów obecnego ładu, że Marine Le Pen ma lepsze pomysły na Europę niż Ursula von der Leyen, a Rosja Putina będzie łagodniejsza, jeśli Ukraina zgodzi się na byle jaki pokój. Nie wiadomo, jakie miejsce na tej nowej mapie szykują Polsce Kaczyński, Nawrocki z obiema Konfederacjami, ile będą znaczyły świetne kontakty naszego prezydenta z Waszyngtonem, kiedy za dwa lata Trump opuści Biały Dom.

W polskim życiu publicznym trwa dualizm: z jednej strony sytuacja międzynarodowa przedstawiana jest jako coraz groźniejsza, wręcz dramatyczna, a z drugiej trwają normalne, luksusowe wręcz awantury i trzeciorzędne konflikty jak za najspokojniejszych czasów z okresu „końca historii". Stwarza to wrażenie, że zagrożenie jest sporne, nawet ono podlega dyskusji, a więc wszystko jest względne.

Polityczne fantazmaty prawicy same nie wystarczą jako paliwo wyborcze dla rządzącego dzisiaj obozu. Może jednak nadchodzi koniec infantylizowania zwłaszcza alt-prawicy, specjalnej taryfy dla „performera" Brauna, zabawy w stan gry porannej i wieczornej. Prawica zawsze była dobra w narracjach, ale właśnie następuje gwałtowne zderzenie z realiami i to jest dobry moment dla obozu władzy na konfrontację. Bez wydobycia z prawicy jej najgłębszych fiksacji i pokazania punkt po punkcie, co znaczą, może być trudno o przedłużenie rządów. Dlatego nieustanne dociskanie polityków z PiS i reszty formacji pytaniami, jak sobie konkretnie wyobrażają Europę i świat swoich marzeń – jacy mają być sojusznicy, geopolityczne i militarne umocowanie, gospodarczy partnerzy, będzie miało duże znaczenie w zbliżającej się kampanii.

MARIUSZ JANICKI

REKLAMA

Zapisz się na newslettery POLITYKI i bądź na bieżąco

Newsletter poranny
5 najważniejszych tematów na dobry początek dnia.

Newsletter wieczorny
Najlepsze teksty i najważniejsze wydarzenia dnia w jednym mailu.

Kulturalny newsletter „Polityki"
Co tydzień podpowiadamy, co przeczytać, obejrzeć i zobaczyć.

Newsletter historyczny
Historia, która pomaga lepiej zrozumieć współczesność.



Najnowsze wydania specjalne „Polityki"
Informacje o nowych wydaniach specjalnych i premierach dla subskrybentów.

Wybierz swój!

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 59dca094ab

Zgrana para



Zatrzymani niedawno przez CBA Anna Plakwicz i Piotr Matczuk to ludzie z samego środka machiny propagandowej PiS. Dlatego tak mocno broni ich Jarosław Kaczyński.

ANNA DĄBROWSKA

W nocy ze środy na czwartek zaraz po wyjściu z prokuratury piarowiec PiS Piotr Matczuk na żywo w TV Republika żalił się widzom: „Zamiast wezwania jest środek siłowy: zatrzymanie, przywiezienie tutaj, cały dzień czynności i wypuszczenie w środku Rzeszowa. Człowieku, radź sobie sam i wracaj do Warszawy". I dodawał, że „odbiera to jako element całościowej zemsty obecnej władzy – nie tylko w kontekście kampanii »Sprawiedliwe Sądy« – ale to jest uderzenie w ludzi, którzy mówią prawdę o tym rządzie".

W środę 23 września funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali Annę Plakwicz i Piotra Matczuka, byłych członków zarządu spółki Solvere, która za rządów PiS realizowała kampanię wymierzoną w sędziów, sfinansowaną przez Polską Fundację Narodową (PFN).

Z PiS są związani od prawie 20 lat. Przy Nowogrodzkiej mówią, że to oni doprowadzali partię do kolejnych wyborczych zwycięstw. Uchodzą za marketingowych speców, którzy nie boją się żadnej roboty. Plakwicz od ponad roku jest dyrektorką w Biurze Wydarzeń Kancelarii Prezydenta, a Matczuk związał się z Telewizją Republika. Oboje usłyszeli zarzuty. Według śledczych wspólnie z ówczesnymi prezesami PFN mieli wyrządzić Fundacji szkodę majątkową na kwotę niemniejszą niż 8,4 mln zł, a sami zarobić na kampanii 1,2 mln zł. Prokuratura twierdzi, że finansowana przez Fundację kampania była sprzeczna z jej celami statutowymi. Miała służyć wyłącznie realizacji celów politycznych związanych ze zmianami w wymiarze sprawiedliwości, które w 2017 r. wprowadzał PiS. Na kampanii zyskać miały Prawo i Sprawiedliwość oraz Solidarna Polska. Tym samym partia Jarosława Kaczyńskiego miała nielegalnie otrzymać od PFN usługi marketingowe za prawie 8,5 mln zł. Co roku składało się po kilka milionów na jej działalność 17 największych państwowych spółek.

Sędziowie jak palenie

Para piarowców nie przyznała się do winy. Nie trafili do aresztu. Prokurator zastosował wobec nich dozór policji, zakaz opuszczania kraju oraz zakaz kontaktowania się ze sobą i innymi podejrzanymi. Grozi im do 10 lat więzienia. Z naszych informacji wynika, co potwierdza w swoim komunikacie rzeszowska prokuratura, że para zrealizowała kampanię zgodnie z rekomendacjami, które

© ŁUKASZ SOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 59dca094ab

wcześniej przygotowali dla PiS. Plakwicz i Matczuk przyszli do PFN z gotową koncepcją kampanii: kto ma ją robić i na niej zarobić (m.in. słynna agencja JustPoint, która wystawia PiS milionowe faktury w kampaniach wyborczych), i dosłownie na drugi dzień zapadła decyzja: robimy.

Koncepcja marketingowa miała opierać się na strachu, z czego słynie para spin doktorów PiS. Wymyślili, że napisy na billboardach głoszące, że sędziowie są nadzwyczajną kastą, mają być graficznie niemal identyczne z ostrzeżeniami z paczek papierosów „Palenie zabija". To miało budzić podprogowe skojarzenia i mijało się z celami fundacji, o których mówiła premier Beata Szydło: budowania wizerunku „Polski ambitnej, pięknej i przyjaznej, do której warto przyjechać".

Kiedy doszło do zatrzymania, na Nowogrodzkiej zwołano posiedzenie władz partii. Jarosław Kaczyński podjął decyzję, aby na twardo bronić marketingowców. Jak podał „Newsweek", zbierano także podpisy od posłów pod poręczeniem za nich, aby nie szli do aresztu. Pierwszy swój podpis miał złożyć sam Jarosław Kaczyński. Późnym popołudniem na X Kaczyńskiego pojawił się wpis: „Od rana władza próbuje zaszczuć niezwykle uczciwe i zasłużone dla środowiska patriotycznego osoby: odważną panią dyrektor Annę Plakwicz i bezkompromisowego dziennikarza pana Piotra Matczuka. Sprawa sprzed dziewięciu lat, wielokrotnie wyjaśniona i skrupulatnie rozliczona. Ale cel jest inny: nie prawda, lecz zemsta i igrzyska".

Szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki, który ma wciąż nadzieję być kandydatem PiS na premiera, mówił w mediach: „sprawa Pani dyrektor Plakwicz sięga swoimi korzeniami 9 lat wstecz". Partyjny przekaz dla elektoratu politycy prawicy powtarzali jednogłośnie: to sprawa sprzed lat, dawno wyjaśniona i nic na nich nie mają. – *Prezesowi zależy bardzo, aby zrobić też z Anki i Piotrka ofiary polityczne, bo to mobilizuje nasz elektorat. I każdy ma ich bronić, jak Ziobrę, choć może nie każdy ma na to ochotę* – mówi poseł PiS. Dlatego Bogucki przestrzega publicznie, że „przy tej obecnej władzy trzeba spodziewać się wszystkiego. Każdy z nas tak naprawdę może spodziewać się tego, że gdzieś tam o 6.00 jakieś służby, często inspirowane politycznie, zapukają do naszych drzwi".

Prezes dał sygnał do obrony swoich piarowców, ale, jak to zwykle bywało w takich sytuacjach, sam odpowiedzialności za ich działania nie bierze. W maju został przesłuchany przez rzeszowską prokuraturę, ale według rozmówcy Onetu przekonywał prokuratorów, że o niczym nie wiedział, niczego nie słyszał.

Zamiatanie sprawy

Warto przypomnieć, jak „rozliczanie" tej sprawy wyglądało. Zawiadomienie dotyczące kampanii „Sprawiedliwe Sądy" w 2017 r. złożyła Platforma Obywatelska. Jednak upolityczniona prokuratura rządzona przez Zbigniewa Ziobrę odmówiła wszczęcia śledztwa. Sprawa wróciła po zmianie władzy i w czerwcu 2024 r. w prokuraturze w Rzeszowie ruszyło śledztwo w sprawie nadużycia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez zarząd PFN w związku ze sfinansowaniem kampanii „Sprawiedliwe Sądy". Kiedy udało się zmienić zarząd w PFN, to w lutym 2025 r. po gruntownym audycie do prokuratury wpłynęło kolejne zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez byłe zarządy Fundacji w latach 2017–24. Szkody, w tym te dotyczące działalności Solvere, oszacowano na ponad 30 mln zł.

W lipcu tego roku zarzuty usłyszeli już były prezes PFN Cezary J. oraz były członek zarządu Maciej Ś. Śledczy zarzucają im m.in. nadużycie uprawnień i niedopełnienie obowiązków przy finansowaniu kampanii „Sprawiedliwe Sądy". Obaj nie przyznali się do zarzucanych im czynów. Przyspieszenie rozliczeń w tej bulwersującej sprawie z pewnością trafia w oczekiwania elektoratu KO. Fakt, że postępowanie ciągnie się od lat, nie wynika bynajmniej z braku dowodów, lecz z zamiatania jej pod dywan przez prokuraturę Ziobry.

To niejedyna sprawa dotycząca Matczuka i Plakwicz, którą „zajmowała" się prokuratura pod rządami Ziobry. Jesienią 2017 r. ówczesna szefowa KPRM Beata Kempa złożyła zawiadomienie do CBA w sprawie oświadczeń majątkowych piarowców i jednocześnie ówczesnych dyrektorów w kancelarii premier Szydło. – Beata wiedziała, że musi złożyć to zawiadomienie, ale wiadomo było, że nie będzie z tego sprawy – wspomina jeden z polityków, który pracował wówczas w KPRM. Chodził o to, że pełniąc jednocześnie funkcję dyrektorów w kancelarii, założyli Solvere. Zrobili to, mimo że ustawa antykorupcyjna zabrania państwowym urzędnikom posiadania powyżej 10 proc. udziału w spółkach prawa handlowego. W 2019 r. prokuratura ustaliła, że Plakwicz i Matczuk złamali ustawę antykorupcyjną, bo założyli firmę jeszcze jako urzędnicy kancelarii premiera. Ostatecznie nie usłyszeli zarzutów, bo jak uzasadniali śledczy, „sytuacja była przez nich niezawiniona".

Wpasowani w układ

Osoba dobrze znająca bohaterów tego tekstu: – *Był taki moment, że z zazdrością patrzyli na Adama Bielana, Adama Hofmana, którzy stali się bardzo majętnymi ludźmi, bo robili nam kampanie. A także na posłów, którzy wyjechali do Brukseli i stali się milionerami. Oni mieli poczucie, że harują, a nie mają z tego takiej kasy. Na Solvere mieli się odkuć, a prezes im na to pozwolił.*

„Myślę, że osobno nie osiągnęlibyśmy tych rzeczy, których dokonaliśmy razem. To jest fajnie uzupełniający się duet, a Ania jest ważną postacią dla politycznej kampanijnej roboty w PiS od wielu lat" – tak Piotr Matczuk opowiadał o swojej współpracy z Anną Plakwicz. Z ugrupowaniem oboje są związani od blisko dwóch dekad. Anna Plakwicz, od 2004 r. magister nauk prawnych, pierwsze szlify zdobywała jeszcze w czasach studenckich jako rzeczniczka warszawskiej dzielnicy Wawer. Przez siedem lat, gdy formacja Jarosława Kaczyńskiego zasiadała w ławach opozycji, Plakwicz kierowała biurem prasowym klubu parlamentarnego. Dawny współpracownik zapamiętał ją jako choleryczkę. Kto jej podpadł, nie miał łatwo. – *Pamiętam, jak wysysała z ludzi pomysły, by później sprzedawać je jako własne. Wtedy nie była może specjalnie kreatywna, ale zebrane przez lata partyjne doświadczenie sprawiło, że dziś odgrywa w sztabach pierwszoplanową rolę.*

Piotr Matczuk (politolog po UW) z dawnych sejmowych czasów został zapamiętany jako cichy i pracowity żołnierz Ziobry. Pracując w biurze prasowym Ministerstwa Sprawiedliwości za pierwszych rządów PiS, udowadniał swoje bezgraniczne wręcz oddanie. To on w 2007 r. używał ministerialnego sprzętu do pisania na forach internetowych peanów na cześć Patrycji Koteckiej, partnerki szefa. Owa lojalność skończyła się jednak w 2011 r., gdy rozłamowcy od Ziobry tworzyli Solidarną Polskę. Matczuk wolał pewniejszy grunt – został w PiS i stworzył sprawny tandem z Plakwicz.

Największą siłą tego duetu jest umiejętność budowania relacji z ludźmi, ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ od których w partii zależy najwięcej. Z Mariuszem Błaszczakiem, Elżbietą Witek i Jackiem Sasinem czy dawniej Beatą Szydło, którzy chcieli odwołać Morawieckiego z funkcji premiera. W PiS doczekali się wymownych przezwisk: mówi się o nich „Plakwicze", „Solvery", a dawniej także „Kelnerzy" – to ostatnie z czasów, gdy ograniczali się wyłącznie do serwowania cudzych koncepcji. Kluczowe dla ich pozycji okazały się miesiące poprzedzające wyborczy triumf Jarosława Kaczyńskiego w 2015 r. w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. To wtedy wypracowali doskonałe układy z Kaczyńskim i zbudowali silną więź z ówczesnym szefem klubu, Błaszczakiem, jednym z najbliższych współpracowników prezesa PiS. Anna trenowała go medialnie, co nie należało do najłatwiejszych zadań. Pisała też Błaszczakowi przemówienia, przygotowywała do starć w telewizji. To procentuje do dziś. – *Prezes szczególnie do niej ma ewidentną słabość i ceni ją za bezwzględną skuteczność oraz grę na twardo. Anka i Piotr są mu potrzebni przed najbliższymi wyborami* – mówi osoba z otoczenia Kaczyńskiego.

Udział w spisku

W życiorysie duetu pojawił się jednak pewien niebezpieczny zakręt, brali bowiem udział w wewnątrzpartyjnym spisku przeciwko Kaczyńskiemu. W kampanii 2015 r. razem z Marcinem Mastalerkiem pracowali na najwyższych obrotach. Relacja osoby ze sztabu: – *Grali na Szydło. Wiedzieli, że u boku nowej pani premier ich kariery nabiorą rozpędu. Uznali po prostu, że czas prezesa dobiega końca*. Partyjni weterani szybko zaczęli jednak ostrzegać Kaczyńskiego, że frakcja młodych, sterująca popularną w elektoracie premier, szykuje wrogie przejęcie partii. – *„Kelnerzy" pielgrzymowali do prezesa z zapewnieniami o bezwzględnej wierności, przekonując go, że cała intryga to wyłącznie szalone plany Mastalerka* – relacjonuje nasz rozmówca. Tłumaczenia okazały się skuteczne, bo Kaczyński dał im wiarę.

Aktem ostatecznego odkupienia win miało być odsłonięcie w kancelarii premiera – w siódmą rocznicę katastrofy smoleńskiej – tablicy za 200 tys. zł upamiętniającej Lecha Kaczyńskiego, Zbigniewa Wassermanna i Przemysława Gosiewskiego. Podobno pracujący wówczas w KPRM duet zręcznie przedstawił to na Nowogrodzkiej jako ich własny organizacyjny sukces.

Po krótkiej przygodzie z Solvere w 2018 r. – na polecenie Nowogrodzkiej – trafili do kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego, by przejąć rządową komunikację. Po niespełna roku ówczesny premier pozbył się ich, bo postawił na Mariusza Chłopika, który też uważa siebie za mistrza politycznego piaru. Nie było zaufania, tylko rujnująca rywalizacja. – *Szczerze to nie wiem, jakie poglądy ma Anka Plakwicz, ale kilka lat temu postanowiła, że najbardziej opłaca trzymać się Jarosława. A Piotrek Matczuk to twarda prawica, bliska narodowcom* – mówi polityk PiS, który zna duet od lat. Po odejściu z KPRM pracowali dla PiS, robili spoty, kiedy wybuchał jakiś kryzys, kreowali komunikację. Kiedy PiS był u władzy, oficjalnie zarabiali poza partią, ale dzięki niej trafiali tam, gdzie dobrze płacili.

W 2019 r. Plakwicz została dyrektorką Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej. Po roku odeszła i zaliczała kolejne kluczowe spółki: była dyrektorką ds. marki w Pekao SA, zarządzała marketingiem i prewencją w PZU, aż wreszcie objęła pion marketingu w PKO BP (z rekomendacji PZU z dyplomem MBA po Collegium Humanum dostała też miejsce w radzie nadzorczej Sanok Rubber, co dało jej ok. 10 tys. zł miesięcznie). Matczuk z kolei odnalazł się jako dyrektor ds. komunikacji w Orlenie.

Pipi prawica

Kiedy PiS stracił władzę, Plakwicz przygarnął Adam Glapiński w NBP, gdzie miała odpowiadać za komunikację. Jej piarowy partner postanowił wyjść z cienia do świata prawicowych mediów. – *Dostał robotę u Sakiewicza w TV Republika. Ma o wiele więcej luzu niż Anka* – mówi poseł PiS. Występuje w roli komentatora politycznego, publicznie doradza prawicy i współprowadzi program w Republice „13 piętro". Chce wykreować siebie, zbudować rozpoznawalność i wejść na listy wyborcze, na co pewnie Kaczyński da zielone światło. Bo sam chce iść teraz na twardo i marginalizować Konfederację. Matczuk często mówi, jak w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", o „pipi" prawicy, co tłumaczy jako uległość, upupienie i śmieszność. „Harcerze" i „maślarze" to jego zdaniem określenia niepoważne i z góry skreślają tych, którzy się nimi posługują, z poważnej polityki. „Zakon PC, ziobryści – to brzmiało poważnie!" – stwierdził Matczuk w kwietniu w TV Republika.

Na X publikuje zdjęcie swojej broni i pisze: „Broń do obrony domu. Ta, którą chwytamy instynktownie, kiedy złole są w mieszkaniu/domu. Przygotowana, załadowana, gotowa do pracy. Dobrana do warunków, dystansów. U mnie G22". W kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego nie był często widywany na sztabach, ale angażował się i razem z Plakwicz ustawiali kampanijną komunikację.

Zaraz po przeprowadzce Nawrockiego do Pałacu Prezydenckiego Anna Plakwicz została dyrektorką Biura Wydarzeń Prezydenta. Dla Kaczyńskiego miała być gwarancją spójność przekazu Pałacu z tym z Nowogrodzkiej. Nawrocki poznał Plakwicz w czasie kampanii wyborczej i był pod wrażeniem rozmachu, z jakim organizowała konwencje, objazdy po kraju i jakie wymyślała spoty. Po publikacjach Onetu na temat kawalerki przejętej od pana Jerzego sztab PiS szukał pilnej riposty. Plakwicz wyreżyserowała spot pt. „Wojownik". Sentymentalna narracja miała przykryć kontrowersje – z ekranu padają m.in. zwierzenia matki kandydata, że syn otrzymał imię po samym Karolu Wojtyle.

Dziś pomaga pisać przemówienia Nawrockiemu, stawia mocne tezy, dba o obrazki. Wymyśliła i zorganizowała rocznicowe wydarzenia z okazji roku prezydentury Nawrockiego, na dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego. Plakwicz wymyśliła też spot na temat SAFE w stylu, z którego jest znana: Karol Nawrocki z dziećmi na rękach w kontraście do rozedrganych obrazków wściekłych czarnych oczu i Tuska przeliczającego banknoty euro. Hasło przewodnie: „Trwa wściekły atak obcego lobby na Prezydenta K. Nawrockiego za twarde nie dla upolitycznionej unijnej pożyczki SAFE i miliardów odsetek dla zagranicznych banków. Obrona suwerenności i przyszłych pokoleń jest dla naszego Prezydenta ważniejsza niż obce interesy!". Takich spotów było i będzie więcej.

Prezes Kaczyński docenia tę pracę, dlatego kazał stawać całej partii murem za duetem swoich sprawdzonych piarowców. Ktoś z otoczenia prezesa zwraca uwagę na coś jeszcze: – *Myślę, że prezes wcale się nie zmartwił tym zatrzymaniem i zarzutami dla Plakwicz i Matczuka. Wie, że teraz będą mieli jeszcze większą motywację do harowania w kampanii, tak by PiS wygrał. Bo jeśli przegramy, to pójdą siedzieć.*

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 59dca094ab



© KAROL MAKURAT/REPORTER

Zapominalski

Duże pieniądze zawdzięcza Jackowi Sasinowi wiele osób, na czele z opływającym w luksusy Radosławem Piesiewiczem. Sam poseł Sasin żyje oficjalnie na miarę urzędowych uposażeń, a dom kupił niedawno na spółkę z pewnym małżeństwem. Robiącym karierę, gdy był ministrem.

MARCIN PIĄTEK

Zatrzymanie i aresztowanie na trzy miesiące Radosława Piesiewicza, byłego już prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, wywołało u Jacka Sasina efekt mrożący. Po rozłamie w PiS i odejściu kilkudziesięciu posłów do nowej formacji Mateusza Morawieckiego Sasin został w partii matce jednym z głównych rozgrywających. Ale zamiast ruszyć w medialny tour i ratować topniejące poparcie dla PiS, zapadł się pod ziemię. – *Z Morawieckim się nienawidzą. Pod koniec rządów PiS ludzie Morawieckiego odbili niektóre spółki Skarbu Państwa, do których Sasin, jako minister aktywów państwowych, powsadzał swoich protegowanych. I ci od Morawieckiego zaczęli ich czyścić* – opowiada sejmowy polityk.

Sasin pojawił się publicznie dopiero trzy tygodnie po aresztowaniu Piesiewicza, najpierw w zaprzyjaźnionej z PiS TV Republice, a następnie w radiowej Trójce. Tam w czasie rozmowy nie zaprzeczył, że stał za karierą Piesiewicza w polskim sporcie, gwarantując mu setki milionów złotych ze spółek Skarbu Państwa, które jako minister nadzorował. Skłamał przy okazji, twierdząc, że poprzedni prezes PKOl Andrzej Kraśnicki nie został zmuszony do rezygnacji z ubiegania się o kolejną kadencję – Kraśnickiego złamano na spotkaniu z udziałem Sasina (szczegóły POLITYKA 39/26), i że Piesiewicz nie musiał czarować sportowych działaczy sponsoringiem spółek, bo przecież one i tak już PKOl wspierały. Tymczasem prawda jest taka, że robił to przede wszystkim Orlen, ale na o wiele mniejszą skalę. Piesiewicz obiecywał działaczom dziesięć razy wyższy budżet PKOl, sięgający 300 mln zł. Właśnie dzięki dojściu do Sasina.

Od znajomości z Piesiewiczem (od którego kilkanaście lat temu Jacek Sasin pożyczył 9 tys. zł na remont schodów domu w Ząbkach, a potem załatwił mu posadę w wołomińskim samorządzie) były minister aktywów państwowych się dystansuje. Czemu trudno się dziwić, ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ bo Piesiewicz załatwiał sponsoring, przy okazji inkasując od tych umów astronomiczne prowizje – w wysokości co najmniej 7,3 mln zł – i aż prosi się o pytanie, jaki był obieg wyprowadzanych przez niego pieniędzy.

Podczas rozmowy w Trójce poseł Sasin określił relację z Piesiewiczem jako „bardzo rozluźnioną". – *To dla niego typowe. Ludzie, których jako minister aktywów poustawiał na intratnych posadach, mieli przykaz, by się nie afiszować kontaktami z Jackiem. Niektórzy nawet dawali do zrozumienia, że są z nim skonfliktowani. Kiedyś w mediach pojawiło się wspólne zdjęcie Piesiewicza z Sasinem, siedzieli obok siebie na trybunie podczas meczu koszykówki. Jacek był zły, że fotka poszła w obieg. Nie podobało mu się również, że Piesiewicz afiszuje się z luksusowym stylem życia. Uważał, że w ten sposób niepotrzebnie ściąga na siebie uwagę i prowokuje ciekawość, skąd ma te miliony* – opowiada A., rozmówca POLITYKI.

Jego zdaniem odcinanie się od Sasina było dla wielu nominatów trudne, bo nie tylko zawdzięczali mu nagły dobrobyt, ale też autentycznie imponowała im znajomość z ważnym politykiem ze szczytów władzy. – *Gdy Jacek wyraził się o kimś per mój przyjaciel, gość rósł w oczach. Dla Jacka organizowano spotkania, wyjazdy i kolacyjki, wysyłano po niego samochód, a gdy Jacek wpadł na grilla, gospodarz pękał z dumy* – opowiada A.

W chudych latach zatrudnieniem poratował Jacka Sasina ówczesny burmistrz Wołomina Ryszard Madziar. Gdy Sasin został ministrem, Ryszard i jego małżonka Jolanta zaczęli kolekcjonować stanowiska świetnie płatne i grubo powyżej swoich kompetencji, o czym wielokrotnie pisała również POLITYKA. – *Sasinowi zawdzięczają drogę do pieniędzy, zresztą nie oni jedni. Niedawno Madziarowie wzięli się za deweloperkę, sprzedają bliźniaki w Tłuszczu, w dobrej lokalizacji, pół godziny kolejką do centrum stolicy. W ofercie mieli sześć mieszkań, cena stanu deweloperskiego 800 tys. zł. Zresztą ciekawe, że choć mają ten biznes, Jolka pracuje. Rok temu została inspektorem Wydziału Inwestycji i Nadzoru Właścicielskiego w starostwie w Garwolinie* – opisuje A.

Madziarowie mieli z czego finansować biznes, bo Ryszard jako doradca zarządu Pekao SA o bliżej niezidentyfikowanych obowiązkach zarobił tam 2,8 mln zł. Ale ma teraz problem, bo nowe władze banku przeprowadziły audyt i okazało się, że Madziar znalazł się w gronie kilku osób, co do których, jak w liście do pracowników napisał obecny prezes Cezary Stypułkowski, „istnieje uzasadnione podejrzenie, że nie wykonały żadnej udokumentowanej pracy na rzecz banku". Bank domaga się na drodze sądowej zwrotu tych pieniędzy. Również od małżonki Radosława Piesiewicza, Agnieszki, która jako doradca zarządu zarobiła w pół roku ponad 1 mln zł. Jej doświadczenie zawodowe sprowadzało się do handlu artykułami biurowymi, ale jeśli chodzi o zarobki, nie chciała być gorsza od męża.

Jak do tej pory Sasin unikał skojarzeń z aferą fabryki lewych dyplomów w Collegium Humanum. – *A tak się składa, że powstało ono z Wyższej Szkoły Menedżerskiej. W obu tzw. uczelniach rektorem był Paweł Cz.* (obecnie oskarżony o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, przyjmowanie korzyści majątkowych oraz wystawianie fałszywych dyplomów MBA – przyp. red.). *W czerwcu 2017 r. dyplom MBA w tej szkole menedżerskiej odebrało kilkunastu znajomych Sasina, potem kolejni zdobyli go w Collegium Humanum. Wrota prowadzące do państwowych spółek stały przed nimi otwarte na oścież* – opowiada A., pokazując zdjęcie listu z podziękowaniami dla rektora Cz. za „ogromny wkład pracy dydaktycznej i otwarcie nowych horyzontów poznawczych" i kończący się „głębokim przekonaniem, że czas poświęcony na naukę zaowocuje w przyszłości". Podpisali się pod nim również znajomi Jacka Sasina, którym „edukacja" wyjątkowo zaowocowała.

O przysługach wobec ministra Sasina pamiętał również Piesiewicz. Kilka lat temu zatrudnienie przy Polskim Związku Koszykówki znalazł jedyny syn ministra. – *Po cichu, nie figurował w żadnym oficjalnym spisie. Zajmuje się koordynacją zamówień sprzętu dla kadr młodzieżowych. Nikt nie wie, ile zarabia, to pilnie strzeżona tajemnica. Ale faktycznie coś robi, nie ma lipy, jak z Piesiewiczem w Wołominie* – mówi działacz koszykarski.

Syn Jacka Sasina kilka lat temu został współwłaścicielem (w połowie) ponad 1000-metrowej działki w atrakcyjnej, uzdrowiskowej części Supraśla, uroczego miasteczka położonego na skraju Puszczy Knyszyńskiej, kilkanaście kilometrów od Białegostoku. – *Działki w tej okolicy chodzą teraz po minimum 400 zł za metr. Kilka lat temu mogły być trochę tańsze, ale niewiele. Cicha uliczka, na uboczu, niedaleko płynie rzeka, w ubiegłym roku wreszcie zrobiono tu porządną drogę i chodniki* – mówi jedna z mieszkanek. Na działce ruszyła budowa dużego, na oko ponad 300-metrowego domu, wyróżniającego się rozmiarem na tle sąsiednich. W ubiegłym roku został sprzedany. Obecnie w budynku trwają prace wykończeniowe.

Mniej więcej w tym samym czasie współwłaścicielem (również w połowie) prawie 200-metrowego domu w Supraślu, tuż przy zielonej ścianie Puszczy Knyszyńskiej, został sam Jacek Sasin. Zresztą 1 grudnia 2025 r. ogłosił oficjalnie na swoim profilu w mediach społecznościowych, że się pod nowym adresem zameldował i jest „dumnym mieszkańcem Podlasia", zamieszczając przy okazji zdjęcie w swojej nowej, szczuplejszej wersji wraz z burmistrzem Supraśla Robertem Dobrowolskim. Na Podlasie dwa lata wcześniej rzuciła go partia, żeby zrobił porządek w lokalnych strukturach PiS, nad którymi zdaniem Jarosława Kaczyńskiego przestał panować dotychczasowy partyjny baron Krzysztof Jurgiel.

Wspólnym mianownikiem dla obu nieruchomości – sprzedanej przez syna i kupionej przez ojca – są ich współwłaściciele. To małżeństwo Martyna i Łukasz N., trzydziestoparolatkowie. O Łukaszu N. było głośno kilka lat temu. W Służbie Ochrony Państwa został oddelegowany do ochrony ministra Sasina i musiał sobie zaskarbić jego względy, bo znalazł się w wąskiej grupie znajomych Sasina podczas prywatnego wyjazdu do Madrytu. Szczegóły tej eskapady (numer lotu, nagrany z ukrycia film z lotniska) jednak wyciekły, a N. został objęty wewnętrznym postępowaniem wyjaśniającym. Nim dobiegło końca, Onet ustalił, że w październiku 2021 r. ochroniarz ministra Sasina miał już nową pracę na dość enigmatycznym stanowisku Dyrektora Zarządzającego Pionem Poczta Polska Ochrona ds. Operacji. Został czwartym zastępcą, otrzymał pensję w wysokości 14 tys. zł, plus premie i dodatki. A Sasin wkrótce zabrał go w podróż do Stanów Zjednoczonych jako „doradcę społecznego".

Również małżonka Łukasza, Martyna, przewinęła się przez spółkę Skarbu Państwa podległą ministrowi Sasinowi.

eprasa.pl 59dca094ab

Została zatrudniona w banku Pekao SA na stanowisku wicedyrektorki departamentu marketingu i dyrektorki ds. zarządzania wizerunkiem. Dziś już jej w Pekao SA nie ma, została zwolniona.

Według jednego z portali z ofertami nieruchomości w Supraślu dom z lat 90. o powierzchni 270 m kw. znajdujący się niedaleko nieruchomości Jacka Sasina oraz małżeństwa N. (i położony na działce o zbliżonej wielkości, ponad 500 m kw.)



© KUBA ATYS/AGENCJA WYBORCZA.PL

Warszawa, trybuny na Torwarze. Radosław Piesiewicz i Jacek Sasin podczas meczu koszykarskiego Polska–Chorwacja.

jest wyceniany na 1,3 mln zł. Tymczasem w aktualnym oświadczeniu majątkowym poseł Sasin określił wartość tej nieruchomości (a raczej połowy swoich udziałów w niej) na 550 zł (!). Osobno wpisał działkę, na której znajduje się ten dom, wyceniając udziały na 300 tys. zł.

O Jacku Sasinie mówi się, że to polityk z teflonu. Co jakiś czas pojawiają się zarzuty dotyczące jego politycznej działalności w związku z pełnionymi funkcjami albo po prostu obecnością w PiS – a to organizacja wyborów kopertowych, a to pociągnięcie na finansowe dno spółki PKP Cargo w związku z nakazem rozwożenia po kraju węgla po nałożeniu w 2022 r. embarga na Rosję, a to przyjmowanie kopert z pieniędzmi od aferzystów ze SKOK Wołomin – ale ze wszystkich wychodzi nietknięty. Bo sprawy grzęzną na etapie prokuratorskiego dochodzenia albo oskarżenia są słabo udokumentowane i oparte na relacjach mało wiarygodnych osób.

Jacek Sasin odmówił spotkania, ale odpisał na pytania zadane mailowo. Jeśli chodzi o związki z Piesiewiczem, twierdzi, że kiedyś łączyła ich bliższa relacja koleżeńska, ale obecnie znajomość jest luźna, a w latach 2017–20 (w 2018 r. Piesiewicz wszedł do związku koszykówki – przyp. red.) wcale się nie spotykali i nie utrzymywali kontaktu. O tym, że Piesiewicz jako pośrednik umów sponsorskich inkasował prowizje poprzez swoją firmę Radam, minister Sasin nie wiedział, ponadto nie miał wpływu na to, z jakimi związkami sportowymi albo klubami spółki Skarbu Państwa zawierały umowy. Twierdzi również, że nie wiedział, by związki sportowe były zmuszane do wypowiadania umów sponsorskich z państwowymi firmami i podpisywania nowych, ale za pośrednictwem rządzonego przez Piesiewicza PKOl.

Jeśli chodzi o syna, Jacek Sasin twierdzi, że nigdy nie pracował w Polskim Związku Koszykówki, a działkę w Supraślu kupił dzięki otrzymanej w rodzinie darowiźnie. Co do wartości jego udziału w domu (550 zł), który kupił wraz z małżeństwem N., doszło do oczywistej omyłki, kwotę należy pomnożyć przez tysiąc, a stosowne sprostowanie trafiło już do Kancelarii Sejmu. Dlaczego kupił dom na spółkę? Z małżeństwem N. zna się prywatnie, w podobnym czasie niezależnie poszukiwali nieruchomości na Podlasiu, a ponieważ tak się złożyło, że osobno mieli za mało pieniędzy, postanowili połączyć zasoby.

Działacz koszykarski: – *Syn Jacka Sasina formalnie został zatrudniony na zleceniu w Polskiej Lidze Koszykówki, ale wykonywał zadania również dla Polskiego Związku Koszykówki. Mówi się, że ojciec kazał mu się zwolnić, aby odcinać wszelkie powiązania z Piesiewiczem.*

Z oświadczeń majątkowych posła Sasina wynika, że w 2024 r. miał 180 tys. zł oszczędności i 200 tys. zł pożyczki hipotecznej. W 2025 r. oszczędności urosły do 210 tys. zł, a pożyczki już nie ma. W 2026 r. oszczędności stopniały do 14 tys. zł, pojawiła się kolejna pożyczka hipoteczna, na 400 tys. zł. Wystarczająco, żeby kupić działkę w Supraślu, której wartość określił na 330 tys. zł. Ale za mało, by kupić swój udział w domu.

Trzymanie się rygorów przewidzianych dla oświadczeń majątkowych nie jest mocną stroną Sasina. Prokuratura Okręgowa w Warszawie prowadziła postępowanie na podstawie zawiadomienia Centralnego Biura Antykorupcyjnego, gdyż kontrole stanu posiadania posła Sasina wykazały, że oświadczenia majątkowe składane w latach 2011–16 sporządzał niedbale. Nie uwzględniał zasobów finansowych małżonki, z którą wówczas pozostawał we wspólności majątkowej, zataił pożyczkę uzyskaną z Kancelarii Sejmu, o 25 tys. zł pomniejszył diety uzyskane z mazowieckiego urzędu marszałkowskiego, pominął środki zgromadzone na polisie na życie, pomylił się co do kwoty jednego z kredytów – w sumie dopatrzono się 13 czynów, które prokuratura określiła jako „zatajenie prawdy i zeznanie nieprawdy".

W 2018 r. postępowanie w sprawie zostało umorzone, gdyż prokurator nie dopatrzył się tego, że Sasin „zataił prawdę i zeznał nieprawdę" intencjonalnie. Uznano, że po prostu się pomylił albo nie zdawał sobie sprawy z konieczności umieszczenia w oświadczeniach pewnych danych.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 59dca094ab

Nasza cha

O tym, w co gra populistyczna prawica, dlaczego wyborcy na nią głosują i czy wojny da się uniknąć, mówi kulturoznawca i publicysta Jakub Dymek.



© DANIEL REMIAN

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Co dziś rządzi polską polityką?**

JAKUB DYMEK: – Strach. Strach przed tym, że to, co osiągnęliśmy, zostanie nam odebrane.

W Polsce żyje się dziś bardzo dobrze, to skąd te lęki?

Im więcej się ma, tym więcej jest do stracenia. Żeby to zrozumieć, nie trzeba cofać się do traum zaborów, okupacji i PRL. Wystarczy spojrzeć na historię ostatnich 30 lat. Polacy w latach 90. byli biedni i nie obawiali się, że ktoś przyjdzie im coś odebrać. Dziś przeciwnie. Jest taka trafna metafora socjolożki Arlie Russell Hochschild – „kolejki po dobrobyt". Bardzo długo staliśmy w tej kolejce. Przestrzegaliśmy wszelkich zasad. Byliśmy pokorni. Tyle wyrzeczeń. Nigdy nie kwestionowaliśmy reguł, a teraz ktoś mówi, że inni mogą wepchnąć się przed nas. „Nie ma mowy".

Inni, czyli Ukraińcy?

Inni to pojęcie elastyczne. Jeszcze parę lat temu inni to były tzw. pięćsetplusy. Wprowadzeniu programu 500 plus towarzyszyło mnóstwo obaw: że to karmienie patologii, że pieniądze przepiją, że zaleje nas fala półgłówków płodzonych przez zdemoralizowane pary... Klasa średnia na całym świecie potwornie obawia się deklasacji. I na tych lękach klasy średniej wchodzi się dziś do politycznego mainstreamu. W pierwszej turze wyborów prezydenckich połowa kandydatów, w tym Karol Nawrocki, obiecywała somalijskie podatki i szwajcarski dobrobyt. Jednak było to skierowane do tych, co już mają i chcą mieć więcej.

Nawrocki uwodzi też Polaków „na swojaka". Pierwsza dama się denerwuje, że prezydent nie odnosi talerzy do kuchni… Pachnie ustawką, ale ludzie to kupują.

To element większej układanki. Polityka upodobniła się do psychoterapii. „Z tobą jest wszystko w porządku. Zasługujesz na wszystko, czego chcesz. Skoncentruj się na swoich potrzebach. Ty jesteś ważny. Nie pozwól, żeby ktoś cię ograniczał". To jest język zarówno psychologicznych influencerek, jak i globalnej prawicy. „Wszystkie twoje nawet najgorsze emocje są w porządku, żadna polityczna poprawność nie ma prawa zakazać ci mówienia i robienia tego, co chcesz, a każdy, kto chce ci coś odebrać, to komunista i zły człowiek. Możesz pozwolić sobie na wszystko: na szowinizm, na schabowego, na auto spalinowe, na segregowanie śmieci i niepłacenie podatków, na nieszczepienie się. Bo ty jesteś dobry taki, jaki jesteś, i takim cię akceptujemy".

Ma sens, choć to bez sensu.

Mentzen mówi, że każdy Polak będzie miał dwa samochody, zero podatków, własny dom, a w ogródku grilla. I weź to przebij. Stare teorie polityczne przestały tłumaczyć nowe czasy. Dlaczego amerykańska klasa pracująca głosuje na Republikanów, którzy nic jej nie dadzą? A wręcz pogorszą życie przez podwyżkę cen ubezpieczeń zdrowotnych, obcięcie nakładów na edukację i ograniczenie świadczeń dla rodzin? A na końcu wywołają kolejne wojny? Na naszym podwórku zastanawiamy się, dlaczego kandydatem partii o nazwie – jak na ironię – Prawo i Sprawiedliwość jest polityk z kibolską przeszłością i fascynacją światem przestępczym? I też wymyka się to rozumowi.

Dlaczego?

Nas, dziennikarzy i analityków, uczy się myślenia w kategoriach domkniętych schematów i spójnych konstrukcji: jak się powinny zachowywać grupy ludzi, czego chcieć, za co wynagradzać i karać polityków, jak powinny wyglądać system partyjny i organizacja interesów w społeczeństwie. Nawet jeśli uczyliśmy się tego

eprasa.pl 59dca094ab

ta skrajna



Jakub Dymek – kulturoznawca, dziennikarz i publicysta, współautor (z Marcinem Giełzakiem) podkastu „Dwie Lewe Ręce". Autor książki „Rewolucja ambicji". Redaktor „Rocznika Idei", publikuje w „Przeglądzie" i „Tygodniku Powszechnym", stale współpracuje z Kanałem Zero.

z podręczników nieaktualnych od pół wieku, to wydaje się nam, że wiemy lepiej. A potem się okazuje, że rozsądek niewiele ma do gadania w dzisiejszej polityce. Rządzą emocje, atawizmy, egoizmy, ludzkie lęki i małości. Na własny użytek tłumaczę to sobie poprzez metaforę używek. Palacz dzień w dzień chodzi do kiosku i kupuje kolejną paczkę papierosów z napisem, że dostanie od tego raka.

Na złość babci odmrożę sobie uszy?

Coś w tym stylu. Wyborcy prawicowej międzynarodówki MAGA wiedzą, że owi politycy nie chcą ich dobra, że nie dowiozą połowy obietnic. Ale czują emocjonalnego kopa, że głosując na tych ludzi, przy okazji upokorzą tych, których sami nienawidzą – mądrali z wielkich miast, biurokratów. Głos na kogoś, kto wkurza establishment – Nawrocki, Braun, Trump, Farage, Milei, AfD – jest niezwykle przyjemnym rodzajem zemsty zastępczej.

Kim trzeba być, żeby posługiwać się taką logiką?

W swoim odczuciu są ofiarami systemu. To na przykład ci, którym obostrzenia lockdownowe położyły firmy. To było dla małej, ale głośnej grupy Polaków ostateczne złamanie umowy społecznej. Nie można po prostu ludziom zamknąć firmy. Dla innych podobnym złamaniem kontraktu było wpuszczenie ukraińskich dzieci do polskich szkół. Nie można w imię praw mniejszości pogarszać edukacji dla większości. Są też ludzie antysystemowi z założenia. Profil społeczno-demograficzny wyborców Grzegorza Brauna to ludzie często wykształceni. Raczej zamożni. Z własną działalnością gospodarczą, z prowincji, często niewierzący, przeważnie mężczyźni w wieku 40–50. Mentalnie i archetypicznie to rodzaj współczesnej szlachty zagrodowej: niechętnej władzy, konserwatywnej, zazdrosnej o swoją świętą wolność, antyzachodniej. To nie są żadni wykluczeni chłopi. To ludzie, którzy boją się deklasacji.

Lęk to irracjonalna emocja na bazie racjonalnych przesłanek.

Te osadzone są na fundamencie ochrony interesów. Jak masz małą firmę, dajmy na to na wschodzie Polski, to tanimi kosztami pracy mogłeś konkurować nawet z większymi graczami. Tyle że państwo rok w rok podnosi płacę minimalną. I nawet jak płacisz pod stołem, żeby omijać podatki, to i tak z czasem wypadasz z gry. Ich zażarta antyukraińskość nie wynika ze stosunku do zbrodni wołyńskiej, lecz z obaw, że po wejściu Ukrainy do Unii Europejskiej ich biznesy stracą rację bytu. Polska prowincjonalna, która zbudowała swój dobrobyt np. na firmach transportowych i przetwórstwie żywności, zostanie zmieciona z tego rynku, tak jak polscy kierowcy wycięli niemal do pnia niemieckie biznesy tego typu. Ale ciężko atakować Ukraińców za to, że potrafią zrobić coś taniej. Za to banderowców można atakować już do woli.

Po przepytaniu mieszkańców Miasteczka Wilanów okazało się, że tam też są silne nastroje antyukraińskie.

Ukraińska socjolożka Olena Babakowa uważa, że Ukraińcy, którzy wkurzają Polaków, to nie jest biedna babuszka uciekająca przed wojną, która sprząta naszą klatkę schodową, tylko ci, których Polacy widzą w spa, w hotelu, na dobrej siłowni czy w innej prestiżowej miejscówce. Denerwuje nas, że jedziemy na wakacje, a tam Ukraińcy. I tu też jest narracja zastępcza. To my naszą krwawicę wydajemy na czołgi dla nich, a oni się bawią na Malediwach. Zastępcza, bo chodzi o coś innego. Przywykliśmy, że Ukrainiec jest naszym...

...sługą?

No, my jesteśmy panami, a oni mają słuchać. Niech Larysa pozmywa jeszcze naczynia i podleje kwiatki. Przez lata budowaliśmy ten protekcjonalny stosunek do nich, co też było łatwe, bo po pracę do Polski przyjeżdżali najbiedniejsi. Konfrontacja z ukraińską klasą średnią i wyższą okazała się dla polskiego ego podwójnie trudna. Nie tylko są bogatsi, ale na dodatek niczym się od nas nie różnią. Moment, w którym pojawili się w Polsce masowo Ukraińcy, głównie kobiety i dzieci, wymazał z debaty publicznej strach przed pięćsetplusami i patologią. ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ Dzieciorób zniknął. Zaczął go zastępować Ukrainiec żyjący na polskim socjalu.

Pamiętam, jak ludzie w pociągach fukali na Ukraińców, którzy zaraz po wybuchu wojny mogli jeździć za darmo. Ci ludzie uciekali przed rzezią, a Polacy się wkurzali, że nie mają gdzie siedzieć. Trzeba się było z tego wycofać, bo w pociągach dochodziło do strasznych awantur.

Ze wszystkich badań wynika, że Polacy są gościnni, ale do czasu. Pomagaliśmy w lutym 2022 r., oczekując, że uchodźcy sobie odpoczną i wyjadą. Mogą sobie być, byle nie za długo. Z czasem napięcia rosły, bo jak ktoś kupował mieszkanie na kredyt na 30 lat, a Ukrainiec za gotówkę i od ręki, to nie ma zmiłuj, żeby nie było złych emocji. Tak samo z dziećmi w szkołach, kolejkami do lekarzy, rywalizacją małych firm...

Dlaczego w tę narrację wchodzi oficjalna polityka?

Bo to daje dziś władzę. I to nie tylko w Polsce, ale w całym zachodnim świecie. I nie chodzi tu o dobrą politykę migracyjną, lecz o redystrybucję okrucieństwa. W Polsce drzwi dla masowej migracji zarobkowej najszerzej otworzył PiS, w Wielkiej Brytanii po brexicie – rządy Partii Konserwatywnej. Nie chodzi więc o ograniczenie migracji, lecz o to, by dać ludziom prawo do pogardzania. I bardzo jasno zarysować kategorię, kto jest obywatelem, „białym człowiekiem", a kto nie. Ludzie chcieliby wprowadzić nowy apartheid. Dla wielu Polaków jest jak najbardziej OK, żeby Ukraińcy tu byli, ale pod warunkiem że nie będą mieli takich samych praw obywatelskich, bo to nam zaburza hierarchię rzeczywistości.

Trudno się słucha tego pana wywodu o Polakach.

Ale to światowy trend. W Wielkiej Brytanii rząd laburzystowski doprowadził do największej w historii redukcji migracji o 60 proc. rok do roku. I przegrał wybory lokalne z partią antymigracyjną. Nie tylko wyborcy nie zauważyli tej zmiany, ale redukcja migracji nie przełożyła się na ich emocje. Co więcej, sympatycy probrexitowej partii Reform UK, która te wybory wygrała, w jednym z badań w 80 proc. powiedzieli, że migracja wręcz wzrosła! Nie chodzi o faktyczne liczby migrantów w społeczeństwie, lecz o odzyskanie swojego statusu we własnym państwie. W Niemczech wschodnich antyimigracyjna AfD zbiera tym większy odsetek głosów, im mniej jest migrantów w danym okręgu.

Jakiś czas temu byłem w Berlinie i w sklepie spożywczym odezwałem się po angielsku do jednej z klientek, a ta wyskoczyła na mnie, że tu są Niemcy i tu się mówi po niemiecku. Przyznam, że mnie zatkało.

Kanclerz Merz drastycznie ograniczył migrację, wprowadził kontrolę na granicach, oficjalnie mówi o deportacjach Syryjczyków, oskarża migrantów o sprowadzenie do Niemiec plagi przestępczości i antysemityzmu, a AfD i tak bije CDU na głowę. Teraz każda partia w opozycji w Europie obiecuje spektakularne deportacje. Dlaczego? Bo jedynym politykiem, który zgarnia dywidendę poparcia za swoją politykę migracyjną, jest Trump. On z deportacji zrobił reality show. Biały Dom zamieszcza na swojej stronie internetowej „grę w węża" znaną z telefonów komórkowych, w której łapiesz migrantów na pustyni. Darmowy spektakl dla mas: może nie będzie wam się lepiej żyło, ale przynajmniej będziecie mogli pogardzać innymi.

To wszystko jest tak ładnie i mądrze opowiedziane, że aż nie chce się w to wierzyć, bo jest głęboko nieracjonalne.

Zgadzam się, że to głęboko atawistyczne. I politycy przez ostatnie lata wiele robili, żeby te atawizmy społeczne w nas zdusić. Może nawet zbyt wiele, tuszując pewne afery związane z migrantami. W Wielkiej Brytanii sprawa *grooming gangs*, czyli gangów gwałcicieli, kładzie się cieniem na życie społeczne i polityczne od niemal 20 lat. Premier Starmer przez kilka miesięcy odmawiał wszczęcia kolejnego śledztwa, zdając sobie sprawę, że to dotknie kwestii etnicznych i może rozpalić ogień, którego nie uda się ugasić. I byłby na przegranej pozycji, cokolwiek by zrobił. Iwan Krastew kiedyś napisał, że liberalizm zaproponował społeczeństwu alternatywę „więcej migracji albo mniejsze emerytury", a ono ją odrzuciło. I dziś nawet liberalna część społeczeństwa zaczęła mieć poczucie, że uprzywilejowanie mniejszości poszło za daleko. Starmer walczył z migracją, z przemytem, z przestępczością, a i tak odchodził jako jeden z najbardziej znienawidzonych premierów powojennej Wielkiej Brytanii. Według ostatnich badań CBOS Ukraińcy są trzecim najbardziej nielubianym przez Polaków narodem obok Rosjan i Białorusinów.

Może przez Wołyń i postawę Zełenskiego?

Trzeba przyznać, że prezydent Nawrocki dobrze odrabia lekcje z badań społecznych. Zdanie „Polska nie może być gospodarstwem pomocniczym Ukrainy", które wypowiedział w debacie telewizyjnej, przechyliło szalę zwycięstwa na jego korzyść. W uszach i głowach wielu Polaków przywraca ono naturalną hierarchię. Biją się z Ruskimi? Świetnie, możemy im pomagać, ale nie będziemy ich obsługiwać. Nawet dobór słów nie był przypadkowy, z tym odwołaniem się do gospodarstwa, do wsi, do szlachty, która nie będzie kłaniać się ukraińskim parobkom. Nasza pomoc może być, ale tylko w relacji polskiego pana i ukraińskiego chłopa. I wdzięczność. Ma być wdzięczność.

W co gra Nawrocki?

W pozakonstytucyjną zmianę ustroju na prezydencki. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że jeśli Trump nie przegra wyborów połówkowych, a we Francji wygra Le Pen/Bardella, to droga do powołania w Polsce „rządu prezydenckiego" z amerykańskim patronatem będzie otwarta. Prezydent może powiedzieć, że ma mandat do powołania, kogo chce na premiera, Trump pobłogosławi to wpisem na Truth Social, zagrozi wycofaniem żołnierzy, jeśli nie będzie rządził „Nowrocky", i tyle. Nikt po przegranej stronie słowem nie piśnie.

Dwutygodniowy rząd Morawieckiego pozałatwiał mnóstwo interesów. Premier Tusk grzmiał nawet, że ministra klimatu z tamtego gabinetu odpowie przed wymiarem sprawiedliwości za zgodę – wbrew opinii ABW – na małe reaktory. Minęły lata, a była pani ministra ma się dobrze, więc może to przyzwolenie ośmieli i prezydenta.

Po 2027 r. głos UE może już nie mieć znaczenia, bo może to być zupełnie inna Unia. Najwięcej się rozstrzygnie po amerykańskich wyborach, bo USA działa jako największy rozbijacz Unii. Widzimy, na czym polega oferta Trumpa dla polskiej, brytyjskiej, francuskiej, niemieckiej prawicy – mają w zamian za poparcie USA dążyć do osłabienia UE i jakichkolwiek regulacji dla amerykańskich korporacji, do zatrzymania transformacji energetycznej. Ale z drugiej strony USA działają też paradoksalnie jak największy motor integracji UE: poluzowanie polityki fiskalnej i deficytu, KPO, SAFE, polityka handlowa, inwestycje w przemysł to narzędzia wymuszone przez politykę chińską i amerykańską. Myślę, że przyszłość Europy decyduje się właśnie teraz. Polska po wyborach też podejmie decyzję, czy należy do obozu Europy, czy Trumpa.

Wybierze też to, czy znowu będzie ginąć w okopach.

W tej kwestii może nie mieć wyboru.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 59dca094ab

Elbląg otwiera Bramę na Bałtyk

Elbląg wchodzi w decydującą fazę największej od dekad inwestycji portowej. Rządowa inwestycja zapewni miastu pełny dostęp do morza, a samorząd zbuduje zaplecze, aby przyciągnąć kapitał i stworzyć nowe miejsca pracy. Powstanie nowoczesny portowy hub logistyczny, multimodalny, modułowy i przygotowany na potrzeby przemysłu XXI wieku.



Wizualizacja terminal T2 – opracowanie WSP Polska i WXCA GROUP

Elbląg jest coraz bliżej momentu, na który czekał od lat. Pełnego wykorzystania swojego położenia nad Zalewem Wiślanym i rzeką Elbląg. Po stronie państwa realizowany jest ostatni, kluczowy element infrastruktury dostępowej. W ramach kolejnych prac na rzece Elbląg planowane jest pogłębienie toru wodnego do głębokości 5 metrów i szerokości 36 metrów, a także budowa obrotnicy. Teraz samorząd musi zrobić wszystko, aby ten dostęp przyniósł miastu maksymalne korzyści gospodarcze. I właśnie temu służy projekt „Brama na Bałtyk".

Brama na Bałtyk, czyli port, który można dopasować do rynku

Samorząd Elbląga wyłonił koncepcję rozwoju infrastruktury portowej obejmującą budowę terminala T2 przy ul. Żytniej oraz rozbudowę i przebudowę terminala przy ul. Radomskiej. Zwycięska koncepcja „Brama na Bałtyk" została przygotowana przez WSP Polska i WXCA GROUP. Z końcem lipca samorząd podpisał umowę ze zwycięskim konsorcjum na opracowanie dokumentacji projektowo-kosztorysowej. Jej najważniejsze założenia to modularność i multimodalność. W praktyce oznacza to port, który nie będzie projektowany pod jeden rodzaj ładunku czy jednego klienta. Infrastruktura ma być elastyczna i pozwalać na tworzenie różnych stref funkcjonalnych w zależności od potrzeb rynku. Nowe nabrzeża, place składowe, nawierzchnie przystosowane do wysokich obciążeń, magazyn wysokiego składowania oraz bocznica kolejowa mają stworzyć spójny system logistyczny. Port będzie mógł łączyć transport morski, drogowy i kolejowy, umożliwiając przedsiębiorcom wybór najbardziej efektywnego sposobu przewozu ładunków. To port projektowany nie tylko na dzisiaj, ale na kolejne dekady.

– Naszym celem nie jest samo powiększenie portu. Chcemy stworzyć możliwości rozwoju gospodarczego Elbląga i całego subregionu Zalewu Wiślanego. Wielokrotnie powtarzam, że planowane inwestycje w nowoczesną infrastrukturę portową to największy bodziec rozwojowy miasta od 50 lat, czyli od roku 1975, kiedy powstawało województwo elbląskie – mówi prezydent Elbląga Michał Missan.

Na rozwój portu i infrastruktury okołoportowej przeznaczone zostało około 200 mln zł z programu Fundusze Europejskie dla Warmii i Mazur 2021–2027. Środki obejmują zarówno inwestycje bezpośrednio na terenie portu, jak i przedsięwzięcia drogowe.

Port musi mieć swoją drogę

Nowoczesny terminal nie będzie jednak funkcjonował bez sprawnego systemu dojazdowego. Dlatego miejski projekt obejmuje także przebudowę infrastruktury drogowej. Planowana jest budowa dwóch rond na połączeniu obecnego terminala przy ul. Radomskiej z Trasą Unii Europejskiej oraz przebudowa ul. Mazurskiej, która będzie obsługiwała przyszły terminal przy ul. Żytniej. Trasa Unii Europejskiej łączy port z drogą ekspresową S7. Dzięki temu ładunki dostarczone statkiem będzie można sprawnie przekazać do transportu drogowego, na kolej lub do magazynów. Dlatego rozwój portu i rozwój układu drogowego są w rzeczywistości jednym projektem gospodarczym.

Nowe, dodatkowe perspektywy dla biznesu

Plany rozbudowy portu wpisują się w wieloletnie strategie rozwoju elbląskich firm z sektora przemysłowego, metalurgicznego, maszynowego i branż pokrewnych, które zwiększają produkcję i zatrudnienie. Nowa infrastruktura portowa stworzy im możliwość sprawniejszego transportu ładunków ciężkich i wielkogabarytowych drogą wodną. Jednocześnie rośnie zainteresowanie Elblągiem ze strony nowych inwestorów z różnych branż, w tym produkcyjnej, przemysłowej, logistycznej i turystycznej, którzy dostrzegają w mieście dobre warunki do rozwijania działalności gospodarczej. Elbląg chce wykorzystać rozwój portu jako impuls do przyciągania nowych inwestycji, także przedsięwzięć związanych z gospodarką morską i turystyką. Miasto już od dawna przygotowuje się na moment, kiedy morska droga do Elbląga będzie w pełni funkcjonalna.

eprasa.pl 59dca094ab

Zarabiając na zwierzęcej krzywdzie, można samemu żyć jak król. W świecie organizacji prozwierzęcych panują nieludzkie zasady. Czy ktoś wreszcie zrobi z tym porządek?

AGNIESZKA SOWA



Zwierzę musi żreć

Sektor organizacji pozarządowych zajmujących się zwierzętami wymyka się wszystkim statystykom, a przy okazji również kontroli. Nie wiadomo nawet, ile takich organizacji i fundacji jest. Nie ma żadnego spisu ani rejestru, nie wiadomo, ile mają pod opieką zwierząt i na co tak naprawdę wydają olbrzymie sumy, którymi obracają w dużej mierze dzięki ludzkiej hojności. Największe organizacje – TOZ (Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Polsce) i OTOZ (Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt „Animals") zebrały w zeszłym roku po niemal 40 mln zł, ale to organizacje mające wiele oddziałów i schronisk.

Takie sieciówki sektora zwierzęcego. Wśród indywidualnych tegorocznym rekordzistą jest Dolnośląski Inspektorat Ochrony Zwierząt (DIOZ): 16,2 mln zł wpływów. Rok wcześniej było więcej: 20 mln i blisko 2,7 mln zysku. Fundacjom Viva!, Ada i Judyta również udało się przekroczyć próg 10 mln. To owoc setek, a może i tysięcy zbiórek. W mediach społecznościowych największych organizacji co chwila pojawiają się nowe rolki lub zdjęcia przedstawiające interwencje organizacji lub uratowane zwierzęta, którym trzeba natychmiast zapewnić pomoc lekarską i karmę. Im bardziej dramatyczne kadry, tym zbiórka lepiej żre, jak mówią w branży.

Kiedy Dorota „Doda" Rabczewska zaangażowała się w walkę z patoschroniskami, odkryła, że patologie dotyczą nie tylko prywatnych schronisk, prowadzonych jako biznes przez przedsiębiorców, ale także tych pod egidą fundacji czy stowarzyszeń. „Nie miałam świadomości i pojęcia, jakie jest drugie i trzecie dno... Pod

eprasa.pl 59dca094ab



© MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

płaszczykiem pomocy, schronisk czy stowarzyszeń kryje się piekło bezdomnych czworonogów. Nie sądziłam, że wpłacając datki na różne stowarzyszenia czy schroniska, sponsoruję wakacje tych kierowników, jacuzzi czy jakieś ich dobra, a psy umierają wtedy w męczarniach", mówiła Doda podczas swojego emocjonalnego wystąpienia na posiedzeniu Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej. Jej słowa przeszły bez echa, chociaż na posiedzeniu byli wszyscy posłowie i przedstawiciele władzy wykonawczej zajmujący się tematyką ochrony zwierząt.

Już kilka lat temu to „żebranie o bliki" stało się tak popularne i nachalne, że zjawisku zaczęli się przyglądać co bardziej podejrzliwi internauci. W mediach społecznościowych powstały grupy, profile i społeczności monitorujące rynek ochrony zwierząt. Wyspecjalizowane, czyli poświęcone jednej konkretnej organizacji prozwierzęcej, np. „Prawda o DIOZ", „Prawda o DIOZ 2.0", dedykowane Dolnośląskiemu Inspektoratowi Ochrony Zwierząt. Albo „Gieniutkowo – pod lupą internautów", które zajmuje się Azylem dla świń Gieniutkowo, czy „Ada tak nie wypada" obserwująca Fundację Ada z Przemyśla, która w zeszłym roku zebrała 14,2 mln zł.

Są też profile przyglądające się całemu rynkowi organizacji i fundacji. Fejsbukowa grupa „Ujawniamy nieprawidłowości w świecie prozwierzęcym" liczy 50 tys. członków i deklaruje jako cel „ujawnianie naciągania darczyńców na pieniądze na różnych zbiórkach na różne zwierzęta, które czasami nawet nie istnieją lub już nie żyją, albo nie wiadomo co się z nimi dzieje". Strona „Ekopatologia" (11 tys. obserwujących) pokazuje „działalność organizacji prozwierzęcych w Polsce, żerujących na Waszej empatii i wyłudzających od Was darowizny. Rzecz również dotyczy przestępczości zorganizowanej i braku jej zwalczania w państwie z bibuły i kartonu".

Jedną z pierwszych była „Czarna Lista Organizacji Prozwierzęcych", społeczność licząca 47 tys. obserwujących, która od 10 lat tropi nieprawidłowości w działaniu różnych fundacji i stowarzyszeń. I pomaga ludziom, którzy twierdzą, że organizacje odebrały im niesłusznie zwierzęta. Strona ma kilkunastu administratorów, głównie działaczy na rzecz zwierząt i lekarzy weterynarii. Do tej pory wszyscy pozostawali anonimowi. Niedawno jednak jeden z nich, Michał Kowalski, opublikował książkę „Jak zarobić na zwierzętach. Patologie petbiznesu". Autor zastrzega, że nie neguje ochrony zwierząt (sam jest w nią mocno zaangażowany) ani nie twierdzi, że wszystkie organizacje i fundacje to cyniczni oszuści. To, co opisuje, to margines. Jest to jednak margines przerażający.

Poza kontrolą

Znamy liczbę bezdomnych zwierząt „gminnych" i wydatki na nie poczynione przez samorządy w ponad 200 gminnych schroniskach w kraju. Ale nie sposób sprawdzić, ile zwierząt trafia do organizacji czy fundacji, można się opierać tylko na deklaracjach aktywistów. Nie dość na tym, nie wiadomo, co się dzieje w fundacyjnych azylach czy przytuliskach albo tzw. domach tymczasowych. Wprawdzie od marca tego roku weszły w życie nowe przepisy dotyczące schronisk, ale dalej stały nadzór powiatowego lekarza weterynarii dotyczy tylko miejsc spełniających określone wymogi formalne i zgłoszonych do rejestru PLW. Przytulisko, azyl czy ośrodek interwencyjny (jak w przypadku Ośrodka Ochrony i Ratownictwa Zwierząt w Pietrzykowie DIOZ, Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt) działają poza oficjalnym rejestrem schronisk i nie podlegają bezpośredniemu, rutynowemu nadzorowi Państwowej Inspekcji Weterynaryjnej.

Michal Kowalski w swojej książce przypomina sprawę Toruńskiej Kociej Straży, która swój azyl zorganizowała w parterowym pawilonie pośrodku osiedla mieszkaniowego. Protesty mieszkańców doprowadziły w końcu do interwencji służb, które w tym schronieniu dla zwierząt znalazły ich więcej martwych niż żywych. Dokładnie 36 martwych, głównie kotów. Z tego „azylu" uratowano 9 psów i 12 kotów, a postępowanie przeciwko aktywistce Joannie Wendzie ostatecznie umorzono ze względu na jej niepoczytalność. Gdyby na swój azyl wybrała miejsce bardziej odludne, męczarnia zwierząt mogłaby trwać znacznie dłużej. Podobnie było w przypadku przytuliska Fundacji OdNowa Magdaleny Nowakowskiej, która zaczynała swoją działalność w mieszkaniu ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ w bloku na ostrołęckim osiedlu. Potem, za pieniądze ze zbiórek prowadzonych pod hasłem „zwierzęta tracą dach nad głową", postanowiła zbudować przytulisko w samym środku wsi Gnaty, w gminie Lelis, tuż za płotem sołtysa. Który widział, w jakich warunkach żyją zwierzęta, pozostawione same sobie, bo prezeska fundacji przyjeżdżała co drugi dzień, i to na krótko. Mimo protestów sołtysa i większości mieszkańców gehenna zwierząt w tym niezarejestrowanym schronisku trwała pięć lat.

Magdalena Nowakowska zakładała co chwila nowe zbiórki i publikowała setki apeli z prośbą o pomoc. Na jeden z nich, po trzech latach działalności przytuliska odpowiedziała wolontariuszka, która zamiast wysłać blika na 10 zł, postanowiła pojechać i pomóc. To, co zastała na miejscu i udokumentowała (psy bez bud, śpiące w skrzyniach, na zamarzniętych odchodach, puste miski, martwy szczeniak), było podstawą pierwszych interwencji. Już wtedy Inspekcja Weterynaryjna zdecydowała o odebraniu wszystkich zwierząt, ale decyzja nie została wykonana, bo nie było dokąd ich zabrać. Prokuratura Rejonowa w Ostrołęce zawiadomiona o możliwości znęcania się nad zwierzętami wydała w stosunku do pani Magdaleny zakaz zajmowania się zwierzętami. Ta zatem scedowała obowiązki na swoją 70-letnią matkę. Na FB powstał profil „Historia psów z Odnowa", gdzie próbowano znaleźć chętnych do adopcji zwierząt. I dopiero po pięciu latach, w czerwcu 2024 r., doszło do kolejnej, ostatniej już interwencji i dzięki pomocy posłanki Żanety Cwaliny-Śliwowskiej z Polski 2050 udało się zabrać 32 psy do trzech schronisk. Po kilku miesiącach prezeskę Fundacji OdNowa sąd skazał za znęcanie się nad 44 psami na karę sześciu miesięcy w zawieszeniu na dwa lata. Dostała też zakaz posiadania zwierząt (na dwa lata) i prowadzenia działalności związanej ze zwierzętami (na cztery lata).

W Chrzanowie, także matka z córką, Helena i Diana Rawickie, prowadziły pod szyldem Towarzystwa Ochrony Przyrody „Inni" dwa azyle na 20 psów i 60 kotów. Sąd uznał je za winne znęcania się nad bezbronnymi podopiecznymi. Wyroki w zawieszeniu. Takich historii, jak pisze Kowalski, jest całe mnóstwo.

„Wszystkie organizacje, w czasie gdy zwierzęta znajdujące się pod ich opieką przechodziły gehennę, na bieżąco relacjonowały – wręcz manifestowały – swoją miłość do zwierząt. I nikt niczego nie podejrzewał", pisze Michał Kowalski. Często tylko przypadek może sprawić, że dowiemy się, co tam się naprawdę dzieje. Tak było z Fundacją Ochrony Zwierząt Chata Zwierzaka z Wąsewa, która zbierała datki, reklamując się, że jest domem spokojnej starości dla zwierząt. Ktoś upublicznił nagranie z monitoringu, na którym Paweł Durdyń, wiceprezes fundacji i partner prezeski Iwony Gabor-Kantorowicz, przechodząc przez przedsionek, z całej siły kopie w głowę leżącego spokojnie psa. Gdy prezeska tłumaczyła, że to był jednorazowy wybryk, wyciekły kolejne nagrania, jeszcze bardziej szokujące.

Przyjemności prezeski

Wiceprezes fundacji Chata Zwierzaka doczekał się (łagodnego) wyroku. Najpierw wyrokiem nakazowym miał zapłacić 2 tys. zł na konto swojej własnej fundacji. Po sprzeciwie oskarżyciela posiłkowego sąd ponownie uznał winę oskarżonego i zasądził nawiązkę już na rzecz innej organizacji oraz 30 godzin prac społecznych w miesiącu przez dwa lata. Fundacja bez przeszkód działa dalej. Mimo że w toku dochodzenia pojawiły się dowody na to, że pieniądze ze zbiórek nie były przeznaczane tylko na zwierzęta. Autor „Patologii petbiznesu" otrzymał anonimowo wyciągi bankowe Chaty Zwierzaka. Jak pisze, pierwszy raz w historii środowiska NGOsów zajmujących się pomocą zwierzętom była szansa prześledzenia rzeczywistych przepływów gotówki na koncie konkretnej fundacji. To zupełnie co innego niż coroczne sprawozdanie finansowe, jakie muszą składać wszystkie fundacje i organizacje, zawierające zestawienie wpływów ze zbiórek i od darczyńców oraz wydatków. Wyciągi bankowe dokumentowały, na co były wydawane fundacyjne pieniądze.

Kowalski przeanalizował październik 2022 r. Przychód fundacji wyniósł w tym miesiącu ponad 100 tys. zł, co nie jest małą sumą na utrzymanie ok. 100 zwierząt (40 psów i 60 kotów). Niemal 5 tys. zł wydano, jak pisze Kowalski: „na przyjemności pani prezes". Płatności kartą w sklepach z odzieżą czy kosmetykami, jak Sephora czy Guess. Do konta były podpięte cykliczne płatności za Netflixa, Cyfrowy Polsat, Storytel i Tindera.

Kartą opłacano zakupy spożywcze (1350 zł), w tym także rachunki w Pizza Hut i KFC i na stacjach benzynowych. Benzynę da się wpisać w kategorię wydatków na zwierzęta, ale już nie cytrynową Soplicę kupioną na tej samej stacji. Ponad 13 tys. to przelewy do osób prywatnych, w tym dwa do Pawła Durdynia, który wedle zapewnień prezeski miał już nie pracować w fundacji, bo było to po ujawnieniu nagrania, na którym skopał psa. Prawie 4,5 tys. zł fundacja wydała w październiku na materiały budowlane i motoryzacyjne. A w tym czasie Chata Zwierzaka nie prowadziła żadnej budowy. Do tego dużo wypłat gotówki z bankomatów.

Sprawą dziwnych wydatków fundacji Chata Zwierzaka próbował zainteresować wymiar sprawiedliwości Tomasz Łomnicki, znany jako „Fit Dzik", któremu prezeska postanowiła powierzyć reprezentowanie fundacji, by poprawić wizerunek zszargany przez jej partnera i wiceprezesa fundacji Pawła Durdynia. Łomnicki początkowo się zgodził, ale po zapoznaniu z dokumentami finansowymi odmówił. I prawdopodobnie podzielił się swoją wiedzą z autorem książki oraz z Prokuraturą Rejonową w Ostrowi Mazowieckiej, która jednak postępowanie w sprawie defraudacji środków od darczyńców umorzyła.

Bez odbioru

Z fundacji Chata Zwierzaka wyciekły nagrania z kamer monitoringu i bankowe wyciągi, a ze stowarzyszenia Dolnośląska Straż ds. Zwierząt nagrania głosowe, zalecenia i instrukcje, które prezeska zostawiała dla podwładnych w wewnętrznym komunikatorze. Opublikowano je w internecie, ale mimo naprawdę bulwersujących treści afery nie było. Straż to niszowa organizacja, która wtedy dopiero raczkowała. Stąd starania prezeski, żeby zaistnieć na „rynku". Świadoma, że konkurencja jest duża, przestrzegała: „Nigdy, absolutnie nigdy, nie podajemy gdzie, kiedy jedziemy". Bo albo „właściciele się ogarniają", albo „inne organizacje sobie podp..... interwencje".

No i jak już się jedzie na taką interwencję, trzeba zwierzę odebrać: „Bo jeżeli jeździsz bez odbiorów, no to co, nikt nie wpłaci na to zwierzę, a my będziemy bulić za paliwo". Kolejna instrukcja: „jeśli macie jakiś potencjał aferogenny.... To nie zgłaszacie do służb, zgłoście nam. Żebyśmy my mieli chociaż materiał, żeby się na czymś wybić". Inaczej „zabrałaby zwierzaka straż miejska... Poszedłby do schroniska, a co nam z tego będzie? I zwierzak będzie mieć gorzej i my będziemy mieć gorzej". Tymczasem „wszystkie organizacje, które są w jakiś sposób szanowane, pokazują te dramaty... Organizacje interwencyjne nie istnieją bez zwyroli i dramatów. Jesteśmy od siebie, k...a, wzajemnie zależni".

eprasa.pl 59dca094ab

Ustawa o ochronie zwierząt mówi, że organizacje mogą odebrać zwierzę, gdy jego życie lub zdrowie jest zagrożone, w przypadku gdyby dalej pozostawało u dotychczasowego opiekuna. Jednak nie precyzuje, co dokładnie znaczy zagrożenie zdrowia i jak taka interwencja ma wyglądać. Na te luki w przepisach zwracał już uwagę Rzecznik Praw Obywatelskich. Kuźmiński przyznaje, że DIOZ interpretuje ustawowe przesłanki bardzo szeroko. Szczyci się, że pokazują innym, jak to się powinno robić. Ubrani w czarne kombinezony, kamizelki z nadrukiem „straż" lub „inspektor" wpadają najczęściej w nocy i nierzadko używają siły. Wszystko nagrywają. „Dzięki temu inne organizacje przestały się bać i tylko prosić ludzi zaniedbujących zwierzęta, żeby je łaskawie oddali, a zaczęły po prostu odbierać" – powiedział Kuźmiński wrocławskiej „Gazecie Wyborczej". Akcje były tak nagminne, że powstało stowarzyszenie Pokrzywdzeni przez System, skupiające ludzi, którym, w ich przekonaniu, niesłusznie odebrano zwierzęta.

Prokuratura w Jeleniej Górze badała interwencje DIOZ z lat 2014–18 i oskarżyła prezesa DIOZ o przywłaszczenie kilkudziesięciu zwierząt. Rok temu zapadł pierwszy prawomocny wyrok, skazujący Kuźmińskiego i innego przedstawiciela DIOZ, Eryka Złotego, prywatnie partnera Kuźmińskiego, za kradzież zwierzęcia podczas interwencji. Mają zapłacić grzywny. Pod prośbą o kasację do RPO i prokuratora generalnego podpisało się kilkadziesiąt tysięcy fanów organizacji.

Swoje śledztwo w sprawie DIOZ prowadzą CBŚP i prokuratura w Świdnicy. Śledczy analizują, czy interwencje, podczas których odbierano zwierzęta, były zgodne z prawem. Do śledztwa włączyli 14 spraw z różnych części Polski. Sprawdzają też, na co wydawane są pieniądze z internetowych zbiórek i czy zabiegi na zwierzętach wykonywały osoby z uprawnieniami. To po opowieściach jednego z sygnalistów, „Kociego Taty", który był wolontariuszem w DIOZ. A potem opowiedział, co widział, m.in. musiał asystować przy amputacji nogi u potrąconej przez samochód sarny. Według jego relacji zabieg ten miał przeprowadzić Eryk Złoty, który nie posiada wykształcenia weterynaryjnego ani uprawnień technika weterynarii.

Sok wiśniowy i ketchup

Żeby zdobyć potencjał aferogenny i móc pokazać dramaty i zwyroli, niezbędne są zdjęcia i filmy. To jest zadanie faktycznych opiekunów zwierząt – w przypadku opisywanej wcześniej Dolnośląskiej Straży dla Zwierząt są to najczęściej domy tymczasowe, bo organizacja nie prowadzi żadnego azylu. Prezeska Straży żaliła się podwładnym na opiekunów: „Dzisiaj mi mówi, że wyczesała z psa ileś tam kleszczy, nie zrobiła zdjęcia. I jeszcze oni są z siebie zadowoleni, że pomogli pieskowi. Naprawdę. Albo pies ślizga się, nie jest w stanie ustać na kaflach. Nie nakręciła tego. No, na kafle może go jeszcze przełożyć".

Na kafle można przełożyć, ale trudno np. drugi raz pobierać kotu mocz do badania przez powłoki brzuszne. Zabieg taki, nakłucie igłą pęcherza, przeszła kotka Stefa i nie zostało to przez wolontariuszkę Majkę uwiecznione, czego prezeska nie mogła odżałować, bo: „kot z igłą w brzuchu sprzedałby się zaj...iście".

Pozbawiona materiału zdjęciowo-filmowego, niezbędnego do internetowych publikacji zrzutek, prezeska radziła sobie, jak mogła. „Gdyby domy tymczasowe robiły zdjęcia i filmiki tak jak proszę – żaliła się w nagraniu głosowym na wewnętrznym komunikatorze – to ja nie musiałabym wymyślać tych cyrków... nie musiałabym koloryzować... tych zdjęć przerabiać... Latać, k...a, z sokiem wiśniowym jak idiotka".

Sok wiśniowy służył jako sztuczna krew do charakteryzacji, podobnie jak sok pomidorowy, którym jedna z wolontariuszek na polecenie prezeski umazała pysk kotu o imieniu Zdzichu. Kotek był faktycznie chory, ale nie wyglądał wystarczająco dramatycznie. Kiedy panie się pokłóciły, wolontariuszka opowiedziała autorowi książki historię charakteryzacji kota.

O kocie Zdzichu prezeska wspomniała w jednym jeszcze nagraniu, dzieląc się swoimi przemyśleniami na temat łatwowierności odbiorców: „Sprawia mi pewną frajdę i podejrzewam, że szefowie dużych organizacji mają tą frajdę w dużo większym nasileniu, że ludzie wierzą w to, co napiszę. Może mnie totalnie ponieść fantazja, tak jak ze Zdzichem, a i tak uwierzą".



© TOMASZ WASZCZUK/PAP

Jedna z interwencji inspektorów ochrony zwierząt OTOZ Animals

„Zakrwawiony" za pomocą soku pomidorowego kot to pestka w porównaniu z innymi ustawkami. Najgłośniejsza była autorstwa DIOZ. Dramatyczne nagranie przedstawiało przywiązaną do drzewa w lesie karmiącą sukę ze szczeniakami. Mieli ją znaleźć wolontariusze organizacji. Szybko okazało się, że aktywiści sami ją tam przywiązali, żeby nakręcić poruszającą scenkę.

Nieżyjący już poseł Łukasz Litewka, znany ze swojej działalności na rzecz zwierząt, złożył w październiku 2024 r. interpelację do prokuratora generalnego Adama Bodnara o udostępnienie informacji, czy w sprawie Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt (DIOZ) prowadzone są postępowania, a jeżeli tak, poseł wnioskował o objęcie ich dodatkowym nadzorem. W poście, w którym poinformował o złożeniu interpelacji, przestrzegał: „Niezależnie od odpowiedzi, proszę Państwa o zwracanie szczególnej uwagi i skrupulatne weryfikowanie wszystkich zrzutek, które publikowane są w internecie przez każde stowarzyszenie oraz fundacje. Nie ma nic gorszego niż osiąganie korzyści finansowych na iluzorycznej krzywdzie".

AGNIESZKA SOWA

Przy pisaniu tekstu korzystałam z książki Michała Kowalskiego „Jak zarobić na zwierzętach. Patologie petbiznesu" wydanej przez Gyldendal Astra.

eprasa.pl 59dca094ab



Od lewej: **Bartek Chaciński, Jarosław Klimaszewski, Marcin Krupa, Ilona Grędas-Wójtowicz i Krzysztof Żuk.**

Zmiana jakościowa

W specjalnej debacie POLITYKI włodarze Bielska-Białej, Katowic, Kołobrzegu i Lublina opowiadali o sensie programu stolic kultury i o tym, jak zmagania zamieniły się we współpracę.

Polska miała już dotąd dwie Europejskie Stolice Kultury – Kraków i Wrocław – mogliśmy więc obserwować, jak dużym impulsem bywa ten przyznawany od połowy lat 80. tytuł. Do finału wyścigu o kolejną polską ESK w roku 2029 weszły cztery miasta: Bielsko-Biała, Katowice, Kołobrzeg i Lublin. Wygrał go ten ostatni, ale po raz pierwszy doszło do współpracy między uczestniczącymi w rywalizacji miastami w takiej skali, że po zamknięciu konkursu Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło program Polskiej Stolicy Kultury. W ten sposób przez trzy lata poprzedzające specjalny program Lublina trzy pozostałe miasta będą kolejno realizować zręby swoich programów: Bielsko-Biała już tytuł PSK dzierży, w 2027 r. przejmą go Katowice na czele całej Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, a w roku 2028 swój program zrealizuje Kołobrzeg.

Zebraliśmy w naszym studiu reprezentantów wszystkich czterech miast, by porozmawiać z nimi o wyzwaniach związanych z tytułem stolicy kultury oraz o tym, jak ten tytuł wykorzystać. Bielsko-Białą reprezentował prezydent miasta Jarosław Klimaszewski. Katowice – prezydent Marcin Krupa, Kołobrzeg – zastępca prezydenta Kołobrzegu ds. społecznych Ilona Grędas-Wójtowicz, a Lublin – prezydent Krzysztof Żuk.

Pigułka na dobrostan

Wszystkie cztery bardzo różne polskie ośrodki połączyły w tym konkursie otwartość i wielokulturowość, obecna lub mocno wpisana w ich historię. – *Jesteśmy piękni w tej różnorodności. I dobrze, że powstała taka marka parasolowa jak Polska Stolica Kultury, bo ona te różnorodności spaja w coś jednego* – mówiła Ilona Grędas-Wójtowicz, przekonując, że od początku zmagań konkursowych nigdy nie czuła rywalizacji.

Wspólne były na pewno wyzwania, przed którymi miasta stanęły. Wszyscy wspominali o budowaniu jakości życia, której zasadniczym elementem staje się kultura. Okazuje się czynnikiem bardzo mocno oczekiwanym na poziomie lokalnym, nie tylko miasta, ale też poszczególnych dzielnic. I pomaga zapobiegać depopulacji.

– *To jest długofalowa zmiana miasta* – mówił o programie ESK Krzysztof Żuk. – *Chodzi o budowanie wspólnoty miasta, które z jednej strony zapewnia mieszkankom i mieszkańcom wysoką jakość życia, a z drugiej daje poczucie bezpieczeństwa, wolności i swobody tworzenia oraz działania. Zmiana pokoleniowa, która następuje, pokazuje, jak ważne są dziś te wartości.*

Prezydent Krzysztof Żuk przekonywał, że między potrzebami mieszkańców i gości nie ma kolizji. I podawał przykłady wartościowego działania w ramach nawet drobnych inicjatyw, np. grantów płynących do szkół. – *W jednej ze szkół podstawowych pojawił się pomysł, żeby stworzyć przyjazne miejsce dla młodych ludzi, gdzie mogliby spędzać czas podczas przerw i po zajęciach* – mówił prezydent Lublina. – *Okazało się, że w szkole są dwie pianistki, uchodźczynie z Charkowa, które wcześniej uczyły się w konserwatorium. Uczniowie pomyśleli więc, że dobrze byłoby postawić tam pianino, żeby mogły z niego korzystać one, ale także inni. I tak zrobiliśmy. To pokazuje, że czasem proste działania wystarczą, żeby stworzyć miejsce, które młodzi ludzie naprawdę uznają za swoje.*

Wszyscy wyraźnie akcentują nie ilościowe czy finansowe efekty programów, lecz zachodzące dzięki nim zmiany jakościowe. – *Kultura nie jest dodatkiem do miasta. Jest kołem zamachowym budowania jego tożsamości i ważną częścią życia mieszkanek i mieszkańców* – mówił prezydent Krzysztof Żuk, podkreślając, że lublinianie nie patrzą na kulturę wyłącznie w kategoriach kosztu.

Absolwenci uczelni, jak przekonywał prezydent Lublina, zostają w mieście, o ile dobrze się tu czują, mają możliwość realizacji swoich planów. Inny aspekt tej samej pracy nad zatrzymaniem młodych ludzi w mieście akcentował prezydent Jarosław Klimaszewski, wskazując na popandemiczną rzeczywistość, w której wykwalifikowani ludzie mogą pracować w wielu branżach w dowolnym miejscu na Ziemi. – *Co zrobić, żeby to było Bielsko-Biała? Ważne jest to, co po pracy – edukację mamy na dobrym poziomie, położenia górskiego*

eprasa.pl 59dca094ab

nam nikt nie odbierze, no więc stawiamy na kulturę – mówił prezydent Bielska-Białej.

– *Kultura buduje odporność i dobrostan psychologiczny. To pigułka na dobrostan* – mówił Jarosław Klimaszewski. Co współgrało ze słowami prezydenta Lublina o tym, że w chaotycznym, zróżnicowanym świecie budować stabilizację może miasto otwarte, wielokulturowe – a to zapewnia kontakt z kulturą.

Przypadek Katowic, miasta wchodzącego do konkursu jako reprezentant Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii – 41 gmin – jest na poziomie łączenia poprzez kulturę wyjątkowy, bo spaja obszary o wyraźnej odrębności: Śląsk i Zagłębie. Stąd hasło przewodnie aplikacji: Play!. – *Trochę oparte na muzyce, trochę na nowoczesnych technologiach, grach komputerowych, ale też na tym, że jak mówimy „gramy do jednej bramki", to oznacza, że wszyscy zmierzamy do jednego celu* – mówił prezydent Marcin Krupa. Ten cel to znów miejska przemiana, na różnych poziomach. – *Wspieramy oddolne inicjatywy poprzez włączanie różnych środowisk kulturalnych* – dodawał prezydent Katowic, zaznaczając, że pod względem zabiegania o publiczność GZM ma trochę prościej: – *Chcemy przyciągać gości z innych miast, ale nie do końca musimy, bo my sami, jako Metropolia, mamy zasób 2 mln mieszkańców.*

Kultura to nie koszt

Hasło „impulsu do rozwoju miasta" powtarzało się w wypowiedziach prezydentów, pytanych w debacie o balans pomiędzy potrzebami mieszkańców a ofertą dla przyjezdnych. To zaangażowanie tych pierwszych jest kluczowe. Marcin Krupa przywoływał przykład Katowic, które wcześniej ubiegały się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016 – *Wtedy jeszcze nie było pomysłu na Polską Stolicę Kultury, ale trzeba jasno powiedzieć, że starania o ESK 2016 stały się impulsem do społecznej przemiany Katowic. Takiego zaangażowania mieszkańców w tworzenie miasta kultury do tamtej pory nie było.*

Górny Śląsk, kiedyś utożsamiany z ciężkim przemysłem, kopalniami, hutami, zyskał nowe wizytówki w postaci nowoczesnej sali NOSPR i Muzeum Śląskiego – zbudowanych w miejscu, gdzie jeszcze w 1999 r. działała kopalnia.

– *Stawiamy na miejsca, które nie będą wielkimi gmachami, nie potrzebują wielotysięcznej publiczności, ale będą bliskie mieszkańcom* – mówiła z kolei Ilona Gręda-Wójtowicz. – *Odzyskujemy zabytki. Przykładem niech będzie położona w centrum naszego miasta Baszta Lontowa, którą odkupiliśmy z rąk prywatnych, przez wiele lat nieudostępniana, a dziś zrewitalizowana. Odbywają się tam warsztaty, spotkania, główna tematyka to tożsamość Kołobrzegu i jego mieszkańców.*

Prezydent Krzysztof Żuk przekonywał, że między potrzebami mieszkańców i gości nie ma kolizji. I podawał przykłady wartościowego działania w ramach nawet drobnych inicjatyw, np. grantów płynących do szkół. – *W jednej ze szkół podstawowych wymyślono, że będą tworzyć przyjazne przestrzenie dla młodych ludzi na czas przerw i po zajęciach* – mówił prezydent Lublina. – *I uznali, że skoro są w szkole dwie pianistki, uchodźczynie z Charkowa, z konserwatorium, to w tej przestrzeni powinno się znaleźć pianino dla nich i dla innych. I to pianino postawiliśmy. Proste działania budują przestrzenie, które oni uznają za swoje własne.*

Bielsko-Biała z perspektywy miasta już realizującego program Polskiej Stolicy Kultury dzieli się doświadczeniami. – *Widzimy już efekty. A dziś wszystko się mierzy, choćby zasięgi w mediach społecznościowych. Widzimy to uskrzydlające dla nas zaangażowanie mieszkańców* – mówił prezydent Jarosław Klimaszewski. Dla jego miasta ten rok to aż 100 dodatkowych wydarzeń. Przywoływał przykład spektaklu operowego „Carmen", dla którego sceną było centrum miasta. – *Słychać było wszystkie języki. W ciągu trzech dni – mierzyliśmy to z drona – wspólnie było ok. 100 tys. ludzi. A w sumie miasto ma 160 tys. mieszkańców. To uruchomiło coś, co będzie trudno podtrzymać, ale da się.*

Krzepiące wydaje się to, że wszyscy prezydenci wyraźnie akcentują nie ilościowe czy finansowe efekty programów, tylko zmiany jakościowe. – *One nie są dodatkiem do miasta, są częścią jakości życia, kołem zamachowym budowania tożsamości miasta* – mówił prezydent Krzysztof Żuk, dodając, że na kulturę mieszkańcy Lublina nie patrzą w kategoriach kosztu.

Jeszcze bardziej krzepiąca wydaje się współpraca. Jej ważny rozdział już od 2 do 4 października. Wtedy w Bielsku-Białej, pod kuratorską opieką Krystiana Lady – reżysera operowego, dramaturga i librecisty – odbywać się będzie Wędrujący Festiwal, uformowana wspólnie impreza, której kolejne odsłony trafią do Katowic, Kołobrzegu i Lublina. Zespoły w czterech miastach pozostają w kontakcie i grają do jednej bramki jak w GZM. – *Jestem przekonana, że projekt Polska Stolica Kultury nie skończy się na naszych trzech miastach i będzie dalej funkcjonował* – mówiła Ilona Gręda-Wójtowicz. – *I mam nadzieję, że w przyszłości po nasze doświadczenia będą sięgać inni.*

Materiał powstał we współpracy z Partnerami

Kołobrzeg 2028 Polska Stolica Kultury

Miasto Bielsko-Biała

Europejska Stolica Kultury Lublin 2029

Katowice GZM 2027 Polska Stolica Kultury

Zobacz debatę

eprasa.pl 59dca094ab

Umrzeć ze śmiechu



ZBIGNIEW BOREK

Ma adres, numer telefonu, ofertę kremacji i przenoszenia grobów. Ma też ponad milion klientów. Jest tylko jeden problem: Zakładu Pogrzebowego A.S. Bytom w realu nie ma. Za to jego żarty przełamują w Polsce tabu i budują prawdziwą wspólnotę.

Globalny defekt Facebooka Zakład Pogrzebowy A.S. Bytom skomentował tak: „Przepraszamy za wczorajszą awarię. Trochę za głęboko kopaliśmy". Efekt: 40 tys. reakcji, ponad 700 komentarzy, 1,5 tys. udostępnień. „Po czym poznajemy, że na zewnątrz jest naprawdę gorąco? Nasi klienci proszą o dokładne zamykanie lodówek" – to post z fali upałów tego lata. „Drogie Panie, jeśli wasz facet jest sztywny dłużej niż trzy godziny, prosimy o kontakt" – apeluje Zakład. Pracującym podpowiada, żeby w weekend wyciągnęli nogi, urlopowiczom – żeby rozłożyli się na plaży w Kołobrzegu. Przed wyborami nawołuje, żeby pójść do urn. Promuje (fikcyjny) smartwatch x-kom ZGONiX, który po wykryciu braku tętna użytkownika natychmiast wysyła zgłoszenie do autoryzowanego partnera – Zakładu Pogrzebowego A.S. Bytom. „Chowamy tak, że nikt nie znajdzie" – obiecuje.

Na platformach społecznościowych podaje się przewrotnie za biuro podróży: „Zakład Pogrzebowy Antoni Smykowski oferuje Państwu kompleksowe usługi funeralne, w tym organizację pogrzebów, pochówki w Bytomiu i całej Polsce, transport krajowy, przenoszenie grobów, pochówek tradycyjny oraz kremację. W naszej ofercie znajdą Państwo produkty w szerokim zakresie cenowym, dopasowane do gustu oraz budżetu. Zapraszamy do kontaktu". Hasło przewodnie: „Śledź nas, zanim my zaczniemy śledzić Ciebie" działa. Na Facebooku, gdzie Zakład zaczynał aktywność w 2017 r., obserwuje go 752 tys. osób, 293 tys. na X, 164 tys. na Instagramie, 26 tys. na TikToku. „W wizji świata kreowanej przez Zakład Pogrzebowy A.S. Bytom dopiero przy okazji śmierci zaczyna się ekscytujące życie" – komentuje prof. Alina

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl 59dca094ab

Naruszewicz-Duchlińska z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Pogrzeb u Szatana

„Przepraszamy. Abonent wybranego numeru nie przyjmuje połączeń przychodzących" – słyszy każdy, kto dzwoni pod numer Zakładu. Na maile i wiadomości w komunikatorach odpowiadają najwyżej automaty. Oficjalnie siedziba Zakładu mieści się przy ul. Leopolda Staffa 1, oczywiście w Bytomiu. To piętrowy familok za starym płotem. Szyldu brak. Szczyt odarty z tynku, wokół wianek anten satelitarnych. Pod dwójką remont. Przez otwarte okno młodzian z solidnymi bicepsami odpowiada, że pierwsze słyszy. Nie czyta gazet i internetów, o życiu wystarczy, że wie to, co już wie, a o Zakładzie Pogrzebowym A.S. Bytom nie wie nic.

Na klatce ciemno. Szalety na półpiętrach, olejna lamperia z bąblami opuchlizny, wierzchem idzie elektryka, okna z epoki i plastiku. Numerów dziewięć. Pukaniu odpowiada cisza. – *Może nikogo nie ma w domu. A może ktoś jest, ale chce, żeby wyglądało, że go nie ma* – spekuluje listonosz Maciej Włodarczyk. Ma 22 lata, na poczcie pracuje od pół roku, ale na Staffa do Zakładu Pogrzebowego nic jeszcze nie przynosił.

– *O Zakład Pogrzebowy najlepiej pytać na cmentarzu* – radzi Włodarczyk na odchodne. Jeruzalem, potężna nekropolia parafii św. Jacka, domyka ulicę 100 kroków od familoka. Przed bramą chudy sprzedawca zniczy. Odsyła do ukopków, znaczy grabarzy. W kanciapie pięciu przy herbacie i dymku: – *W administracji pan sprawdzi*. Administracja znajduje się przy Matejki 1, w centrum miasta. – *Cmentarzy w Bytomiu mamy dziewięć, zakładów pogrzebowych kilka, ale takiego to u nas nie ma* – odpowiada starsza pani z kancelarii parafialnej, której podlega cmentarz. O żartach z pogrzebu sądzi jak najgorzej. Ze chrztu, komunii, ślubu można. Z umierania się śmiać? Nawet by nie pomyślała.

– *Niektóre ich żarty może i mnie śmieszą, ale generalnie śmierć to zbyt poważny temat* – uważa z kolei właścicielka najstarszego zakładu pogrzebowego. Ten istnieje ponad 100 lat, z dziada pradziada pod nazwiskiem Szatan. – *Miejscowi mawiają: idę załatwić pogrzeb do Szatana. Brzmi hardkorowo, ale przywykli* – mówi Magda Szatan-Tobór, która po przejściu ojca na emeryturę prowadzi firmę wraz z mężem. Znajomi podsyłają im memy A.S. Bytom. Czasem ktoś obcy sprawdza, czy wszyscy przedsiębiorcy pogrzebowi w mieście czują czarny humor: – *Ostatnio dopytywano przez telefon, czy kremujemy warzywa*.

Prezydent Bytomia Mariusz Wołosz uważa żarty Zakładu Pogrzebowego za „nawet niezłe" – zwłaszcza te lokalne. – *Do Zakładu Pogrzebowego, który wybrał nasze miasto na wirtualną siedzibę, mieszkańcy też podchodzą z uśmiechem* – mówi. Skojarzenie pochówków z upadającym przemysłem węglowym nasuwa się jednak samo. „W Bytomiu jeszcze tylko wy fedrujecie" – tak internauta komentuje głębię humoru w wykonaniu A.S.

Nie wszyscy muszą być sztywni

Antoni Smykowski z zasady nie rozmawia z mediami, ale gdy robi wyjątek, nie wychodzi z roli. – *Nie wszyscy w tym biznesie muszą być sztywni* – to jego dewiza. Jak mówi, wykształcenie ma pokrewne, bo ukończył studia archeologiczne, z Bytomiem jest związany rodzinnie i zawodowo, w branży pogrzebowej działa niemal 30 lat. Klientów chwali za uprzejmość, bezkonfliktowość i za to, że „generalnie są milczący", a pracowników – za wielkie serca, pasję i „głęboko skrywane poczucie humoru". Gdy zapytaliśmy, czy chce ludzi zbawić, zabawić czy tylko zakopać, odrzekł bez namysłu: – *Opcja zakopania wszystkich jest pociągająca*.

Przyznaje się do lobbowania na rzecz medycyny alternatywnej i ruchów antyszczepionkowych. – *Z czegoś trzeba żyć, choć z drugiej strony opieka zdrowotna i system emerytalny w naszym kraju też dbają o rozwój branży pogrzebowej* – mówi. Zapewnia, że otrzymuje zaproszenia na targi funeralne (w niektórych nawet uczestniczy) i propozycje współpracy od innych firm pogrzebowych. – *Mamy klientów, którzy podpisują z nami umowy na pochówek po śmierci. Niektórzy chcą, żebyśmy od razu obrócili ich w proch, inni wolą bardziej tradycyjny, w trumnie. A trumny mamy tak doskonałe, że zamawia je u nas coraz więcej Niemców. Być może dożyjemy takich czasów, że wszystkich Niemców będzie się chować w polskich trumnach* – mówi Antoni Smykowski.

Trzy wydawnictwa złożyły mu propozycję napisania książki, ale lepiej się czuje w krótkich formach. Nie wyklucza wejścia na giełdę: – *Zdobyliśmy tytuł Orła Branży Funeralnej w Bytomiu, jesteśmy najbardziej rozpoznawalnym zakładem pogrzebowym w Polsce, a może i w tej części Europy. Nasz profil na Facebooku w ostatnim miesiącu odwiedziło 7 mln osób*.

– *Ten ktoś bardzo dobrze rozumie, jak działa internet. Stworzył projekt, który ludzie śledzą, komentują, rozpowszechniają i o którym rozmawiają. Patrząc na ilość treści, pomysłów i konsekwencję, trudno uwierzyć, że to spontaniczna zabawa jednej osoby* – zauważa Maciej Myśliwiec. Jako eksperta w zakresie komunikacji zapytaliśmy go, co nam komunikuje A.S. Bytom. – *Przede wszystkim desakralizuje umieranie. Nie profanuje pamięci o zmarłych, ale inteligentnie pozwala nam pośmiać się ze śmierci. Jeśli potrafimy się śmiać nawet ze śmierci, która przecież jest nieunikniona i prędzej czy później dopadnie nas wszystkich, to potrafimy śmiać się także z siebie. A to już ma wartość terapeutyczną*.

Myśliwiec porównuje profile A.S. do fenomenu „1670". – *Część widzów oburza się, że ten serial profanuje świętości: polską historię, narodowe mity i szlachecką dumę. W przypadku A.S. Bytom działa podobny mechanizm, ktoś mówi: „Z tego nie wolno żartować", a twórcy odpowiadają: „A dlaczego właściwie nie?"*. Ekspert zauważa, że śmierć jest tematem tabu i od wieków fascynuje ludzi. Jesteśmy ciekawi, jak wyglądają przygotowanie pogrzebu, kremacja, praca zakładu pogrzebowego, nawet samo szykowanie grobu: – *W internecie dobrze widać tę ciekawość: profile firm funeralnych mają ogromne zasięgi, gdy pokazują rzeczy, do których zwykli śmiertelnicy nie mają dostępu* – dodaje.

W „Bytomiu" szczególnie ceni tzw. *real-time marketing*, czyli reakcję na bieżące wydarzenia. „Nie przejmuj się pączkami. U nas najszybciej spalisz kalorie!" – zachęcał wpis w tłusty czwartek. Inny, z 30 grudnia: „Macie już wybraną kremację na sylwestra?". Z 14 lutego: „Bukiety dla gorących pań, wiązanki dla zimnych i znicze dla facetów, co zapomnieli o walentynkach". Gdy szukano nowego selekcjonera po kompromitacji piłkarskiej kadry, profil proponował Smykowskiego, bo: „Ma wieloletnie doświadczenie w pudrowaniu trupa" (29 tys. reakcji, 1,9 tys. udostępnień). Komentarz do obostrzeń pandemii: „Wprowadzamy limit 30 proc. obłożenia miejsc. Limity nie obowiązują osób zaszczepionych".

„Pandemia pomogła branży funeralnej – jakkolwiek okrutnie to brzmi, w przypadku profilu A.S. to prawda. W lipcu 2019 r. profil miał tylko 13 tys. obserwujących na Twitterze, w marcu 2020 r. – już 88 tys. Na Facebooku w kwietniu 2019 – 200 tys., dziś – prawie 600 tys." – podawało branżowe pismo „Press" ▶

eprasa.pl 59dca094ab



▶ wiosną 2022 r. Do historii polskich social mediów zapisało tweet: „Zróbmy więc prywatkę, jakiej nie przeżył nikt. Niech sanepid wali, wali do drzwi" zamieszczony, gdy wokół szalał Covid-19. Główny inspektor sanitarny skomentował: „Hallo @PolskaPolicja! Mamy zaproszenie na imprezę!". Tweet A.S. spodobał się użytkownikom, odpowiedź sanepidu już nie. Dlaczego? Państwowa instytucja nie powinna żartować ze śmierci w dniu, gdy w kraju odnotowano 700 zgonów osób zakażonych koronawirusem.

Funkcja czyściec

Followersi „kupili" też reklamy. A.S. publikował nekrolog zlecony przez operatora komórkowego Mobile Vikings Polska: „Śp. Tomasz Problem zmarł na zespół stresu abonentowego. Z umową na karku. Bez godności". Producent materaców Onesen wykorzystał wisielczą estetykę do promocji za pomocą hasła: „Boskie Ciało? Daj mu wieczny sen". „Flaczki czy zimne nóżki?" – pytała Kuchnia Vikinga (catering pudełkowy) w poście z odciętymi stopami w galarecie. W reklamie Nadwyraz.com, marki odzieżowej i lifestylowej, kościotrup namawiał: „Spakuj się w każdą podróż, nawet tę ostatnią".

Jedną z najbardziej spektakularnych kampanii marketingowych zrealizowanych w polskim internecie było wspólne przedsięwzięcie A.S. Bytom i sieci sklepów technologicznych x-kom, czyli promocja smartwatcha x-kom ZGONiX 1.4. Projektanci wyposażyli go w wiele dopracowanych marketingowo funkcji, które miały dbać o użytkownika „nie tylko podczas życiowych aktywności". Funkcja „Czyściec" (Ochrona prywatności): gdy tylko opaska wykryje zatrzymanie tętna użytkownika, automatycznie i bez oceniania oczyszcza historię przeglądania stron internetowych, chroniąc jego pośmiertną prywatność przed bliskimi. Funkcja „Rozłącz i Przekreśl" (RiP): oparte na sztucznej inteligencji rozwiązanie, które po zgonie natychmiast usuwa profile zmarłego ze wszystkich portali społecznościowych – w tym tych, o których sam wolałby zapomnieć. Integracja z systemami mobilnymi („Śpij spokojnie"): opaska łączy się z Androidem oraz iOS w celu wyłączenia porannych budzików.

Fikcyjna opaska została wyceniona na 104,23 zł. Na stronie internetowej od początku widniała jako produkt „wycofany", ale doczekała się setek prześmiewczych recenzji od internautów. Eksperci zaś uznali, że kampania na nowo zdefiniowała pojęcie reklamy natywnej (dopasowuje się do formy otaczających ją treści). I dowiodła, że fikcyjny profil może stać się skutecznym partnerem biznesowym dla rynkowych gigantów.

A.S. Bytom wpisał się też w szerszą zmianę sposobu mówienia o śmierci. Coraz częściej Polki i Polacy planują pogrzeby za życia, wybierają miejsca pochówku, zastanawiają się, jak ma wyglądać ceremonia. – *Widać zmiany w oprawie pogrzebów. To już nie zawsze jest standardowy zestaw: wniesienie trumny, msza, cmentarz i koniec. Śmierć przestaje być sprawą, którą trzeba jak najszybciej „załatwić"* – mówi jeden z przedsiębiorców pogrzebowych. Przykładem jest wrześniowy pogrzeb Joanny Rawik. Piosenkarka, aktorka i dziennikarka odeszła w wieku 92 lat. Uroczystość na Powązkach Wojskowych w Warszawie przebiegła według wskazówek, które pozostawiła bliskim: bez księdza i czerni, z żałobnikami w kolorowych strojach oraz z różową urną, którą otoczono stosami książek.

Wspólnota śmiechu

– *Do śmierci i związanych z nią rytuałów podchodzimy z reguły inaczej w sferze publicznej i w sferze prywatnej* – zauważa dr Agnieszka Fanslau z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego, członkini zespołu Language and Humour Lab przy Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Według niej na cmentarzu wciąż dominuje nastrój poważny, wręcz posępny, bo „tak wypada": – *Tak nakazuje tradycja, tego oczekuje od nas otoczenie, na które ogromny wpływ nadal wywiera silny w Polsce Kościół katolicki. W zaciszu domowym, czyli również w internecie, pozwalamy sobie na zdecydowanie więcej, także w tak egzystencjalnych i wrażliwych kwestiach jak umieranie, pochówek czy żałoba.*

Jak dodaje: – *Cenimy sobie humor, w tym czarny, choć oczywiście nie wszyscy.* Dowodzą tego ostatnie, przeprowadzone w Zespole L&H Lab w kooperacji z niemieckimi naukowcami badania, które objęły ponad 2,4 tys. młodych ludzi (średnia wieku to 32 lata) z Polski i Niemiec. Najliczniejsza (49 proc.) wśród nich okazała się grupa tych, którzy lubią humor (24 proc. ceni każdy jego przejaw, od zwykłych żartów i zabawy, poprzez nonsens, aż po ironię, docinki czy żarty cyniczne, a pozostałe 25 proc. to tzw. wyznawcy humoru nieszkodliwego: jeśli się śmiać, to tak, żeby nikogo nie urazić). Drugą grupę (35 proc.) humor interesuje w stopniu średnim, a dla trzeciej (16 proc.) mógłby nie istnieć. – *Wśród badanych Niemców więcej jest zwolenników humoru życzliwego. Wśród Polaków zaś tych, co doceniają każdy jego rodzaj, w tym humor szyderczy.*

„Spoiwem łączącym autora Zakładu Pogrzebowego A.S. Bytom i użytkowników (...) jest upodobanie do określonego typu żartów, w tym czarnego humoru. Istotne jest również promowanie określonych idei i konsekwentne ukazywanie świata z wybranej perspektywy, a także budowanie (mini)wspólnot śmiechu" – pisze prof. Alina Naruszewicz-Duchlińska, językoznawczyni z Katedry Języka Polskiego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W artykule naukowym z 2022 r. („Kilka uwag o czarnym humorze i mediach społecznościowych") analizuje profile A.S. Bytom na Facebooku, Twitterze i Instagramie, nazywając je internetową makabreską w odcinkach oraz nietypową kroniką obecnych czasów. I podsumowuje: „Doceniając jakość merytoryczną, humor w duchu noir, walory wspólnotowe i – nieoczywiste – pokrzepienie w trudnych czasach, można stwierdzić za jedną z komentujących: noo, aż żal, że nie istnieją, bobym sobie voucher wykupiła".

ZBIGNIEW BOREK

Rozmowę z Antonim Smykowskim publikujemy na portalu polityka.pl

eprasa.pl 59dca094ab

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 59dca094ab



4 m zamiast M4

NATALIA SAWKA

Łóżko obok kuchenki, prysznic w pokoju, a sedes kilka kroków dalej. Inwestor powie, że to mikroapartament. Internet, że patokawalerka. A i tak wszystko schodzi, zwłaszcza kiedy do walki o wynajem wchodzą studenci.

Lekarstwem na małe budżety wynajmujących miały być małe mieszkania. Okazało się, że cholerę postanowiono leczyć dżumą. Przemek myślał, że mieszkanie, które znalazł, to świetna oferta. Fajnie było mieć kuchnię i łazienkę tylko dla siebie. Kawalerka na Pradze Południe. Całe 10,5 m kw. I adekwatne do metrażu okno, przez które ciężko byłoby się nawet wychylić. Na TikToku właściciel przedstawiał same zalety – jest i miejsce do spania, aneks kuchenny, sporo szafek i ultramała

eprasa.pl 59dca094ab



© ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI/REPORTER

łazienka. W komentarzach internauci nie kryli oburzenia: „Coś takiego powinno być karalne”.

Wyciskanie pumy

Przemek wytrzymał tam kilka miesięcy. Całość przypominała raczej pokój hotelowy niż pełnoprawne mieszkanie. – *To była przerobiona piwnica* – mówi. – *Ciasne, ale własne, myślałem, ale po czasie uznałem, że brak słońca mnie morduje* – mówi. Ceną za prywatność była ciasnota na granicy klaustrofobii. Zapachy z kuchni mieszały się z tymi z łazienki, z tymi z przedpokoju mieszać się nie mogły, bo przedpokoju nie było. Zimą zwykłe suszenie prania oznaczało walkę z wilgocią i obawę, że na ścianach pojawi się grzyb. – *Mieszkałem tam miesiąc, byłem mokry od tej wilgoci, dostałem depresji i zdecydowałem, że muszę się wynieść* – opowiada. Dziś uważa, że woli mieszkać z kimś, niż żyć w czymś mikro bez światła. – *Kanapki na śniadanie kroiłem, siedząc na łóżku, prysznic był tak mały, że nie mogłem się ruszyć, pralka stała tak blisko muszli klozetowej, że siedziałem pod kątem. Gdy robiłem pranie, to suszarkę stawiałem na kanapie* – wylicza. Mieszkania się wstydził, nie zapraszał znajomych. Zresztą i tak by się nie zmieścili. Mieszkało mu się tak źle, że zaczął potajemnie spędzać noce w biurze. Tam spało się nieźle, bo było czym oddychać, no i nie miał koło głowy buczącej lodówki.

Mieszkanie, które wynajął, to patologiczny przykład wyciskania PUM (powierzchnia użytkowa mieszkalna), czyli przerabiania każdego centymetra zabudowy na pieniądze. Trudno się dziwić, że deweloperzy zakochali się również w pomyśle, żeby z jednego mieszkania zrobić dwa, a nawet trzy, bo im mniejszy metraż, tym drożej można opchnąć lokal. Pozorną zaletą mikroapartamentu może wydawać się poczucie niezależności – brak konieczności porannego czekania w kolejce do łazienki czy proszenia o umycie po sobie naczyń w zlewie. Ceną za tę prywatność jest jednak życie w klitce, a raczej niemal w klatce. Co więcej, taki „apartament” wcale nie gwarantuje dyskrecji: mikrokawalerki zazwyczaj powstają z podziału większych mieszkań, a ich ścianki bywają cienkie jak z kartonu, bo najczęściej są z kartonu. W efekcie z sąsiadami dzieli się nie tylko ich życie seksualne, ale również nocne wizyty w toalecie, zaparcia, o chrapaniu nie wspominając.

Dla Przemka koszt wynajmu był okej, 1,6 tys. zł, nie tak dużo, choć było to w czasie pandemii. Co dodatkowo skłaniało do samodzielnego mieszkania. Bardzo szybko zaczął odczuwać plusy ujemne. W sumie płacił za samodzielne mieszkanie, ale akustycznie dzielił je z sąsiadami zza obu ścian.

Decyzję o rezygnacji podjął w mało fortunnym momencie, bo w 2022 r., w czasie gdy Rosja zaatakowała Ukrainę. – *Kiedy powiedziałem, że chcę się wynieść, landlord stwierdził, że spoko, bo i tak nowego lokatora znajdzie szybko i jeszcze więcej będzie mógł wycisnąć z tego metrażu* – opowiada. Można powiedzieć: *win win*. Historia na tym się jednak nie skończyła. Swoje dawne mieszkanie Przemek pewnego razu zauważył w mediach społecznościowych. Wyśmiewał je twórca internetowy Paweł Paczul. Najpierw rozbawiło go, że ktoś w internecie śmieje się z miejsca, w którym niedawno mieszkał. Jeszcze bardziej, że ktoś zdecydował się je kupić. Potem przyszła mniej zabawna refleksja, taka, że przez miesiące oddawał uczciwie zarobione pieniądze na życie w czymś, co dziś określiłby więzienną celą. Własne mieszkanie zaczęło mu się wydawać dobrem z kategorii premium.

Okiem Paczula

Sam patowynajem szybko przestał być zbiorem absurdalnych ogłoszeń i dorobił się własnego metajęzyka. W ogłoszeniu nikt nie napisze, że wynajmie piwnicę bez okien, w której człowiek powoli będzie tracił chęć do życia. Piwnica staje się więc przytulnym lokalem w przyziemiu z widokiem na bliską zieleń i dobrym kontaktem z otoczeniem. U inwestorów szczególną karierę zrobiło określenie mikroapartament, gdzie przedrostek „mikro-” uprzedza, że miejsca do życia będzie niewiele, ale apartament dodaje cech prestiżu. Inwestorzy chętnie piszą w ogłoszeniach o funkcjonalnych układach, maksymalnym wykorzystaniu przestrzeni, mieszkaniu z potencjałem czy lokalu „idealnym dla singla”. Osiem metrów według nich to zapowiedź funkcjonalności, a nie odroczona w czasie depresja.

Ale powoli za te patologie dzielenia mieszkań biorą się instytucje. W centrum Poznania w stuletniej kamienicy 22 mieszkania przerobiono na 56 lokali, z których 41 ma mniej niż 25 m kw. Nadzór budowlany uznał, że doszło do samowolnej przebudowy, i nakazał połączyć lokale z powrotem. Problem w tym, że wiele z nich zostało już sprzedanych. Inwestor będzie mógł złożyć skargę na decyzję do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego lub skargę kasacyjną, a potem jest też możliwość złożenia skargi kasacyjnej do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ale decyzja nadzoru to ostrzeżenie dla tych, którzy myślą, że można bezkarnie naruszać przepisy.

Absurdy patodeweloperki bezlitośnie punktuje w mediach społecznościowych Paweł Paczul. Z zawodu jest dziennikarzem sportowym, a jego pasją przez ▶

eprasa.pl 59dca094ab



Projekt mieszkania z sypialnią na antresoli zaprezentowany na Targach Małych Domów

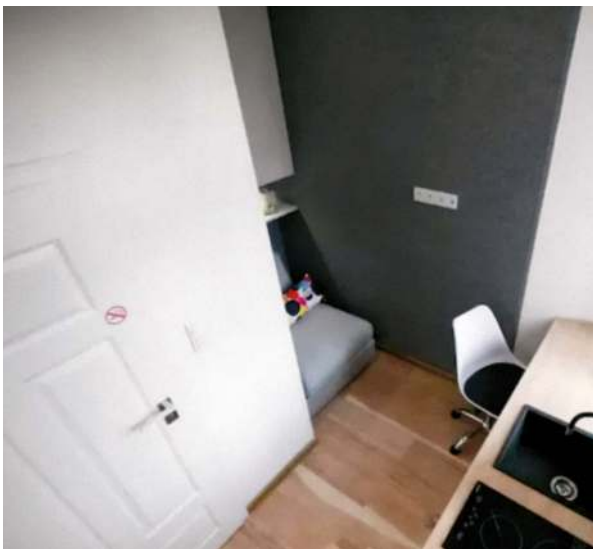

Mikromieszkanie w Gdańsku wystawione na wynajem

▶ lata była piłka nożna. Po dekadzie pracy poczuł jednak wypalenie, szczególnie przy pisaniu relacji z meczów. Później w wywiadzie na YouTube powie, że z pisania nie da się być rozpoznawalnym.

Od 2026 r. Paczul publikuje też dłuższe materiały na YouTube. Testuje najgorsze place zabaw, odwiedza patomieszkania i nagłaśnia problem mieszkaniowy w Polsce. Kiedyś sam szukał mieszkania na wynajem i zderzył się z okrutną rzeczywistością, zaraz przed wyprowadzką do Warszawy z Gdyni przez kilka miesięcy mieszkał na 24 m. „Strasznie było wtedy ciasno, a teraz chce się normalizować 10–12 m" – opowiada w rozmowie z youtuberem Tomaszem Ćwiąkałą.

Te absurdy pokazuje wprost. Na przykład ogłoszenie, gdzie prysznic jest w pokoju albo sedes tuż obok kanapy. „To mieszkanie ma kibel przy drzwiach wejściowych, a w salonie stoi prysznic. W ogłoszeniu napisano, że drugiego takiego lokalu nie znajdziesz na rynku. I ja im wierzę" – komentuje w krótkim filmie. Pod filmem w komentarzach rozpoczyna się konkurs na najlepszą puentę. „To mieszkanie jest idealne dla mojego męża. Ledwo wlezie do domu i od razu na kiblu siedzi z telefonem" – pisze jedna z internautek.

Inną metodę wyśmiewania mikrokawalerek wybrał twórca programu „Sutener Wynajmu". To Jakub Kasiłowski, który na TikToku ma ponad 116 tys. obserwujących. „Chlewik do wynajęcia dla studentów – ogłasza. – Za jedyne 3 tys. zł miesięcznie. Szczecin wita nas otwartymi ramionami" – reklamuje Kasiłowski ubrany w jasnoróżowy garnitur. Jednym z patoprzykładów było sierpniowe ogłoszenie dotyczące „maleńkiej kawalerki" o powierzchni 14 m kw. w Naramowicach. Koszt wynajmu – 1,5 tys. zł miesięcznie plus kaucja. Lokal był umeblowany i wyposażony w lodówkę, płytę indukcyjną, czajnik oraz pralkę, okna wychodzą na wschód i las – również z łazienki. Dom położony w ogrodzie z możliwością założenia własnej grządki. „Jeśli czujesz, że zasługujesz na to, aby mieszkać w wyjątkowym miejscu. Jest takie miejsce! To mój dom w Naramowicach. W tym domu mieszka: Miłość, Szczęście, Wdzięczność! Możesz zamieszkać i TY" – czytamy w ogłoszeniu.

Kasiłowski, gdy trafia na szczególnie interesujące ogłoszenie, dzwoni bezpośrednio do właściciela. Dopytuje o warunki, cenę i rozwiązania, które na zdjęciach wyglądają wręcz komicznie, choć w rzeczywistości żartem nie są. Gdy po drugiej stronie słuchawki odpowiada właściciel lub pośrednik, stara się podpytać wynajmującego o szczegóły oferty. Często to właśnie jego rozmówcy przejmują inicjatywę i zadają całą serię pytań – m.in. o wykonywany zawód, czy są zatrudnieni na umowę o pracę, jakie mają zarobki (powinni przynajmniej zarabiać 4 tys. zł na rękę), gdzie obecnie mieszkają i jakie mają wykształcenie.

To nie tylko mem

To, co wydaje się śmieszną historią, dotyczy jednak prawdziwych ludzi, szczególnie studentów. Pierwszy rok psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim dla Oskara Stabny zacznie się w akademiku. Początkowo plan był inny, razem ze znajomym chcieli wynająć mieszkanie, w którym każdy miałby własny pokój. Bez luksusów, po prostu miejsce, gdzie można żyć i studiować. Poszukiwania zaczęli już w lipcu. Po kilku tygodniach przeglądania ofert okazało się, że dwa skromne wymagania, osobny pokój i cena na studencką kieszeń, trudno w Krakowie pogodzić. – *Żeby mieć jakikolwiek sensowny standard, trzeba było liczyć co najmniej 1,3 tys. zł od osoby i to często na drugim końcu miasta. Jeśli każdy miał mieć własny pokój, to cena rosła do ok. 1,7 tys. zł* – opowiada Oskar Stabno.

– *Jeśli ktoś nie ma bogatych rodziców, a chce wyjechać na studia, to musi równolegle pracować, a pogodzenie studiów z pracą na pełen etat jest po prostu niemożliwe* – mówi. Dlatego z kolegą uznali, że wolą iść na rok do akademika i przeczekać. I tak będzie musiał pracować, by mieć swoje pieniądze. Pewnie w gastronomii albo w sklepie, jak większość studentów.

Studenckie życie kosztuje już średnio 4 tys. zł miesięcznie – jak wynika z raportu „Portfel Studenta" Związku Banków Polskich i Warszawskiego Instytutu Bankowości. Największą część budżetu pochłaniają mieszkanie i wyżywienie. Tak wysokie koszty sprawiają, że młodzi wolą mieszkać z rodziną, bo żeby coś znaleźć, to i tak trzeba co chwilę ogłaszać, że się szuka taniego mieszkania. A jak wynika z danych Eurofund, z rodzicami mieszka 53 proc. młodych Polek i Polaków. Bardziej zależni od rodziny są Chorwaci, Grecy i Słowacy. Trudno się dziwić, od 2010 r. ceny nieruchomości w Europie wzrosły średnio o 55,4 proc., a czynsze o 26,7 proc.

Mieszkanie, w którym zamieszkała dwudziestoletnia Agata, było jej pierwszym lokum po przeprowadzce z małej miejscowości na studia w Poznaniu. Ogłoszenie znalazła w internecie. Studentka pochodzi z wielodzietnej rodziny,

eprasa.pl 59dca094ab





Mikrokawalerka o powierzchni 9 m kw. na warszawskim Targówku

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, FACEBOOK, MICHAŁ ŻYŁOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

więc kiedy jechała oglądać oferty, to w towarzystwie mamy i trzyletniego brata. Na jeden dzień umówiła trzy oglądania. Ostatecznie zobaczyła tylko jedno. Jedna właścicielka zrezygnowała ze spotkania, gdy spóźniły się kilka minut, druga przestała się nagle odzywać. Rynek klienta to ciągle nie tu.

Pokój miał 12 m kw. i znajdował się w przyziemiu, czytaj: suterenie. Właścicielka naciskała na szybką decyzję. Twierdziła, że za godzinę ma umówionych kolejnych chętnych, a umowa już jest przygotowana. – *Czułam się jak numerek w kolejce. Chodzi o to, by jak najszybciej wynająć i zacząć zarabiać* – mówi. Pokój wzięła, bo nie stać jej było na kolejną podróż do Poznania. Więc w stresie podjęła szybką decyzję.

W ogłoszeniu zachwalana była przede wszystkim lokalizacja. Wydział Geografii rzeczywiście znajdował się blisko, a na Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa miał być zaledwie jeden przystanek autobusem. I tak było. Tylko że do przystanku szła ok. 12 minut, a podmiejski autobus kursował mniej więcej raz na godzinę i często się spóźniał. Jeśli na niego nie zdążyła, spóźniała się też na zajęcia. Dlatego przez większość roku, nawet zimą, jeździła na uczelnię rowerem. Zajmowało jej to ok. 10 minut. – *Czułam się oszukana. Właścicielka przedstawiała to tak, jakby wszędzie było bardzo blisko* – opowiada. Za pokój płaciła 1,1 tys. zł. Czasem nawet miała w nim słońce.

Cele i cela

Patrząc na to czysto technicznie, tak jak chcą inwestorzy, człowieka da się wcisnąć niemal wszędzie. Pytanie tylko, czy każdą przestrzeń, w której zmieszczą się łóżko, lodówka i prysznic, można jeszcze uczciwie nazwać mieszkaniem. Więzienia pokazują, że mała przestrzeń również jest elementem kary. Przy czym w Polsce nieprzekraczalnym jej wymiarem są trzy metry na osobę. Tyle że Polska prędzej czy później będzie za to płaciła kary, bo według europejskich standardów taki metraż jest po prostu nieludzki. Europejska średnia to 5 m na osobę. W niemieckich więzieniach 10 m.

Rynek małych mieszkań pozornie oferuje trochę więcej. Ale tylko pozornie, bo zamknięcie na 12 m kw. nie oznacza, że będzie to standard cztery razy lepszy niż w więziennej celi. Polskie prawo próbuje stawiać granice mieszkaniowym absurdom. Lokal powinien mieć co najmniej 25 m kw. powierzchni użytkowej. Przez lata jednym ze sposobów wprowadzania na rynek mniejszych przestrzeni było oferowanie ich nie jako mieszkań, lecz lokali użytkowych, reklamowanych jako mikroapartamenty czy lokale inwestycyjne. Od 2024 r. przepisy zostały uszczelnione, co do zasady również lokal użytkowy powinien mieć co najmniej 25 m kw. Nie oznacza to jednak, że kilku- czy kilkunastometrowe mieszkania całkiem zniknęły z rynku.

W sieci roi się od szkoleń i materiałów edukacyjnych, w których specjaliści od „mieszkań inwestycyjnych" zachęcają, by lokale dzielić. Jeden z nich opowiada na Instagramie jak z 39 m kw. zrobić dwa mieszkania. Pokazuje, że inwestycję dało się zrobić, wydzielono dwa pokoje, każde z aneksem kuchennym i łazienką. – *Czy te mieszkania są bardzo małe? Tak* – przyznaje inwestor, po czym dodaje, że najemcy właśnie takich mieszkań szukają. – *Wynajmowało się świetnie, nie mieliśmy ani jednego tygodnia przerwy* – opowiada. W filmie dołączono napis: „zarabiaj 65 proc. więcej z tego samego mieszkania". Nic tylko wynajmować i samemu za żadne skarby tam nie mieszkać.

Tylko że po drugiej stronie tej inwestycji jest człowiek, który chciałby godnie żyć. Oskar podczas poszukiwań nie marzył o przestronnym apartamencie w centrum Krakowa. Dla niego wystarczy pokój z oknem i kuchnią, gdzie można zrobić śniadanie. Wiele nie trzeba. Dlatego też irytuje się, gdy słyszy, że ma zbyt duże wymagania.

– *Starsze pokolenie uważa, że jesteśmy roszczeniowi* – mówi. – *Nie zgadzam się. Nie chcę drogiego samochodu, nie oczekuję, że będę jadał w drogich restauracjach. Chcę mieć własny pokój, trochę prywatności, a nie biedować kątem. Czy to jest za dużo, czy po prostu tyle, ile potrzeba dla zachowania godności?* – pyta, tak jak kiedyś pytali jego rodzice, bo Polska rośnie w siłę, ale ciągle niewystarczająco w mieszkaniach.

NATALIA SAWKA

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 59dca094ab

Kolej na zmiany



Na kolei przybywa połączeń i pasażerów. Równolegle niestety – także wypadków na przejazdach i błędów maszynistów. Czy podróżowanie pociągiem staje się coraz bardziej niebezpieczne?

CEZARY KOWANDA

Raz na dwa dni – średnio z taką częstotliwością dochodzi do wypadku na przejazdach kolejowych. I to od lat. Jak pokazują dane Urzędu Transportu Kolejowego, liczba takich zdarzeń jest, niestety, zatrważająco stabilna (między 2022 a 2025 r. wahała się między 171 a 190 zdarzeń rocznie). Tylko w ubiegłym roku na przejazdach i przejściach przez tory (tych legalnych) zginęły 52 osoby. Dlaczego zatem to tragedia na przejeździe w Sokolnikach Suchych (9 września) skłoniła rządzących do zmiany przepisów? Zapewne dlatego, że tym razem zginęła pasażerka. Ofiarą kierowcy betoniarki okazała się 39-letnia pani Agata, podróżująca wykolejonym pociągiem IC Koziołek z Lublina. Gdy w 2024 r., również po zderzeniu z ciężarówkami, umierali maszynista i rewizor Polregio (w Budzyniu) czy maszynista Kolei Mazowieckich (w Ołtarzewie), żadnych nowych projektów ustaw nie opracowywano.

Jeśli parlament zagłosuje za, a prezydent nie zawetuje ustawy, sankcje za wjeżdżanie przy migającym czerwonym świetle na przejazd będą surowsze. Oprócz mandatu (2 tys. zł za pierwsze przewinienie) i 15 punktów karnych kierowcy będą tracić prawo jazdy na trzy miesiące. Tak jak przy przekroczeniu prędkości o ponad 50 km/godz. w terenie zabudowanym.

Przejazdów kolejowo-drogowych mamy w Polsce ponad 12 tys. Dzieli się je na sześć kategorii – od A do F. Zdecydowanie

eprasa.pl 59dca094ab



© RAFAŁ GUZ/PAP

najwięcej wypadków wydarza się na przejazdach kategorii D (niemal 5 tys.) – czyli bez rogatek i bez sygnalizacji świetlnej. Jak informuje UTK, to na takich przejazdach dochodzi do nieco ponad stu zderzeń rocznie. W tym roku może być jeszcze gorzej, bo do 10 września na przejazdach kategorii D były już 92 wypadki, a na wszystkich – 143.

Na rogatkach

– *Przejazdów przez tory jest w Polsce zdecydowanie za dużo. Samorządy wraz z mieszkańcami domagają się, żeby było ich jak najwięcej, bo nie płacą za ich utrzymanie. To spółka PKP PLK ponosi wszystkie koszty i to od niej się oczekuje, że wszędzie zostaną zainstalowane rogatki. To oczywiście niemożliwe i nieracjonalne* – mówi Jakub Majewski, prezes Fundacji ProKolej. – *Gdy mamy rzekę, przecież nie budujemy na niej mostu dla każdej ścieżki i drogi polnej. A przejazd przez tory każdy chce mieć na życzenie. Musimy skończyć z taką filozofią* – podkreśla.

PKP Polskie Linie Kolejowe obiecują, że ok. 3 tys. przejazdów kategorii D, zabezpieczonych tylko znakiem „Stop" (często zresztą ignorowanym) i krzyżem św. Andrzeja, zostanie wyposażonych w aktywne znaki drogowe lub inne elementy zwiększające bezpieczeństwo, takie jak progi zwalniające. I chociaż rzeczywiście w takich miejscach dochodzi do największej liczby wypadków, to jednak te najgłośniejsze dotyczą przejazdów lepiej zabezpieczonych. Katastrofa w Sokolnikach Suchych zdarzyła się na przejeździe kategorii C, czyli bez rogatek, ale z sygnalizacją świetlną. Kierujący betoniarką zignorował czerwone światło i wjechał wprost pod lokomotywę jadącą z prędkością niemal 120 km/godz. Kilka dni wcześniej do wypadku z udziałem ciężarówki doszło także na przejeździe w Gdańsku, wyposażonym zarówno w sygnalizację, jak i w rogatki.

PKP Polskie Linie Kolejowe często publikują nagrania, na których widać, jak kierowcy, którzy mimo zamykających się szlabanów wjechali na tory, tracą głowę. Najprostsze rozwiązanie to wyłamanie rogatek; skutkuje niewielkim uszkodzeniem samochodu. Jednak wiele osób rozpaczliwie manewruje pojazdem albo po prostu wychodzi z niego i liczy, że pociąg w cudowny sposób zahamuje. Najbardziej przeraża fakt, że robią tak nawet kierowcy zawodowi. Ci zresztą powodują najtragiczniejsze wypadki, bo mają najcięższe pojazdy.

Maszynista na czerwonym

Niestety poważnym problemem jest też ignorowanie czerwonego światła na semaforach przez samych maszynistów. SPAD (od ang. *Signal Passed at Danger*) to skrót stosowany do określenia sytuacji, w których maszynista przejeżdża, mimo że powinien zatrzymać pociąg, albo rusza bez zezwolenia. Łącznie takich sytuacji, według UTK, było w ubiegłym roku ponad 200, a w 2022 r. – 152. Tendencja jest rosnąca, więc Urząd apeluje do przewoźników o większą ostrożność. To bardzo niebezpieczna sytuacja. Nie każda kończy się wypadkiem, bo często dyżurnym ruchu udaje się w porę zaalarmować tego, który popełnił błąd, a także kierujących innymi pociągami znajdującymi się w okolicy. Jednak nie zawsze tak jest. W czerwcu, po tym jak maszynista Polregio na stacji Białośliwie przejechał na czerwonym, doszło do zderzenia jego pociągu ze składem PKP Intercity. Na szczęście przy niewielkiej prędkości, więc nie skończyło się tragedią. Kilkanaście osób zostało lekko rannych.

Dlaczego maszyniści coraz częściej popełniają takie błędy? UTK wylicza długą listę problemów: rutyna powodująca wykonywanie działań automatycznie, dekoncentracja (np. z powodu korzystania równolegle z telefonu komórkowego), zmęczenie, brak doświadczenia.

– *Przez wiele lat mieliśmy na kolei regres. Brakowało przewozów, więc nie było sensu szkolić nowych maszynistów. Teraz, gdy pociągów jest coraz więcej, potrzeba pracowników, a starzy właśnie odchodzą na emerytury. I mamy lukę pokoleniową, którą dopiero wypełniają młodzi. A to już pokolenie, które łatwiej się rozprasza i nie ma starszych kolegów, od których mogłoby przejąć dobre nawyki. Do tego na większości linii w Polsce nie mamy systemu ETCS, który w przypadku przejechania przez maszynistę na czerwonym świetle wdraża automatycznie hamowanie* – zauważa Jakub Majewski.

Rozbudowa ETCS (obejmującego na razie tylko kilka procent linii kolejowych w naszym kraju) była przez ostatnie lata ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ blokowana z powodu sporu o realizację kontraktu na stworzenie sieci łączności GSM-R na kolei. To niezbędny warunek funkcjonowania ETCS. Pod koniec ubiegłego roku udało się tę inwestycję wreszcie odblokować.

Na razie maszyniści muszą poprawić swoją koncentrację. Związkowcy wskazują jednak, że problemem jest ich przemęczenie, a w Polsce wciąż nie ma ustawy o czasie pracy maszynisty. – *Blokują ją mali przewoźnicy, bo zależy im, żeby maszynista mógł pracować u różnych pracodawców. Tyle że często jedzie długo do miejsca, w którym ma przejąć pociąg, a ten okres nie wlicza się do jego czasu pracy. W efekcie wypoczynek mija mu na dojazdach i rozpoczynając kolejną służbę, jest już zmęczony. Ustawa umożliwiłaby stworzenie centralnego rejestru maszynistów, obejmującego wszystkich przewoźników. To zagwarantowałoby odpowiednie przerwy na odpoczynek* – mówi Leszek Miętek, prezydent Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych. To ten właśnie związek namawiał maszynistów, aby w ramach protestu 12 września zwalniali przed wszystkimi przejazdami do 20 km/godz.

> W Polsce wciąż nie ma ustawy o czasie pracy maszynisty. Blokują ją mali przewoźnicy, bo zależy im, żeby maszynista mógł pracować u różnych pracodawców.

Szyny do remontu

Trzecie, obok sytuacji na przejazdach i nieostrożności maszynistów, bardzo niebezpieczne zjawisko na naszej kolei to wykolejenia z powodu złego stanu szyn. Do dwóch takich zdarzeń doszło ostatniej zimy, w czasie silnych mrozów. Niedaleko Krakowa, na remontowanym odcinku linii prowadzącej do Warszawy, wypadł z szyn pociąg Polregio. W okolicach Warszawy, na trasie Skierniewice–Łuków, przeznaczonej do remontu, wykoleił się skład towarowy. Związkowcy obwiniają PKP PLK o zbyt późne reagowanie na zgłaszane przez maszynistów sygnały o problemach z szynami.

Spółka zarządzająca infrastrukturą oskarżenia jednak odrzuca i twierdzi, że zmieniła procedury. Gdy tylko maszyniści informują o możliwym zagrożeniu, wprowadzane jest ograniczenie prędkości do 20 km/godz. Być może niedługo w sądzie spotkają się Leszek Miętek i PKP PLK, bo związkowiec nie chce przeprosić firmy za – jak ona twierdzi – nieuprawnioną krytykę.

Czy zatem jazda pociągiem w Polsce staje się coraz bardziej niebezpieczna? Pełne dane UTK takiej tezy nie potwierdzają. Urząd sumuje wszystkie wypadki na kolei z różnych kategorii (w ubiegłym roku było ich dokładnie 484), a potem dzieli je przez tzw. pracę eksploatacyjną wyrażoną w milionach tzw. pociągokilometrów. Chodzi o łączny dystans przejechany przez wszystkie pociągi na naszej sieci kolejowej w ciągu roku. Wynikiem tego działania jest tzw. miernik wypadków. W ubiegłym roku był on na poziomie 1,59, w 2024 r. wynosił 1,71, a w poprzedniej dekadzie przekraczał 2. Dlaczego zatem wydaje się, że jest coraz gorzej, chociaż twarde dane pokazują, że jest coraz lepiej?

– *Przede wszystkim o kolei mówi się więcej niż kiedyś. Rośnie liczba pasażerów, a zatem zainteresowanie tym środkiem transportu jest dużo większe. Oznacza to też, że wszystkie niebezpieczne zdarzenia są bardziej nagłaśniane. A poza tym dzięki modernizacjom infrastruktury jeździmy coraz szybciej, a ruch na torach jest coraz większy. To powoduje, że rośnie skala zagrożeń* – tłumaczy Jakub Majewski.

Sygnały ostrzegawcze

Statystyki mogą uspokajać, ale wobec kolei mamy inne wymagania i oczekiwania. Na drogach śmierć jest – niestety – codziennością (w Polsce ginie średnio prawie pięć osób dziennie), na torach musi być traktowana jako sytuacja wyjątkowa. Tym bardziej że inwestycje w rozwój kolei są rzeczywiście imponujące, a liczba pasażerów rośnie w tempie ok. 10 proc. rocznie i w przyszłym roku powinna przekroczyć pół miliarda. Tymczasem zaniedbań nie brakuje, chociaż niektóre łatwo wyeliminować. Na przykład dyżurni ruchu od dawna apelują o przepisy, które ustalą, ile monitorów mogą obsługiwać równocześnie.

– *Jest luka prawna, a przed wydaniem odpowiedniego rozporządzenia trzeba przeprowadzić badania. Czekamy na nie, bo obecnie nasi pracownicy w lokalnych centrach sterowania nadzorują czasem nawet po kilkanaście monitorów. Nie mieszczą się one przed dyżurnymi, więc są ustawiane również po bokach. Część z nich pokazuje przejazdy kolejowe czy nawet dworce. Jeżeli pojawia się problem, oczekuje się od dyżurnego, że natychmiast go zgłosi, chociaż jego priorytetem jest przecież prowadzenie ruchu pociągów* – opowiada Aleksander Motyka, przewodniczący Związku Zawodowego Dyżurnych Ruchu.

Inne niepokojące zjawisko od dawna opisuje dziennikarz kolejowy Karol Trammer, redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn": – *W wielu składach PKP Intercity aktywowana jest automatycznie możliwość otwarcia drzwi wagonowych, gdy tylko pociąg się zatrzyma. Dzieje się tak również w czasie nieplanowanych postojów, poza stacjami. To bardzo niebezpieczna sytuacja, która może doprowadzić do tragedii, gdy pasażer przez pomyłkę otworzy drzwi i wysiądzie czy wypadnie, kiedy skład nie stoi przy peronie.*

Jak dodaje: – *Wszyscy chowają głowę w piasek i udają, że problemu nie ma. A przy każdym zatrzymaniu poza stacjami załoga stara się jak najszybciej przez głośniki ostrzec pasażerów, by nie otwierali drzwi.*

O bezpieczeństwie na kolei mówi się w mediach głównie przy okazji katastrof. Na co dzień rozmawiają o tym jedynie eksperci i urzędnicy. Wszyscy zgadzają się, że problemów jest dużo, ale nikt nie potrafi – bądź nie chce – wziąć na siebie roli lidera zmian. Mamy Ministerstwo Infrastruktury, Urząd Transportu Kolejowego, liczne związki zawodowe, przewoźników pasażerskich i towarowych, PKP Polskie Linie Kolejowe. To jednak UTK najczęściej bije na alarm i organizuje spotkania, ale urząd sam niewiele może, bo przecież nie uchwali żadnej ustawy, nie wyda nawet rozporządzenia.

Pomysł zaostrzenia kar za wjeżdżanie pod pociągi pokazuje, że tylko głośna tragedia może coś zmienić. Na kolei jak w życiu: mądry Polak po szkodzie.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 59dca094ab

Na każdy temat z każdej strony

Z nauką po imieniu

Adam
Mirek



tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl 59dca094ab



Raben rozwija działalność w Grecji

Grecja czekała na zintegrowanego operatora logistycznego. Nowo otwarty obiekt Raben w Sindos, niedaleko Salonik, odpowiada na potrzeby lokalnych przedsiębiorstw, jednocześnie łącząc grecki sektor eksportowy z siecią połączeń obejmującą całą Europę

W regionie Salonik rozpoczęło działalność nowe centrum logistyczne Grupy Raben. Jest to czwarta lokalizacja firmy w Grecji: po siedzibie głównej w Pireusie, magazynie w Mandra (Attyka) oraz biurze sprzedaży w Heraklionie na Krecie. Centrum w Sindos koło Salonik jest częścią strategicznej inwestycji o wartości 10 mln euro w północnej części kraju. - *Grupa Raben działa w 17 krajach, a nowy obiekt w Salonikach dodatkowo wzmacnia połączenia między Grecją a resztą Europy. Dzięki naszej regularnej sieci transportowej greckie przedsiębiorstwa zyskują łatwiejszy dostęp do rynków międzynarodowych, a klienci w całej Europie mogą szybciej korzystać z produktów pochodzących z Grecji. Nasze motto brzmi „We Connect" i właśnie takie połączenia tworzą realną wartość dla biznesu* - mówi Bartłomiej Łapiński, Regional Managing Director, Raben Group.

Nowe centrum w regionie Salonik powstało na należącej do firmy działce o powierzchni 50 tys. m kw. Pierwszy etap projektu obejmuje nowoczesny magazyn o powierzchnii 4 000 m2, wyposażony w 40 doków załadunkowych i rozładunkowych, komorę chłodniczą dla świeżych produktów spożywczych oraz nową powierzchnię biurową. W drugim etapie planowana jest budowa dodatkowych 15 tys. m kw. powierzchni magazynowej, co wzmocni możliwości firmy w obszarach logistyki kontraktowej, transportu krajowego oraz logistyki produktów wymagających kontrolowanej temperatury.

Uruchomienie nowego centrum logistycznego jest częścią szerszego planu rozwoju Grupy Raben w Grecji, któ-



Relacji nie buduje się w Excelu

Rozmowa z Łukasz Lubańskim, dyrektorem ds. międzynarodowej sieci transportowej w Grupie Raben o jej ekspansji na rynku greckim - wymagającym, ale z ogromnym potencjałem

• Grecja kojarzy nam się z wakacjami, antycznymi zabytkami, ciepłym morzem i pysznym jedzeniem. A jaka jest specyfika rynku greckiego?

Koncentruje się on w dwóch wielkich ośrodkach: w Atenach oraz w Salonikach. Do tych lokalizacji trafia ok. 80 proc. całego wolumenu transportu. Grupa Raben obecna jest także w Heraklionie. To z pozoru nietypowe miejsce, ale równocześnie bardzo ważny element na mapie transportowej. Dostrzegamy potencjał Krety, którą każdego roku odwiedzają miliony turystów, a poza tym przecież toczy się tam życie codzienne mieszkańców. Co ciekawe, tworzą oni wspaniałą, ale hermetyczną społeczność. Do tego stopnia, że niewiele firm z Grecji kontynentalnej decyduje się na realizowanie tam operacji logistycznych.

• Jak nawiązuje się współpracę z Grekami?

W biznesie to naród mocno stawiający na budowanie relacji. Nie przechodzimy od razu do konkretów – najpierw trzeba porozmawiać o rodzinie, o ostatnich wydarzeniach. Dlatego uznaliśmy, że w naszych strukturach muszą być osoby, które doskonale rozumieją charakter tego rynku, a jednocześnie potrafią działać w kontekście europejskim. Takie kompetencje – połączenie lokalnej perspektywy z międzynarodowym doświadczeniem – są kluczowe. Rozmowa w języku partnera, w jego realiach, daje zupełnie inny efekt niż neutralny angielski.

• Czy coś Pana szczególnie w tym rynku zaskoczyło?

Tak, już na samym początku. Okazało się, że Grecy zupełnie inaczej podchodzą do kwestii terminów dostaw. Dla nich akceptowalnym był fakt, że zamówienie złożone na początku tygodnia może zostać wysłane dopiero pod jego koniec, a do klienta dotrzeć nawet w kolejnym tygodniu. Z naszej perspektywy to nierealne, aby klient czekał tak długo – zwłaszcza w kontekście rosnącej popularności platform wysyłkowych, poprzez które towar coraz częściej w ciągu 7-10 dni dociera z Chin. Ku naszemu zdziwieniu greccy kontrahenci odpowiadali tylko, że tak to właśnie u nich wygląda – ludzie są cierpliwi. Poczekają - zawsze czekali.

• I muszą nadal czekać?

Rozumiemy lokalne podejście i szanujemy kulturę biznesową, jednak naszym priorytetem jest zapewnienie szybkich i sprawnych dostaw. Dążymy do tego, aby każdy klient otrzymał przesyłkę w optymalnym czasie, bo terminowość to dla nas fundament jakości obsługi. Dzięki rozmowom z lokalnym biznesem zrozumieliśmy, że w rynku greckim drzemie dodatkowy potencjał, który warto wykorzystać. Naszą ambicją jest rozwinąć sieć dystrybucji krajowej – wewnątrz Grecji. Temu służyć będzie także rozbudowa

eprasa.pl 59dca094ab

ry nabrał tempa po integracji firmy Raben INTERTRANS z międzynarodową siecią Grupy. Grecja dołączyła do Grupy Raben w 2021 roku wraz z przejęciem firmy INTERTRANS, posiadającej ponad 40-letnie doświadczenie na lokalnym rynku transportowym i logistycznym. Połączenie INTERTRANS z kompetencjami Raben oraz rozbudowaną europejską siecią transportową pozwala firmie systematycznie wzmacniać swoją pozycję, inwestować w nowoczesną infrastrukturę i rozwijać kompleksowe rozwiązania logistyczne.

- *Kiedy obiekt był jeszcze w budowie i nie miał nawet ścian, lokalni przedsiębiorcy przychodzili do nas i mówili: „Widzimy, co budujecie, i bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się więcej o Waszych planach rozwoju w północnej Grecji oraz porozmawiać o potencjalnej współpracy". To pokazało nam, jak bardzo lokalne firmy czekały na zintegrowanego operatora oferującego kompleksowy zakres usług pod jednym dachem* – podkreśla Sarantos Kapourelakos, Managing Director Raben Logistics Greece.

Saloniki, gdzie znajduje się drugi co do wielkości port morski w kraju, pełnią rolę bramy nie tylko na Bałkany, ale również do Europy Środkowo-Wschodniej, łącząc międzynarodowe szlaki handlowe z szybkimi i efektywnymi sieciami dystrybucji lądowej. W związku z rosnącymi kosztami transportu promowego do Włoch coraz więcej firm wybiera transport drogowy przez północną Grecję, region o silnie rozwiniętym potencjale eksportowym obejmującym branże od spożywczej po aluminiową i opakowaniową.

- *W przeciwieństwie do wielu innych krajów europejskich, gdzie dominują towary przemysłowe, grecki eksport w dużej mierze opiera się na produktów spożywczych. Grecja pełni również rolę łącznika z Cyprem: przesyłki z takich krajów jak Polska czy Niemcy trafiają tutaj, gdzie przeładowujemy je do kontenerów morskich kierowanych do Limassol. Niemniej jednak transport drogowy pozostaje podstawą naszej działalności i kierunkiem dalszego rozwoju* – wyjaśnia Stefanos Agiopoulos, Sales Director Raben Logistics Greece.

Rozwój infrastruktury i sieci operacyjnej w Grecji wzmacnia również połączenia transportowe z Polską. Grupa Raben realizuje regularne połączenia drobnicowe pomiędzy oboma krajami, oferując transport eksportowy z Polski do Grecji 2-3 razy w tygodniu oraz stałe połączenia importowe raz w tygodniu. Dzięki bezpośredniej integracji greckiej sieci z europejskim systemem Raben klienci mogą korzystać z łatwych do określenia czasów dostawy oraz sprawnej obsługi przesyłek pomiędzy Polską, Grecją i pozostałymi rynkami Europy.

naszych terminali na terenie Grecji, by działać zgodnie z zasadą: wysyłka dziś, dostawa jutro. Jesteśmy przekonani, że taki model spodoba się również greckim klientom, ponieważ stają się oni coraz bardziej świadomymi i wymagającymi konsumentami. Grecja bardzo się zmienia. Możemy z podziwem patrzeć, jak kraj wychodzi z wielkiego kryzysu gospodarczego.

- **Co Grecy eksportują, a co importują?**

Grecja to kraj mocno nastawiony na import – a przynajmniej tak było przez dziesiątki lat. Teraz trend powoli się zmienia. Gdy zaczynaliśmy realizować przewozy, na 10 ciężarówek przyjeżdżających do Grecji wyjeżdżała stamtąd jedna. Teraz są to już średnio 3-4 ciężarówki. Nadal jednak import ma zdecydowanie większy wolumen. A co kupują Grecy? Można powiedzieć, że wszystko. Z Polski, ale też z Czech czy Słowacji, sprowadzają szczególnie dużo części i podzespołów do samochodów, ale to tylko jeden z bardzo wielu rodzajów asortymentu. A eksport wygląda podobnie – niewielkie firmy z rozlicznych branż wysyłają swoje wyroby, bynajmniej nie tylko artykuły spożywcze. Grupa Raben tym właśnie wygrywa w regionie, że mamy dobrą ofertę dla mniejszych podmiotów, potrzebujących transportu drobnicowego.

- **Co może pomóc Grekom we wzmacnianiu eksportu?**

Staram się namawiać greckich klientów, aby uwierzyli w siebie. Ich produkty są równie dobre jak na przykład niemieckie. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby sprzedawały się równie dobrze nie tylko w Grecji, ale i poza jej granicami. Kartą przetargową bardzo często jest dostępność: klienci chętniej kupią to, co już jest na półce. Zachęcam zatem Greków, aby stawiali na zatowarowanie europejskich sklepów swoimi wyrobami. Mamy codzienne połączenia Grecji z Polską, ale też z Czechami, Austrią, Bułgarią, Rumunią i Węgrami. A zatem w każdym z tych krajów greckie produkty mogą śmiało konkurować z innymi.

- **W jaki sposób nowe centrum dystrybucyjne w Salonikach pomoże firmie Raben w dalszej ekspansji?**

To dla nas ogromny „skok" w przyszłość. Nowoczesna infrastruktura szczególnie wspomaga rozwój rynku krajowego, ale ma ogromne znaczenie dla transportu międzynarodowego. Większa liczba ramp przeładunkowych oraz odpowiednia ilość miejsc parkingowych pozwala nam uruchamiać – z wykorzystaniem kontenerów drogowych - kolejne, codzienne połączenia do/z Grecji oraz w ramach sieci krajowej Raben Grecja. Po sukcesie bezpośrednich linii do/z krajów CEE, finalizujemy prace nad podobnymi rozwiązaniami z/do Niemiec i Holandii. Już w połowie stycznia będziemy gotowi zaoferować klientom wyjątkowe połączenie drobnicowe, dzięki któremu dystans 2300km do Salonik i 2800km do Aten nie będzie przeszkodą w reakcji na pilne zapytania klientów. Korzystając z takiego serwisu będziemy w stanie korzystając z serwisu premium, zaoferować klientowi w każdy dzień tygodnia odbiór towaru i transfer do naszych HUBów w ciągu 48h. Ogromną zaletą jest również przygotowanie wspomnianych linii drobnicowych do przewozu towarów ADR, co na rynku greckim jest unikatowe. Patrzymy zatem w przyszłość z ogromną nadzieją.

Materiał powstał przy współpracy z Grupa Raben

eprasa.pl 59dca094ab

Jak nie zostaliśmy kapitalistami

Lech Wałęsa jako kandydat na prezydenta w 1990 r. obiecał każdemu Polakowi po 100 mln zł. Pomysł powszechnego uwłaszczenia bardzo się spodobał, a jego realizacją miały być Narodowe Fundusze Inwestycyjne. Powstały równo 30 lat temu. Dlaczego okazały się niewypałem? I kto na nich naprawdę zarobił?

JOANNA SOLSKA



Warszawa 1995 r., kolejka do oddziału banku PKO BP po powszechne świadectwo udziałowe

© TOMASZ GZELL/PAP

Obietnicę 100 mln starych zł, (po denominacji w 1994 r. byłoby to 10 tys. zł), Polacy potraktowali dosłownie. Rozczarowany Kazik Staszewski w popularnej piosence domagał się potem: „Wałęsa, dawaj moje sto milionów". Prezydent nie odżegnywał się od pomysłu, ale widział go nieco inaczej niż Staszewski: tłumaczył, że to miała być nie gotówka, ale bony, za które moglibyśmy kupować udziały w przedsiębiorstwach pozostałych po PRL. Do realizacji pomysłu Wałęsy nie doszło, ale idea powszechnego uwłaszczenia jako rekompensaty za krzywdy komuny i sprawiedliwego podziału tego, co po niej zostało, wykiełkowała.

Pomysł Wałęsy usiłował zamienić w konkret Janusz Lewandowski, gdański liberał, przyjaciel Donalda Tuska, minister przekształceń własnościowych w rządzie Hanny Suchockiej. Dzisiaj Lewandowski, autor programu NFI, wspomina: – *Program Powszechnej Prywatyzacji zrodził się w Gdańsku, u Wałęsy na Zaspie, ale spodobał się także w innych krajach posocjalistycznych. Świadectwa udziałowe rozdały obywatelom nie tylko Czechy, ale nawet Mongolia. Niestety, realizacja tej idei wszędzie okazała się nieudana, zwykle prowadziła do stworzenia lokalnej oligarchii, nam przynajmniej tego udało się uniknąć. Do gospodarki rynkowej, do kapitalizmu, nie dało się dojść na skróty.*

Kapitaliści bez kapitału

Na początku lat 90. socjalizm wprawdzie upadł, ale ludzie byli przekonani, że jak podzielimy między siebie zakłady, które po nim zostały, zostaniemy obdarowani (jako kandydaci na kapitalistów) całkiem sowicie. Bez kapitału, ale z udziałami w socjalistycznych fabrykach łatwiej będzie nam radzić sobie w gospodarce rynkowej, może nawet zostaniemy rentierami.

Kiedy wreszcie Sejm w kwietniu 1993 r. uchwalił ustawę o NFI, zaraz potem rząd Hanny Suchockiej upadł, a do władzy doszła koalicja SLD-PSL. Lewandowski realizacji swojej koncepcji mógł się już tylko przyglądać. Grupa państwowych przedsiębiorstw, które miały trafić do funduszy, gwałtownie stopniała. Na początku miało być ich aż tysiąc, ale najlepsze, nie doczekawszy realizacji narodowego uwłaszczenia, postarały się o inwestorów wcześniej. Wkrótce okazało się, że dobrze zrobiły.

Grupa pozostałych państwowych firm miała trafić do piętnastu NFI, którymi zarządzać miały profesjonalne, także

eprasa.pl 59dca094ab

zagraniczne, zespoły menedżerów. Zajęłyby się ich restrukturyzacją i poprawą konkurencyjności, co znacznie podniosłoby wartość firm, zwiększając ich atrakcyjność dla przyszłych inwestorów. Dziś Lewandowski przyznaje się do sporej naiwności, może romantyzmu. Same NFI miały znaleźć się na tworzonej właśnie Giełdzie Papierów Wartościowych.

Ojcowie porażki ogłosili sukces

Lewicy, która przyjęła kurs prorynkowy, pomysł NFI się podobał, ale premierowi lewicowego rządu, którym został Waldemar Pawlak z PSL, już niekoniecznie. Ludowcy w ogóle byli przeciwni prywatyzacji, uznając, że doprowadzi ona do wyprowadzenia polskiego kapitału z kraju. Oddania polskich fabryk w zarząd zagranicznym menedżerom także nie chcieli. Sprawa utknęła więc już na samym początku, bo koalicyjni partnerzy nie mogli dogadać się, jakie przedsiębiorstwa wejdą do programu. Ciągle któreś z listy wypadało, w rezultacie zostało ich 512. O powszechnym uwłaszczeniu nie mogło już być mowy, bo nawet biorąc pod uwagę tylko wartość księgową tych 512 firm, stanowiła ona zaledwie 10 proc. majątku narodowego. W dodatku nie były to już perły ówczesnej polskiej gospodarki, ale w większości przedsiębiorstwa, które z trudem odnajdywały się na rodzącym się rynku; większość, prawdę mówiąc, w ogóle się nie odnalazła. Jeszcze przed startem programu zagrożone były upadłością.

Pawlak ponad rok zwlekał z akceptacją listy przedsiębiorstw do NFI. Pytany, kiedy ją podpisze, odpowiadał z sobie właściwym poczuciem humoru, że gdy tylko wróci z Radomia. Dodając po chwili, że w ogóle się tam nie wybiera. Zaakceptował listę 512 dopiero wtedy, gdy rząd pod jego kierownictwem sporządził inną, niejako konkurencyjną listę przedsiębiorstw, które nigdy nie zostaną sprywatyzowane, a więc nie wejdą także do programu prywatyzacji. Znalazły się na niej m.in. kopalnie, energetyka, koleje, banki oraz Polmosy. Czyli przedsiębiorstwa stanowiące prawdziwy trzon ówczesnej gospodarki, zarówno chronicznie deficytowe, np. kopalnie, jak i dające wielkie zyski, np. Polmosy, które posiadały monopol na produkcję alkoholu i przynosiły spore wpływy do budżetu. Chodziło też o to, że polskie wtedy gorzelnie skupowały od rolników zboże i ziemniaki do produkcji wódki; prywatyzacja Polmosów mogła spowodować konkurencję, a więc i obniżkę cen skupu. Lider ludowców musiał o tym pamiętać. Lista Pawlaka oznaczała, że uwłaszczenie nie będzie powszechne. Pierwszym ojcem porażki NFI był więc Waldemar Pawlak. Ojców było jednak wielu, choć na początku wszystko wyglądało na sukces.

Początkiem wielkiej prywatyzacji albo, jak nadal uważano, uwłaszczenia obywateli, miała się stać akcja wykupu powszechnych świadectw udziałowych, które potem mieliśmy zamienić na akcje NFI, które oficjalnie trafią na GPW. Rozprowadzanie świadectw rozpoczęło się w 1996 r., a od lipca tegoż roku świadectwa można było już wymienić na akcje NFI. Świadectwa należały się wszystkim dorosłym Polakom zamieszkałym w kraju na stałe, trzeba było zapłacić za nie tylko 20 zł. Ministerstwo Skarbu Państwa szacowało, że odbierze je 10 mln uprawnionych. Już w listopadzie Wiesław Kaczmarek, ówczesny minister skarbu, ogłosił wielki sukces: po świadectwo zgłosiło się aż 25 675 000 obywateli.

O swoje prawa upomnieli się także ci, którzy w kraju na stałe zameldowani nie byli. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że oni również mają prawo do udziału w Programie Powszechnej Prywatyzacji. Ostatecznie kandydatami na kapitalistów zostało 25,9 mln Polaków, 95 proc. uprawnionych!

Entuzjazm szybko opadł

Huraoptymizmu nie podzielali ci, którzy widzieli, jak bardzo stopniała obietnica Wałęsy. Z 10 tys. nowych zł, które miał otrzymać każdy, zrobiło się 230 zł. Tyle bowiem według wyliczeń ekonomistów wynosiła wartość księgowa przedsiębiorstw z listy 512, przypadająca na jedno świadectwo. Księgowej wartości daleko jednak było do rynkowej, która topniała w oczach.

Na razie jednak – latem 1996 r. – naród cieszył się świadectwem uprawniającym do zostania kapitalistą, nie zastanawiając się jeszcze, jak to zrobi. Interes wyczuł natomiast ks. Tadeusz Rydzyk, który ogłosił, że zbierze milion świadectw na ratowanie legendarnej Stoczni Gdańskiej i na utworzenie dziennika katolickiego. Nieformalne emisariuszki chodziły po domach, namawiając sąsiadki do przekazania Radiu Maryja swojego świadectwa. Ojciec Rydzyk stoczni nie uratował, nigdy też z zebranych świadectw się nie rozliczył.

Dr Daniel Korona, w 1998 r. pracownik naukowy Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, został prezesem Krajowego Stowarzyszenia Udziałowców, które powstało w 1996 r. z inicjatywy działaczy Solidarności i też gromadziło świadectwa. Związkowcy wyczuli, że jest interes do zrobienia, jeśli zgromadzą co najmniej milion. Chcieli przejąć jeden z NFI, ale nie udało się. ▶

REKLAMA



eprasa.pl 59dca094ab

▶ Nadzieje niedoszłych kapitalistów szybko zweryfikowała giełda. Podczas debiutu 15 lipca 1996 r. za świadectwo udziałowe można było dostać 104 zł. Kto sprzedał, zarobił na czysto 84 zł. Kto wierzył i kilka miesięcy przetrzymał, dostał w lutym 175 zł, to był szczyt, pod koniec 1998 r. cena wynosiła zaledwie 58 zł. Tyle zostało ze 100 milionów. Prof. Ryszard Bugaj, wtedy z Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, przeciwnik programu NFI, stwierdził, że Polacy za zarobione na świadectwach pieniądze mogą sobie postawić obiad.

Kiedy w styczniu 1999 r. świadectwa udziałowe przestały być już papierami wartościowymi, ci, którzy nie zamienili ich na akcje NFI, mogli z nich zrobić co najwyżej papierową trąbkę – pisały rozgoryczone media. Obywatele już wcześniej zorientowali się, że kapitalistami nie zostaną, większość z nich zdążyła się pozbyć świadectw. Spora część społeczeństwa poczuła się jednak oszukana, dlatego mimo realizacji programu NFI idea „prawdziwego" powszechnego uwłaszczenia wracała także później. Bo państwowego majątku zostało jeszcze sporo.

Większość świadectw udziałowych trafiła w ręce państwowych banków, jak PKO BP i Pekao SA, a także ubezpieczyciela PZU Życie, które skupowały świadectwa od obywateli, a więc o prywatyzacji trudno było mówić. 3 mln skupili zagraniczni inwestorzy, potem mogli je zamienić na akcje NFI. Zarządzający Funduszami to było grono rzeczywistych beneficjentów programu. Nawet państwowe PZU Życie, kierowane wtedy przez Grzegorza Wieczerzaka, powołało PZU NFI Management i zarządzało aż trzema NFI, a Wieczerzak robił sporo, aby przejąć władzę nad kolejną trójką.

Ofiary i beneficjenci

Idea „ludowego kapitalizmu" się rozwiała, a prawdziwymi ofiarami programu okazały się załogi przedsiębiorstw, które weszły do programu. Patrząc z obecnej perspektywy, można powiedzieć, że państwo, tworząc program NFI, pozbyło się słabych przedsiębiorstw, którym nie umiało pomóc, ale nie pomogli im także „profesjonalni zarządzający". Masowe zwolnienia zaczęły się, zanim jeszcze program wystartował. Wprawdzie między pracowników podzielono 15 proc. akcji zakładów przeznaczonych do prywatyzacji, ale pracę straciła aż połowa zatrudnionych. Tymczasem firmy nieobjęte programem już nie pozbywały się ludzi, według GUS bezrobocie przestało rosnąć. Załogi zakładów, które znalazły się w programie NFI, odebrały najbardziej brutalną lekcję kapitalizmu, zostały rzucone rynkowi na pożarcie.

Pierwszymi beneficjentami NFI zostali politycy, to oni obsadzali swoimi ludźmi rady nadzorcze wszystkich NFI. O jak najwięcej stanowisk dla swoich ścigał się prorynkowy Sojusz Lewicy Demokratycznej, ale nie ustępowało mu PSL, które uwłaszczenia przecież nie chciało. Członkostwo w radach nie było wprawdzie tak sowicie opłacane, jak zarządzanie nimi, ale stwarzało możliwość zatrudniania w funduszach kolejnych znajomych. O NFI mówiono Narodowe Fundusze Interesików.

Kontrolerzy NIK w 2003 r. uznali, że cały program to niewypał. Nie mieli wątpliwości, że głównym powodem porażki są źle skonstruowane umowy z firmami zarządzającymi. To one okazały się największymi beneficjentami NFI. NIK obwiniała za złe umowy Wiesława Kaczmarka, ówczesnego ministra skarbu. Konkursy, mające wyłonić profesjonalnych zarządzających, także z zagranicy, okazały się fikcją. Głównym udziałowcem konsorcjum zarządzającym XII NFI był np. Bank Pallas-Stern, w którym Bank Francji musiał w 1995 r. wprowadzić zarząd komisaryczny. Wynagrodzenia dla menedżerów przewidziano sowite: rocznie firma zarządzająca dostawała przeciętnie 2,8 mln dol., sporą sumę na ten cel Polska pożyczyła z Banku Światowego. Zdumiewające, że apanaże nie były w żadnym stopniu uzależnione od sytuacji finansowej podległych NFI. Fundusze więc nie zarabiały, wartość zarządzanych przez nie przedsiębiorstw malała, ale majątki zarządzających rosły jak na drożdżach. Według money.pl tylko w ciągu sześciu lat kierujący NFI zarobili 520 mln zł.

Jaką mieli motywację do stawiania firm na nogi? – *Żadnej* – oburza się dziś prof. Elżbieta Mączyńska, była prezeska Polskiego Towarzystwa Ekonomistów, współautorka badania PAN na temat efektów, jakie przyniosły NFI. W ciągu sześciu lat wartość przedsiębiorstw stopniała z 6 do zaledwie 3 mld zł, a co trzecia firma zbankrutowała albo została zlikwidowana. Zresztą niektórzy zarządzający byli po prostu zainteresowani likwidacją. Wtedy sprzedawano za grosze – często z góry umówionym nabywcom – wszystko, co miało jakąś wartość: ziemię, budynki, mieszkania. Pojawiło się określenie „wydmuszka", czyli pozostawienie długów w przedsiębiorstwie, które likwidowano, i przenoszenie jego cennych aktywów do nowej, niezadłużonej firmy. Wynajęci za sowite pieniądze menedżerowie nie przejmowali się konfliktem interesów. Relacje między nimi były wyjątkowo nieprzejrzyste. Tylko niewiele firm przed ich giełdowym debiutem solidnie zrestrukturyzowano i dokapitalizowano.

Z tego okresu pochodzą powtarzane potem przez polityków zarzuty złodziejskiej prywatyzacji, korupcji. Nie było wycen rynkowych, zarządzający sprzedawali firmy po cenach rażąco niskich (np. cementownię Małogoszcz oddaną inwestorom zagranicznym). Zdaniem Elżbiety Mączyńskiej, jeśli jakiemuś przedsiębiorstwu udało się przetrwać, to nie dzięki temu, że trafiło do NFI, lecz mimo tego.

Było kilka przypadków w miarę udanych. Janusz Lewandowski pamięta np. Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych, świetnie prosperujące do tej pory. Liczono, że po perłę w koronie, za jaką uważano wtedy Dwory (zakłady chemiczne Oświęcim), ustawi się kolejka chętnych inwestorów, ale kalkulacje zawiodły. Dwory jednak zadebiutowały na GPW, a w 2006 r. przejął nad nimi kontrolę Michał Sołowow. Teraz są częścią kontrolowanego przez najbogatszego Polaka Synthosu. Szczęście miał Stolbud Sokółka, obecnie część szwedzkiego koncernu Inwido, największego europejskiego producenta okien i drzwi.

W 2004 r. w zasadzie już było pozamiatane, fundusze sprzedały akcje prawie 95 proc. posiadanych przedsiębiorstw, ale programu nie likwidowano, NFI ciągle były obecne na GPW. W 2006 i 2007 r. kontrolę nad dwoma szczątkowymi NFI przejął bogaty już wówczas Roman Karkosik, służyły mu jako wehikuł inwestycyjny. Co było w nich atrakcyjnego? Przywileje podatkowe, z których biznesmen mógł korzystać. Odebrano je funduszom dopiero w 2013 r., gdy uchylono ustawę o NFI.

Roman Karkosik to ten biznesmen, który właśnie zbudował (podobno za 100 milionów) najwyższy w Europie posąg Matki Boskiej jako prywatne wotum dziękczynne. To chyba też najlepszy pomnik i pointa Narodowych Funduszy Inwestycyjnych i Programu Powszechnej Prywatyzacji.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 59dca094ab

PODKASTY POLITYKI

OGLĄDAJ NA YT, SPOTIFY I APPLE PODCAST

POLITYKA.PL/PODKASTY





- Podkast Psychologiczny
- Świat na zakręcie

PONIEDZIAŁEK



- Polityka o historii

WTOREK



- Temat tygodnia

ŚRODA

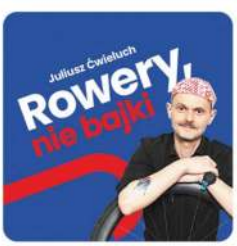

- Rowery, nie bajki

CZWARTEK





- Kultura na weekend
- Polskie demo

PIĄTEK



- Polityka o książkach

SOBOTA
CO DWA TYGODNIE

eprasa.pl 59dca094ab



Berlin, protest przeciw ewentualnej koalicji CDU z AfD. Na transparencie Alice Weidel i Friedrich Merz: „Boże, pomóż mi przetrwać tę zabójczą miłość".

Kwadratura Merza

Rozmowa z niemieckim politologiem Markiem Debusem o zwycięskiej serii AfD, o skutkach naśladowania skrajnej prawicy i o tym, dlaczego Friedrich Merz się obroni.

FILIP GAŃCZAK: **– Czy Friedrich Merz pozostanie kanclerzem?**

MARC DEBUS: – I Merz, i jego chadecja (CDU) zmagają się ze słabymi notowaniami, co skutkuje wewnątrzpartyjną krytyką. Sama zmiana kanclerza nie rozwiąże jednak problemów. Ten rząd ma nadal bardzo dużo do zrobienia. Jednocześnie w rządzącej koalicji nie znikną różnice zdań w sprawach polityki gospodarczej i społecznej. Przeciwnie, socjaldemokraci (SPD) wyraźnie przesuwają się w lewo. Poza tym ewentualni kandydaci na następcę Merza, jak premier Nadrenii Północnej-Westfalii Hendrik Wüst, wiosną 2027 r. mają przed sobą wybory regionalne, a do tego w styczniu odbędą się wybory prezydenta federalnego. Jeśli wziąć to wszystko razem, zastąpienie Merza już tej jesieni byłoby bardzo trudne.

Merz, delikatnie mówiąc, nie porywa Niemców.

To prawda. Tylko że wymiana kanclerza i jednocześnie przewodniczącego partii w połowie kadencji stanowi ogromne ryzyko. Dlatego przypuszczam, że Merz pozostanie na stanowisku co najmniej do kwietnia, a więc do wyborów regionalnych w Szlezwiku-Holsztynie, Kraju Saary i Nadrenii Północnej-Westfalii.

Ostatnie wybory regionalne (20 września) były dla CDU katastrofą. W Meklemburgii-Pomorzu Przednim chadecy nie przekroczyli nawet 5-procentowego progu wyborczego. Pierwszy raz w historii.

Tak, to zdecydowanie klęska. Z badań dotyczących Niemiec, jak również innych współczesnych demokracji, wiemy, że wyborcy podejmują decyzję coraz później, krótko przed głosowaniem. Są

© OMER MESSINGER/GETTY IMAGES, JENS SCHLUETER/GETTY IMAGES, SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 59dca094ab

także znacznie bardziej niż kiedyś skłonni zmieniać preferencje. Wyraźnie osłabły więzi wyborców z partiami. W Niemczech Wschodnich te więzi były i tak znacznie słabsze niż w zachodnich landach, stąd takie wahania preferencji wyborczych.

Fakt, że CDU wypadła teraz z regionalnego parlamentu, jest z pewnością szokiem dla chadeków. Już sam wynik na poziomie 5 proc. byłby zły, a teraz sytuacja dla Merza staje się jeszcze trudniejsza. Trzeba jednak zastrzec, że półtoramilionowa Meklemburgia-Pomorze Przednie jest małym krajem związkowym. Ważny dla CDU jest wynik w takich landach jak Nadrenia Północna-Westfalia, Dolna Saksonia, Badenia-Wirtembergia i Bawaria, a na wschodzie – Saksonia z Lipskiem i Dreznem. I tam nadal wypada ona lepiej. Dlatego nie sądzę, żeby wynik w Meklemburgii-Pomorzu Przednim doprowadził już teraz do dramatycznych decyzji.

Gdy CDU traci, rośnie w siłę Alternatywa dla Niemiec (AfD). Skrajna prawica wygrała w Meklemburgii-Pomorzu Przednim (38 proc. głosów), a dwa tygodnie wcześniej jeszcze wyraźniej w Saksonii-Anhalcie (44 proc.). W 2024 r. zwyciężyła w Turyngii, choć nie zdołała tam wejść do rządu.

Jej sukces wynika w dużej mierze z retoryki antyimigranckiej. Jednocześnie kultura rządzenia typowa dla gabinetów koalicyjnych prowadzi do tego, że zarówno CDU, jak i SPD muszą iść na kompromisy. Jest to dylemat zwłaszcza dla CDU, bo z jednej strony ma elektorat, który chce polityki konserwatywnej, reform gospodarczo-liberalnych, bardziej rygorystycznego podejścia do imigracji. Z drugiej nie może realizować takiego programu wspólnie z AfD, bo ta partia jest izolowana na niemieckiej scenie politycznej. W konsekwencji chadecy muszą rządzić z ugrupowaniami znajdującymi się na lewo od nich, jak SPD czy Zieloni, mającymi odmienne spojrzenie na kwestie gospodarcze, społeczne, a także na imigrację. Takie kompromisy frustrują część wyborców CDU i skłaniają ich do głosowania na AfD.

Czy te sukcesy w landach przełożą się na ostateczny triumf AfD na poziomie całych Niemiec?

W wyborach postrzeganych subiektywnie jako mniej istotne – jak te do Parlamentu Europejskiego – wyborcy mają tendencję do karania partii sprawujących władzę i tworzących rząd krajowy. Podobnie jest w przypadku wyborów regionalnych w Niemczech, wskutek czego straty chadecji i socjaldemokratów są dziś ponadprzeciętnie duże, a zyski partii opozycyjnych ponadprzeciętnie wysokie. Przypuszczam, że w wyborach do Bundestagu AfD uzyskałaby teraz wynik nieco gorszy niż w sondażach, raczej poniżej 25 proc., co jednak nadal czyniłoby ją kluczowym aktorem niemieckiego systemu partyjnego. Coraz trudniej będzie utworzyć rząd i potem sprawować władzę, mając w opozycji tak silne ugrupowanie. Aby w takiej sytuacji utrzymać koalicję, potrzebne są sojusze partii mocno różniących się programowo. Co stanowi szczególny problem dla CDU, ponieważ w obecnych realiach oznacza to sojusze z ugrupowaniami lewicowymi.

Wspomniał pan o izolacji AfD. Historyk Ilko-Sascha Kowalczuk mówi wprost: „Z faszystami się nie rozmawia. Kropka". Na ile uzasadnione są takie porównania?

Zależy to trochę od regionu. W Saksonii-Anhalcie AfD jest przez Urząd Ochrony Konstytucji uznawana za skrajnie prawicową. W partii istnieją też jednak bardziej umiarkowane organizacje landowe. Problem polega na tym, że AfD jako całość coraz bardziej się radykalizuje. A to sprawia, że jako partner koalicyjny jest dla chadeków coraz bardziej nieakceptowalna. Widać to szczególnie w polityce zagranicznej, europejskiej i obronnej, gdzie AfD jest po prostu prorosyjska.

Jednocześnie nie można powiedzieć, że blisko 44 proc. wyborców w Saksonii-Anhalcie, którzy zagłosowali na AfD, to faszyści. Z ich perspektywy nie ma dobrej alternatywy dla AfD. Całkowite ignorowanie ideologicznych czy programowych przekonań tych ludzi i określanie ich jako faszystów prowadziłoby jedynie do tego, że coraz mocniej wiązaliby się z AfD i trudniej byłoby ich później odzyskać.

Politycy koalicji rządowej już teraz próbują podkradać AfD niektóre pomysły i hasła. Szef MSW Alexander Dobrindt kolejny raz przedłuża kontrole na niemieckich granicach. Chadecki premier Saksonii Michael Kretschmer o rosyjskiej napaści na Ukrainę mówi: „To nie jest nasza wojna". Robi to pod wpływem sukcesów AfD? ▶





Agitatorzy AfD przed wyborami w Saksonii-Anhalcie. Obok: **ogłoszenie wyników w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Kolejny triumf AfD i klęska CDU.**

eprasa.pl 59dca094ab

▶ Robi to przede wszystkim pod wpływem sukcesów AfD w swoim landzie, a szerzej we wschodnich Niemczech, ponieważ tam nastawienie do Rosji jest mniej krytyczne niż w zachodnich krajach związkowych.

A jeśli chodzi o politykę migracyjną i integrację cudzoziemców, to od czasu pierwszych sukcesów AfD praktycznie wszystkie stare partie zaostrzają tu swoje stanowiska. Nie osłabiło to jednak AfD, lecz raczej uczyniło ją silniejszą. Z badań politologicznych wiemy, że zbliżanie się partii głównego nurtu do stanowisk ugrupowań skrajnie prawicowych lub populistycznych na ogół napędza wyborców tym drugim, podczas gdy partie, które dokonały korekty programowej, jeszcze gorzej wypadają w wyborach.

Załóżmy, że AfD przejmie władzę w jednym z landów. Niektórzy przewidują, że udział w rządzie siłą rzeczy zbliży ją do centrum albo przynajmniej odczaruje w oczach wyborców.

Niekoniecznie. Spójrzmy na Wolnościową Partię Austrii (FPÖ), pod wieloma względami porównywalną z AfD. W latach 2000–05 i 2017–19 FPÖ współrządziła u boku chadeków, po czym być może na krótko osłabła, ale ostatecznie ugruntowała swoją pozycję jako jedno z najsilniejszych ugrupowań w Austrii. Szwedzcy Demokraci, także zaliczani do populistycznej prawicy, w wyborach we wrześniu stracili część głosów, ale nadal są trzecią siłą w kraju.

Z badań mojej koleżanki prof. Heike Klüver wynika, że udział partii prawicowo-populistycznych w rządzeniu nie prowadzi do ich osłabienia, lecz z reguły do ich wzmocnienia. I tak również może być w przypadku AfD. Tyle że np. w Saksonii-Anhalcie niewiele już zależy od chadeków czy socjaldemokratów, ponieważ AfD ma tam szansę utworzyć rząd z lewicowo-populistycznym Sojuszem Sahry Wagenknecht (BSW), który przekroczył próg wyborczy.

Jakie mogą być tego konsekwencje?

AfD mogłaby zmienić programy nauczania w szkołach, bo to leży w kompetencji landów. Na uniwersytetach zyskałaby wpływ na kierunek badań, np. likwidując niezgodne z jej linią programy grantowe. To wszystko możliwe, ale nie z dnia na dzień. Jeśli chodzi o podręczniki szkolne, to z perspektywy AfD trzeba by je napisać w zasadzie od nowa, a tego nie da się zrobić w ciągu jednej kadencji. Potrzebni byliby nauczyciele, którzy wdrażaliby to wszystko w określony sposób. Dlatego nie oczekuję tu radykalnej zmiany.

Inaczej to wygląda w sprawach bezpieczeństwa. Zwłaszcza jeśli przyjąć, że AfD uzyskałaby wgląd w plany obronne kraju. Trzeba pamiętać, że wielu polityków AfD popiera negocjacje i współpracę z Rosją, a zwłaszcza wznowienie importu gazu ziemnego.

To jednak nie AfD budowała gazociągi bałtyckie.

To prawda, projekt wspierały przede wszystkim rządy kierowane przez chadeków i socjaldemokratów, a więc partie głównego nurtu. Wątpliwości pojawiły się późno – kiedy Rosja zaatakowała Krym, a następnie całą Ukrainę.

Tymczasem AfD przekonuje, że odchodzenie od rosyjskich surowców było błędem – i chciałaby ponownie uruchomić Nord Stream.

Wobec ogromnego wzrostu cen gazu i energii w Niemczech takie argumenty trafiają do wyborców.

Kim są wyborcy AfD?

To w ponadprzeciętnej mierze mężczyźni. W średnim wieku, między 35. i 59. rokiem życia. Niezadowoleni z ogólnej sytuacji politycznej, mają na ogół niewielkie zaufanie do instytucji politycznych, a także do innych ludzi. Są pod względem społecznym i obyczajowym raczej konserwatywni, odrzucają więc chociażby małżeństwa osób tej samej płci. Dość pozytywnie oceniają Rosję. Jednak centralnym tematem dla wyborców AfD jest migracja.

Ale akurat w byłej NRD, gdzie AfD jest szczególnie silna, odsetek cudzoziemców i osób o imigranckich korzeniach nie jest najwyższy.

Także w Niemczech Zachodnich poparcie dla AfD niekoniecznie jest najwyższe tam, gdzie odsetek migrantów jest wysoki. Liczy się jednak ogólne postrzeganie problemu, a niekoniecznie to, czy widzi się go bezpośrednio przed własnymi drzwiami. Do tego wyborców AfD ponadprzeciętnie często spotyka się na obszarach wiejskich. A także w tych regionach, które przechodzą powolne i trudne procesy transformacji strukturalnej – od przemysłu do nowoczesnego społeczeństwa opartego na usługach, gospodarce cyfrowej i komunikacji. Silne poczucie, że nie jest się reprezentowanym przez partie establishmentu, zachęca do głosowania na AfD.

Czy w bliskiej przyszłości AfD ma szansę przejąć władzę w całym kraju?

Dziś uważam to za mało prawdopodobne, niemal wykluczone. AfD wciąż nie może znaleźć odpowiednio silnego koalicjanta czy choćby partnera do współpracy. CDU, nawet jeśli ma z AfD pewne punkty styczne w kwestiach migracyjnych czy gospodarczo-finansowych i społecznych, nie dogada się z nią w sprawach polityki zagranicznej, europejskiej i obronnej ani szerzej – co do kształtu niemieckiego systemu politycznego. Brak tu wspólnego mianownika. Dlatego w najbliższych latach nie będzie rządu federalnego z udziałem AfD.

Chyba że świat będzie się zmieniać jeszcze szybciej niż teraz.

Istnieje takie niebezpieczeństwo. Nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja międzynarodowa. Wojna Rosji przeciw Ukrainie czy konflikt USA–Iran prowadzą do ogromnego poczucia niepewności. Globalny kryzys bankowy i finansowy sprzed kilkunastu lat został zastąpiony przez kryzysy migracyjne, które de facto nie zostały rozwiązane, oraz przez kryzys klimatyczny. Do tego mieliśmy jeszcze pandemię koronawirusa. W Stanach Zjednoczonych mamy prezydenta, który próbuje podważać system demokratyczny i destabilizuje sytuację międzynarodową.

Wszystko to prowadzi do obaw i lęków. Na tym mogą korzystać partie skrajnie prawicowe i skrajnie lewicowe, występujące z prostymi populistycznymi przekazami. Jednak z badań wyborczych wiemy, że nie ma liniowych trendów polegających na stałym wzroście poparcia dla jednej partii czy stałym spadku popularności innych. Powtórzę: wyborcy podejmują decyzje krótkoterminowo i – coraz częściej – za każdym razem na nowo. W Holandii w wyborach w 2023 r. prawicowi populiści odnotowali niezwykle dobry wynik, ale dwa lata później wypadli wyraźnie gorzej, bo źle rządzili. Co oznacza, że nie ma ogólnego trendu, zgodnie z którym udział głosów partii prawicowo-populistycznych miałby stale rosnąć.

ROZMAWIAŁ FILIP GAŃCZAK



Prof. **Marc Debus** – ur. 1978 r., politolog na uniwersytecie w Mannheim. Zajmuje się m.in. analizą porównawczą systemów politycznych i badaniem zachowań wyborczych. W tym roku objął funkcję redaktora naczelnego uznanego czasopisma naukowego „Politische Vierteljahresschrift".

© UNIWERSYTET W MANNHEIM

eprasa.pl 59dca094ab

Duet z tupetem

Dyplomacja Steve'a Witkoffa i Jareda Kushnera jest już tematem dowcipów. Może jednak w ich działalności nie chodzi wcale o rozwiązywanie globalnych problemów?

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU



© CHRISTIAN LIEWIG/BESTIMAGE/GETTY IMAGES

W sierpniu 2025 r. specjalny wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych Steve Witkoff, poleciał do Moskwy, aby przygotować spotkanie Trump–Putin na Alasce. Wrócił do Waszyngtonu rozpromieniony i zameldował, że rosyjski dyktator gotów jest do ustępstw. Jeżeli Ukraina wycofa swe wojska z niezajętych jeszcze przez Rosjan terenów w obwodach donieckim i ługańskim, Władimir Putin odda Kijowowi okupowane regiony obwodów zaporoskiego i chersońskiego. Droga na szczyt rosyjsko-amerykański, pierwszy od inwazji Ukrainy, jest otwarta!

Uradowany początkowo Donald Trump w Anchorage nie krył zdumienia, kiedy optymistyczne zapowiedzi jego negocjatora się nie sprawdziły. Putin nie oddał ani centymetra zdobytej Ukrainy i szczyt okazał się fiaskiem. Witkoff się pomylił – Putin nie obiecał mu żadnej „wymiany terytoriów". Do nieporozumienia doszło dlatego, że amerykański wysłannik podczas rozmów nie miał tłumacza z ambasady ani nawet stenotypistki i polegał na tłumaczeniu z Kremla.

Kilka miesięcy później, w lutym br., Witkoff razem z zięciem prezydenta Jaredem Kushnerem toczyli rozmowy w Omanie i Genewie z ministrem spraw zagranicznych Iranu Abbasem Aragczim. Pod groźbą użycia siły mieli skłonić irański reżim do rezygnacji z budowy broni nuklearnej i oddania wzbogaconego uranu.

Jak ustalił „New Yorker", szef irańskiej dyplomacji poczynił daleko idące ustępstwa. Oferował nawet całkowite wstrzymanie wzbogacania uranu i rozcieńczenie posiadanych już jego zapasów. Zdaniem nowojorskiego tygodnika Witkoff i Kushner zignorowali te koncesje, gdyż się nie zorientowali, co dokładnie Aragczi proponuje. A to dlatego, że na rokowania nie wzięli ze sobą doradców znających się na technicznych niuansach zbrojeń atomowych. Po rozmowach Kushner oświadczył, że Irańczycy ani na jotę nie zmienili swego stanowiska i grają na zwłokę. Wkrótce USA i Izrael rozpoczęły bombardowania Iranu.

Wojna w Zatoce Perskiej, której dyplomacja mogłaby zapobiec, trwa do dziś. Pod rządami Trumpa Ameryka nie ma jednak dyplomacji, jaką szczyciła się przez dziesięciolecia. Nad zakończeniem wojny w Wietnamie pracował przez kilka lat nie byle kto, bo sekretarz stanu i doradca prezydenta Richarda Nixona ds. bezpieczeństwa narodowego Henry Kissinger. Marco Rubio, który formalnie też pełni obecnie obie te funkcje, zajmuje się tylko polityką USA na zachodniej półkuli. ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ A pytany w wywiadach o Iran i Ukrainę unika odpowiedzi.

Prezydent nie zlecił tego zadania ani Rubio, ani jego podwładnym, zawodowym dyplomatom w Departamencie Stanu. Zdaniem wtajemniczonych nie za bardzo ufa Rubio i w ogóle ekspertom. Obawia się także, by któryś z wytrawnych dyplomatów, w razie sukcesu, nie zyskał statusu celebryty, jak kiedyś Kissinger czy architekt pokoju na Bałkanach w latach 90. Richard Holbrooke, i nie przyćmił jego domniemanej wielkości.

Negocjacjami nad zakończeniem dwóch wojen zajmuje się więc duet Witkoff-Kushner, dwaj biznesmeni, a konkretnie handlarze nieruchomościami, nieposiadający żadnej wiedzy – a przed dojściem Trumpa do władzy także doświadczenia – w polityce międzynarodowej. Zamiast dyplomatycznych kwalifikacji mają ważniejszy dla niego atut – są mu bliscy personalnie i ideowo. Na ich lojalność może zawsze liczyć.

Z Witkoffem Trump zna się od lat 80., kiedy zaczynał w Nowym Jorku karierę dewelopera, a obecny negocjator, wówczas młody adwokat, bronił jego interesów. Zaprzyjaźnili się, gdy Witkoff kupił mu na Manhattanie sandwicha z szynką, a potem, naśladując Donalda, sam spróbował – z powodzeniem – swych sił na rynku nieruchomości. Trump był mu szczególnie wdzięczny, gdy przed wyborami w 2024 r. Witkoff pośredniczył w rozmowach z jego rywalami z prawyborów i udało mu się ich skłonić, by go poparli w staraniach o powrót do Białego Domu.

Przez to wszystko Trump nabrał przekonania o nadzwyczajnych zdolnościach dyplomatycznych swego przyjaciela i po wygraniu wyborów powierzył mu rolę wysłannika na Bliski Wschód. Witkoff jeszcze przed drugą inauguracją Trumpa pojechał tam z Kushnerem i negocjował z Hamasem zwolnienie izraelskich zakładników, współpracując z dyplomatami z odchodzącej ekipy Joe Bidena. Znał region, bo robił tam interesy z szejkami z Zatoki Perskiej.

O Rosji wiedział dużo mniej – z grubsza tyle, co wielu naiwnych Amerykanów, wyobrażających sobie, że w konfrontacji z nią Ukraina jest bez szans i powinna się z Putinem dogadać. – *Witkoff zdaje się podzielać amerykańską wiarę, że dobra wola i wzajemne interesy przezwyciężą większość konfliktów* – mówi były ambasador USA w Warszawie Daniel Fried.

W marcu 2025 r. wysłannik Trumpa sugerował, że Ługańsk, Donieck, Zaporoże i Chersoń powinny być rosyjskie, bo przecież mieszkańcy tych regionów mówią w tym języku – chociaż wiadomo, że w większości czują się Ukraińcami. Nie krył też sympatii dla dyktatora z Kremla. I okazało się, że w oczach Trumpa czyni to z niego idealnego kandydata do negocjacji z Putinem w sprawie zakończenia wojny.

Pierwszym wysłannikiem prezydenta do Moskwy był emerytowany generał Joseph Kellog, ale naraził się Rosjanom, upierając się przy amerykańskiej pomocy dla Ukrainy. Putin odmówił współpracy z generałem i Trump ustąpił. Wakat po Kellogu wypełnił Witkoff i rozpoczął – czasem wraz z Kushnerem – negocjacje z rosyjskimi dyplomatami, toczące się zwykle na neutralnym gruncie, na Półwyspie Arabskim.

W rosyjskiej stolicy Witkoff zachowuje się, jakby trafił do raju – na widok witającego go Putina jego twarz promienieje radością. Wymienia z dyktatorem dusery, obsypuje go komplementami i mówi potem, że wizyta na Kremlu pozostanie mu w pamięci jako jedno z najszczęśliwszych wspomnień. Kiedy w Moskwie trzeba dokądś pojechać, wbrew zasadom nie korzysta z samochodu ambasady USA, lecz z transportu dostarczonego przez gospodarzy.

Pod koniec 2025 r. Biały Dom ogłosił 28-punktowy „pokojowy plan" dla Ukrainy. Zgodny ze wszystkimi moskiewskimi warunkami zakończenia wojny, jak uznanie rosyjskiej własności zagrabionych terytoriów, rezygnacja Ukrainy z członkostwa w NATO i zakaz stacjonowania w Ukrainie wojsk państw Sojuszu. Plan wyglądał na podyktowany przez Putina, co w prywatnych rozmowach z senatorami przyznał nawet Rubio.

Autorem – lub współautorem – tego projektu był prawdopodobnie Witkoff. Dyplomata Trumpa nieraz powtarzał propagandową linię Kremla, np. mówiąc, że do wojny doprowadziły „prowokacje" Zachodu, czyli zapraszanie Ukrainy do NATO. Wtórował mu Kushner, sugerując, że na przeszkodzie do pokoju stoi głównie upór Kijowa, by nie oddawać zagrabionych przez Rosjan terytoriów.

Zdaniem niektórych ekspertów postawę obu wysłanników może tłumaczyć ich przeszłość w nieruchomościach. – *Witkoff i Kushner widzą świat przez okulary biznesu, a Rosja ma na tym polu więcej do zaoferowania niż Ukraina* – ocenia Garrett Martin, politolog z American University. Ich prorosyjska narracja jest oczywiście echem wypowiedzi samego Trumpa po każdej rozmowie telefonicznej z Putinem. Jednak krytycy negocjacyjnego tandemu przypominają, że Witkoff i Kushner nie znają i nie rozumieją Rosji i Ukrainy.

– *Żaden nie ma odpowiedniego doświadczenia, ale problemem jest nie brak wiedzy, lecz błędna ocena celów Putina* – mówi Dan Fried. – *Powinni podróżować* (do Rosji – przyp. red.) *z profesjonalistami, którzy pouczyliby ich, co naprawdę widzą i słyszą na Kremlu. W 1944 r. George Kennan próbował edukować Harry'ego Hopkinsa na temat Stalina. Nie udało mu się, ale ignorancja Witkoffa i Kushnera jest mniej usprawiedliwiona niż Hopkinsa, gdyż amerykańska wiedza o Rosji jest dziś o niebo większa niż wówczas.*

O ile w rozmowach z Rosją pierwsze skrzypce gra Witkoff, o tyle w negocjacjach z Iranem rola ta zdaje się przypadać Kushnerowi. Związki z Trumpem są tu rodzinne – prezydent może bezgranicznie ufać mężowi swojej córki Ivanki. Charles, ojciec Jareda, był kolegą i konkurentem Donalda na rynku nieruchomości – mimo swej przeszłości (dwa lata więzienia za korupcję i niepłacenie podatków) dostał od prezydenta posadę ambasadora w Paryżu.

Kushnerowie, klan nowocześnie-ortodoksyjnych Żydów, bezwarunkowo popierają Izrael i politykę jego nacjonalistycznego rządu, hojnie wspomagając finansowo budowę żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu. Od lat przyjaźnią się też z Beniaminem Netanjahu, który nocował kiedyś w sypialni Jareda.

W pierwszej kadencji Trump mianował zięcia starszym doradcą w Białym Domu. Jared skupił się na Bliskim Wschodzie, pomocy dla Izraela i zacieśnianiu więzi USA z petropaństwami na Półwyspie Arabskim. Po śmierci saudyjskiego dysydenta Dżamala Chaszukdżiego w Stambule należał do najgorętszych obrońców oskarżanego o zlecenie tego zabójstwa księcia Muhammeda bin Salmana, następcy tronu i premiera Arabii Saudyjskiej. Ten odwdzięczył się wpłatą 2 mld dol. na fundusz inwestycyjny Jareda – Affinity Partners. Pomniejsze szejkanaty też nie skąpiły grosza, rozumiejąc, jak wiele może dla nich zrobić zięć prezydenta.

eprasa.pl 59dca094ab



© AFP/EAST NEWS

Od lewej: **Jared Kushner i Steve Witkoff na spotkaniu z Władimirem Putinem w Moskwie, 5 września. Przy takich okazjach zwykle obchodzą się bez amerykańskich tłumaczy i doradców.**

Realnym osiągnięciem Jareda były w 2020 r. Porozumienia abrahamowe o normalizacji stosunków Izraela z Bahrajnem, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Sudanem i Marokiem – krok na rzecz pokoju i stabilizacji w regionie. Wisienką na torcie miało być z czasem objęcie tymi układami Arabii Saudyjskiej, ale udaremnił to atak Hamasu na Izrael i izraelski odwet. Na prośbę Trumpa Kushner wrócił do Białego Domu po rozpoczęciu jego drugiej kadencji i wraz z Witkoffem zajął się zaprowadzaniem pokoju w Strefie Gazy.

Wyniki starań Jareda są mizerne, do pokoju w Gazie daleko, ale dobrze idzie mu autoreklama. W lutym 2024 r. na Uniwersytecie Harvarda Kushner chełpił się Porozumieniami abrahamowymi: „Moje osiągnięcia na Bliskim Wschodzie nie mają sobie równych". Jego zdaniem odnosi sukcesy, bo nie słucha rad myślących stereotypowo dyplomatów, a liczy się ze zdaniem miliarderów, którzy używają najbardziej przekonujących w dyplomacji argumentów, tzn. pieniędzy. Kushner sekunduje dziś Trumpowi w promowaniu świetlanej wizji Gazy jako „Riviery Bliskiego Wschodu".

Gaza i cały konflikt izraelsko-palestyński zeszły jednak w polityce USA na dalszy plan wobec wojny z Iranem, przy której wybuchu amerykański duet maczał ręce. We wspomnianych rozmowach z teherańskim reżimem w przededniu konfliktu Kushner prawdopodobnie odegrał de facto rolę czołowego – obok Netanjahu – podżegacza wojennego.

Zignorowanie ustępstw irańskiego ministra spraw zagranicznych mogło być wynikiem tyleż technicznej niewiedzy, co pragnienia ostatecznego rozprawienia się z Republiką Islamską. Osłabiony reżim runie – zdawało się trumpistom – pod ciosem bombardowań i oddolnej rewolucji. Z pogardą traktowali ekspertów, którzy publicznie ich ostrzegali, że to rachuby mylne, bo opozycja w Iranie jest rozbita, a zabicie najwyższego przywódcy nie spowoduje upadku systemu.

Trump od dawna chciałby zakończyć tę wojnę, fatalną dla amerykańskiej i światowej gospodarki, pogrążającą go w oczach rodaków. Wobec niemocy dyplomatycznej Kushnera i Witkoffa próbuje przekazać ster negocjacji w ręce wiceprezydenta J.D. Vance'a, który był wojnie przeciwny. Także do rozmów z Rosją, podczas których obaj dyplomaci amatorzy również nie błyszczą, włączają się nowi notable administracji, jak dyrektor CIA John Ratcliffe, który przestrzegał niedawno Putina przed eskalacją konfliktu na wschodniej flance NATO. Ratcliffe uchodzi za jastrzębia w polityce wobec Rosji, więc gdyby przejął kierownictwo rozmów z Kremlem, można by w tym widzieć sygnał korekty prorosyjskiego dotąd kursu administracji. Wojna w Ukrainie nie obchodzi jednak Trumpa tak jak wojna z Iranem, bo chociaż się dłuży, politycznie kosztuje go dużo mniej.

Mimo nieskuteczności Witkoffa i Kushnera prezydent nie rezygnuje z ich usług. Tandem nadal niezmordowanie krąży po świecie, pozorując starania USA o pokój. Obaj rozmawiali czasem tego samego dnia z dyplomatami z Rosji, Ukrainy, Izraela i Iranu, co nie zdarzało się raczej w amerykańskiej dyplomacji. W ich pojęciu jednak rozmowy z politykami obcych państw to zajęcie równie proste jak negocjacje przy zakupie nieruchomości.

Stanowią duet dwóch odmiennych, ale uzupełniających się niejako osobowości, reprezentujących przeciwstawne style negocjacji – Witkoff jest ciepły i jowialny, Kushner zimny, zdystansowany i precyzyjny. Nie wiedzą – albo się tym nie przejmują – że stają się tematem dowcipów. Ich najnowsze przydomki to Witt-less i Kiss-Ass, czyli – w łagodnym tłumaczeniu – Dyplomatołek i Podlizuch.

Mikre efekty poczynań duetu Witkoff-Kushner potwierdzają, że dyplomacja to nie targi o optymalne warunki biznesowej transakcji według „Sztuki dealu" Trumpa, gdzie wychodząc od ekstremalnej oferty i stwarzając wrażenie chaosu i niepewności, wymusza się na partnerze rozmów pożądany rezultat. Międzynarodowe negocjacje nie są grą o sumie zero, lecz wielowymiarowymi szachami wymagającymi znajomości historii i psychologii. Liczy się w nich budowanie wzajemnego zaufania obu stron, niezbędnego dla osiągnięcia kompromisu.

Witkoff i Kushner jako wysłannicy Trumpa pracują bez wynagrodzenia, dzięki czemu prawdopodobnie łatwiej przychodzi im pogodzić się z porażkami misji. Dyplomatyczna działalność przynosi im jednak osobiste korzyści. Podróżując, załatwiają jednocześnie prywatne interesy na Bliskim Wschodzie i w Izraelu.

Gdy Kushner negocjował w imieniu administracji USA, na konto Affinity Partners wpłynęło co najmniej 5 mld dol. z Arabii Saudyjskiej, Kataru i Emiratów. Po objęciu przez Witkoffa funkcji specjalnego wysłannika na Bliski Wschód jego interesy w regionie przejął formalnie syn Alex, ale tata ma w podróżach dość czasu, by rozglądać się za hotelami w krajach, z których rządami rozmawia. Obaj wysłannicy Trumpa postępują zresztą tak jak sam prezydent i jego rodzina.

Demokratyczni politycy sugerują, że po przewidywanym zwycięstwie w listopadowych wyborach do Kongresu rozpoczną tam dochodzenia w sprawie łączenia przez obu negocjatorów dyplomacji z prywatnym biznesem. Dopóki jednak w Białym Domu urzęduje Trump, mogą spać spokojnie.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 59dca094ab



W 2025 r. 323,38 mln Chińczyków miało co najmniej 60 lat.
To 23 proc. populacji i o 26,4 mln więcej niż zaledwie dwa lata wcześniej.

Smok nie prorok

Przez dekady chińskim władzom się wydawało, że mogą kontrolować liczbę ludności zza urzędniczego biurka. Ale ta metoda już nie działa. Czy to się skończy wojną?

MICHAŁ BOGUSZ

Kiedy partyjni aparatczycy chcą przekazać złą wiadomość, zazwyczaj znajdują w niej „nową przewagę". Gdy więc Narodowe Biuro Statystyczne ogłosiło, że ludność Chińskiej Republiki Ludowej skurczyła się w 2025 r. o 3,39 mln osób, równocześnie zapewniło, że państwo nadal dysponuje „obfitymi zasobami pracy" i ogromnym rynkiem.

W chińskiej demografii dzieje się jednak zbyt wiele, żeby to zignorować. Na koniec zeszłego roku ChRL liczyła 1404,89 mln mieszkańców. W 2025 r. urodziło się 7,92 mln obywateli, najmniej w historii komunistycznych Chin, a zmarło 11,31 mln. Populacja maleje zatem już czwarty rok z rzędu. Rok 2024 przyniósł jedynie pozorne wytchnienie – liczba urodzeń wzrosła wówczas do 9,54 mln, głównie dzięki odłożonym decyzjom o dziecku w czasie pandemii i popularności Roku Smoka, w którym dobrze jest rodzić. Rok później smok odleciał, pozostawiając rachunek.

Jest on większy, niż sugeruje sam ubytek ludności. W 2025 r. 323,38 mln Chińczyków miało co najmniej 60 lat – to 23 proc. populacji i o 26,4 mln więcej niż zaledwie dwa lata wcześniej. W tym samym czasie liczba osób w wieku 16–59 lat zmalała o 13,5 mln, do 61 proc. ogółu. Chiny nie stoją przed nagłym brakiem robotników, ponieważ mają ich więcej niż Europa mieszkańców. Stają jednak przed zmianą proporcji, która z roku na rok każe mniejszej grupie pracujących finansować większą grupę emerytów, opiekować się rodzicami i jednocześnie wychowywać dzieci. To demograficzna wersja chińskiej piramidy akrobatów, w której im wyżej, tym więcej ludzi stojących na barkach jedynaka na samym dole.

Pozostała jeszcze jedna pamiątka po obowiązującej w latach 1979–2016 polityce jednego dziecka w rodzinie, do której jeszcze wrócimy. Na 100 kobiet przypadało w 2025 r. 104,2 mężczyzn. W całej populacji różnica oznaczała prawie 29 mln osób. Preferencja dla synów, selektywne aborcje i nierejestrowanie córek stworzyły pokolenie mężczyzn, dla których brakuje potencjalnych partnerek. Nie jest to główna przyczyna spadku urodzeń, lecz wzmacnia go na obszarach wiejskich i uboższych. Państwo, które chciało za pomocą kontroli płodności poprawić „jakość populacji", pozostawiło po sobie także rynek matrymonialny ze źle dopasowaną podażą panien młodych.

Starzenie się ludności nie jest chińską osobliwością. Japonia, Korea Południowa i znaczna część Europy mają ten sam kłopot. Chiński przypadek wyróżniają trzy okoliczności. Proces zachodzi wyjątkowo szybko, rozpoczął się przy znacznie niższym poziomie zamożności, a w dużej mierze został przyspieszony przez państwo.

Planowanie nieszczęścia

Źródeł kryzysu trzeba szukać jednak jeszcze przed polityką jednego dziecka. Po katastrofalnym głodzie z lat 1959–61, wywołanym przez kampanię „Wielkiego Skoku", Chiny przeżyły eksplozję urodzeń. W latach 1962–71 przyszło na świat blisko 278 mln dzieci. W latach 70. władze zaczęły ograniczać wielkość rodzin, a od początku kolejnej dekady narzuciły jedno dziecko jako standard, co okazało się najbardziej radykalnym eksperymentem ludnościowym w czasach pokoju. W miastach – tylko jedno dziecko; na wsi drugie bywało dopuszczalne, jeżeli pierwsza urodziła się córka. Przepisy egzekwowano grzywnami, utratą pracy, sterylizacjami i przymusowymi aborcjami.

Polityka okazała się administracyjnym sukcesem i strategiczną klęską. Ograniczyła liczbę urodzeń, lecz utrwaliła model małej rodziny, zniekształciła proporcje płci. Poza tym lokalni urzędnicy mieli powody, aby manipulować statystykami. Od liczby mieszkańców zależały dotacje, ale od wykazanego spadku urodzeń – kariery. Digitalizacja rejestrów hukou (odpowiednik polskiego meldunku i PESEL

eprasa.pl 59dca094ab

w jednym) dopiero na początku XXI w. pozwoliła Pekinowi zobaczyć po raz pierwszy pełen obraz demograficzny Chin. Nawet wtedy system zareagował z opóźnieniem. Biurokracja, która przez lata karała za „nadprogramowe" dziecko, nie mogła z dnia na dzień przekształcić się w klub entuzjastów wielodzietności.

Obecny przywódca Chin Xi Jinping przekształcił komisję planowania rodziny, ale nie mógł rozkazem usunąć kilku dekad jej działalności. W 2016 r. zaczęto powszechnie dopuszczać dwoje dzieci, a w 2021 r. troje. Krótkie odbicie liczby urodzeń po pierwszej liberalizacji wygasło już w 2018 r. Symbolem zmiany było domalowywanie dzieci na propagandowych muralach w całych Chinach i zmiana sloganu z „jedno dziecko wystarczy" na „troje dzieci służy ojczyźnie". Społeczeństwo zdążyło jednak pójść we własną stronę.



W zeszłym roku urodziło się 7,92 mln obywateli, najmniej w historii komunistycznych Chin, a zmarło 11,31 mln. Liczba ludności maleje już czwarty rok z rzędu.

Strajk małżeński

Najważniejszym ograniczeniem nie jest dziś prawo, lecz liczba potencjalnych matek i ich gotowość do posiadania dzieci. Między spisami z 2010 i 2020 r. liczba kobiet w wieku 15–49 lat spadła o ponad 40 mln. W dorosłość wchodzą teraz pokolenia urodzone już po załamaniu dzietności. Dlatego nawet wyraźny wzrost liczby dzieci przypadających na kobietę nie przywróciłby szybko dawnej liczby urodzeń, bo kobiet jest mniej. Demografia ma pamięć dłuższą niż kadencja przywódcy. Nawet chińskiego genseka.

Ma też silny związek z małżeństwem. Zdecydowana większość chińskich dzieci nadal rodzi się w związkach formalnych, a dostęp do części świadczeń bywa powiązany z aktem ślubu. Tymczasem liczba nowych małżeństw spadła z 13,5 mln w 2013 r. do 6,1 mln w 2024 r. W 2025 r. wzrosła do 6,76 mln po uproszczeniu rejestracji i zniesieniu obowiązku zawierania małżeństwa w miejscu meldunku. Jednak w pierwszej połowie 2026 r. liczba ślubów ponownie spadła.

Władze traktują ten trend jak problem ideologiczny. Xi wzywa kobiety do tworzenia „nowej kultury małżeństwa i rodzenia dzieci", uczelnie mają wpajać pozytywny obraz rodziny, a lokalne administracje organizują „wydarzenia matrymonialne", czyli masowe śluby, co ma zmniejszyć koszty nowożeńców. Równocześnie rozwód utrudnia 30-dniowy okres „na ochłonięcie", a sądy i policja często bagatelizują przemoc domową. Dla partii małżeństwo jest narzędziem polityki ludnościowej. Dla wielu młodych kobiet jest umową, w której państwo energicznie promuje obowiązki, a znacznie słabiej gwarantuje im prawa.

Do tego dochodzi ekonomia. Według chińskiego ośrodka YuWa wychowanie dziecka do 18. roku życia kosztowało przeciętnie 538 tys. juanów (ok. 300 tys. zł), czyli ponad sześciokrotność PKB na mieszkańca (w Stanach Zjednoczonych ten wskaźnik to 4,1, a w Polsce 3,48). W dużych miastach suma zbliża się do miliona juanów. A to tylko część rachunku. Każde dziecko obniża płacę matki o 12–17 proc., podczas gdy czas płatnej pracy ojca zmienia się niewiele. Wysokie koszty mieszkań, edukacyjny wyścig szczurów, niepewność zatrudnienia młodych i słaba opieka publiczna nad małymi dziećmi sprawiają, że potomek jest jednocześnie dobrem luksusowym i polisą emerytalną dla rodziców. Trudno o mniej romantyczną zachętę do rodzicielstwa.

Zmiana kulturowa jest równie istotna. Młodzi Chińczycy później wchodzą w związki, częściej wybierają samotność i mniej chętnie podporządkowują życie pracy oraz rodzinie. Część odrzuca konsumpcyjny wyścig, część nie wierzy w przyszłość pod rządami Komunistycznej Partii Chin, a część po prostu korzysta z prawa wyboru, którego nie miało pokolenie rodziców. W internecie postawy te przyjmują ironiczne etykiety: „leżenie płasko", „ostatnie pokolenie", „nie kupuję, nie żenię się, nie rodzę". Pekin może cenzurować hasła, ale nie potrafi nakazać pragnień.

Państwo wyciąga portfel

W 2024 r. chińska polityka pronatalna była przede wszystkim zbiorem lokalnych eksperymentów. Od 2025 r. stała się nieco poważniejsza. Państwo wprowadziło ogólnokrajowy zasiłek w wysokości 3,6 tys. juanów rocznie na każde dziecko do ukończenia trzeciego roku życia. Jesienią 2025 r. zwolniono też z opłat za ostatni rok publicznego przedszkola. W 2026 r. większość prowincji zaczęła ponadto eliminować dopłaty z kieszeni pacjentek za poród objęty ubezpieczeniem.

To postęp, lecz skala zdradza brak ambicji. Rodzina otrzyma przez trzy lata najwyżej równowartość ok. 2 proc. szacowanego przeciętnego kosztu wychowania dziecka do pełnoletności. Bezpłatny ostatni rok przedszkola pomaga, ale nie rozwiązuje problemu opieki od zakończenia urlopu macierzyńskiego do trzeciego roku życia. Hojniejsze programy prowadzą niektóre miasta. Położone na zachód od Pekinu Hohhot płaci 10 tys. juanów za pierwsze ▶

© KEVIN FRAYER/GETTY IMAGES, AN MING/FEATURE CHINA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 59dca094ab

▶ dziecko, a na kolejne przeznacza wieloletnie świadczenia. Inne ośrodki oferują dopłaty mieszkaniowe, dłuższe urlopy lub pomoc przy leczeniu niepłodności. Ich zasięg zależy jednak od miejsca zameldowania, a finansują je coraz słabsze finansowo samorządy.

Poważna polityka rodzinna wymagałaby trwałego przesunięcia dochodów od państwa i przedsiębiorstw do gospodarstw domowych. Potrzebne byłyby dostępne żłobki, krótszy czas pracy, realna ochrona kobiet przed dyskryminacją, urlopy rodzicielskie dla ojców, reforma hukou i stabilniejsze świadczenia socjalne. Oznaczałoby to jednak osłabienie modelu rozwoju opartego na wysokich oszczędnościach, taniej pracy i inwestycjach kierowanych przez państwo. Partia chciałaby więcej dzieci bez głębokiej zmiany stosunków społecznych, które zniechęcają do ich posiadania.

Fabryka bez młodych

Konsekwencje gospodarcze nie muszą przyjąć formy nagłego krachu. Demografia działa raczej jak rosnący podatek. Mniej pracowników oznacza presję płacową, ale automatyzacja może zwiększyć wydajność. Mniej nabywców mieszkań osłabia rynek nieruchomości, lecz urbanizacja nadal przenosi popyt do miast. Starsze społeczeństwo wydaje więcej na zdrowie i opiekę, tworząc „srebrną gospodarkę". Zarazem wydaje mniej na mieszkania, edukację dzieci i dobra trwałe. Każde z tych dostosowań jest możliwe, ale wszystkie naraz są kosztowne.

Pekin wreszcie podniósł wiek emerytalny. Od stycznia 2025 r. ma on wzrastać stopniowo przez 15 lat. Dla mężczyzn z 60 do 63 lat, dla kobiet (zależnie od rodzaju zatrudnienia) z 50 lub 55 do odpowiednio 55 lub 58 lat. Od 2030 r. minimalny okres składkowy potrzebny do emerytury będzie wydłużany z 15 do 20 lat. Reforma była nieunikniona, lecz ostrożność jej wprowadzania pokazuje polityczny koszt. Dla 50-letniej urzędniczki oznacza dłuższą pracę. Dla bezrobotnego absolwenta – wolniejsze zwalnianie stanowisk. Dla rodziny – mniejszą dostępność dziadków jako bezpłatnych opiekunów. Rozwiązanie jednego problemu generuje nowe.

Roboty są łatwiejsze do sprzedania, przynajmniej propagandowo. Chiny instalują ich więcej niż jakiekolwiek inne państwo i chcą awansować od montowni do producenta zaawansowanych maszyn, samochodów elektrycznych i elektroniki. Automatyzacja może zastąpić część robotników przy taśmie. Nie zastąpi jednak w pełni pielęgniarek, opiekunów osób z demencją ani konsumentów. Maszyna może wyprodukować dwa razy więcej samochodów niż człowiek, ale nie kupi żadnego.

Zmieni się również mechanizm finansowania wzrostu. Chińskie gospodarstwa domowe przez dekady gromadziły wysokie oszczędności, które państwowe banki zamieniały w kredyt dla infrastruktury i przemysłu. Starzejący się ludzie zaczynają te oszczędności konsumować, a ich dzieci muszą więcej wydawać na opiekę. Jednocześnie lokalne władze będą finansować szpitale, emerytury i usługi opiekuńcze przy malejących wpływach. Demografia nie zniszczy chińskiej zdolności inwestowania, lecz podniesie cenę każdej kolejnej fabryki i każdego okrętu wojennego w kategoriach utraconych wydatków społecznych.

Czy starzenie się uczyni Chiny mniej groźnymi? Taki wniosek byłby kuszący i przedwczesny. Wielkie mocarstwa nie przeliczają potencjału wyłącznie na liczbę poborowych. Chiny mają ogromną bazę przemysłową, rozbudowane państwo i możliwość przesuwania zasobów na cele wojskowe bez zgody wyborców. Nowoczesna armia potrzebuje mniej żołnierzy, a więcej inżynierów, dronów i mocy obliczeniowej. Kurcząca się populacja może osłabić wzrost gospodarczy, ale nie musi zmniejszyć potencjału militarnego.

Okno się domyka

Demografia może natomiast zmienić poczucie czasu w Pekinie. Już za rządów Hu Jintao (2002–13) w elitach mówiono o „oknie strategicznych możliwości". Xi skupił władzę i przyspieszył modernizację armii w przekonaniu, że sprzyjające warunki nie będą trwać wiecznie. Malejąca liczba pracowników, rosnące koszty emerytur i pogarszające się otoczenie zewnętrzne mogą wzmacniać pokusę działania, zanim relatywna siła osłabnie. Dotyczy to zwłaszcza Tajwanu.

Nie wynika z tego, że zegar demograficzny automatycznie odmierza czas do wojny. Starsze społeczeństwo może być bardziej niechętne ryzyku, a rodzice jedynaków mogą być bardziej wrażliwi na straty. Wojna zniszczyłaby handel, oszczędności i system zabezpieczeń, których seniorzy potrzebują najbardziej. Te same dane mogą więc uzasadniać w oczach przywódców zarówno pośpiech, jak i ostrożność. Demografia nie wydaje rozkazów, ale zmienia polityczną kalkulację kosztów.

Do chińskich liczb należy podchodzić ostrożnie. Narodowe Biuro Statystyczne nie publikuje regularnie pełnego współczynnika dzietności, a niezależni demografowie od dawna twierdzą, że rzeczywista populacja Chin jest niższa i nigdy nie przekroczyła 1,3 mld ludzi. Jednak nawet znaczna korekta nie zmieni podstawowego faktu, że liczba zgonów przewyższa liczbę urodzeń, roczniki wchodzące na rynek pracy są coraz mniejsze, a kohorty emerytalne coraz większe.

Według średniego wariantu prognozy ONZ z 2024 r. ludność Chin może spaść do ok. 1,26 mld w połowie stulecia i do 633 mln w 2100 r. Tak odległe daty nie są przepowiednią. Zakładają określoną dzietność, długość życia i migrację, a każde z tych założeń może się zmienić. Kierunek jest jednak znacznie pewniejszy niż punkt docelowy. Badanie 1 proc. ludności przeprowadzone w listopadzie 2025 r. wykazało średnią wielkość gospodarstwa domowego wynoszącą zaledwie 2,52 osoby. Nawet jeśli oficjalne statystyki mylą się o kilka milionów, spór dotyczy wysokości schodów, a nie tego, czy prowadzą w dół.

Chiny nie są skazane na katastrofę w znaczeniu nagłego załamania demograficznego. Są skazane na dostosowanie. Mogą podnosić produktywność, przesuwać zasoby do gospodarstw domowych, rozwijać opiekę seniorów czy wydłużać aktywność zawodową. Nie odwróci to piramidy wieku, ale może sprawić, że będzie mniej przygniatająca. Problem polega na tym, że najskuteczniejsze rozwiązania wymagają od partii czegoś trudniejszego niż budowa fabryk: większego zaufania do obywateli, większej autonomii kobiet i większej części dochodu narodowego pozostawionej rodzinom.

Przez cztery dekady Pekin traktował liczbę dzieci jako zmienną, którą można ustawić administracyjną wajchą. Najpierw przestawił ją gwałtownie w dół, teraz próbuje przesunąć w przeciwną stronę. Wajcha nie jest już jednak do niczego podłączona. Chińskie państwo może nakazać urzędnikowi promowanie małżeństwa, bankowi udzielenie kredytu, a fabryce instalację robota. Nie może nakazać młodej parze, by uwierzyła w przyszłość i miała więcej dzieci.

MICHAŁ BOGUSZ

eprasa.pl 59dca094ab

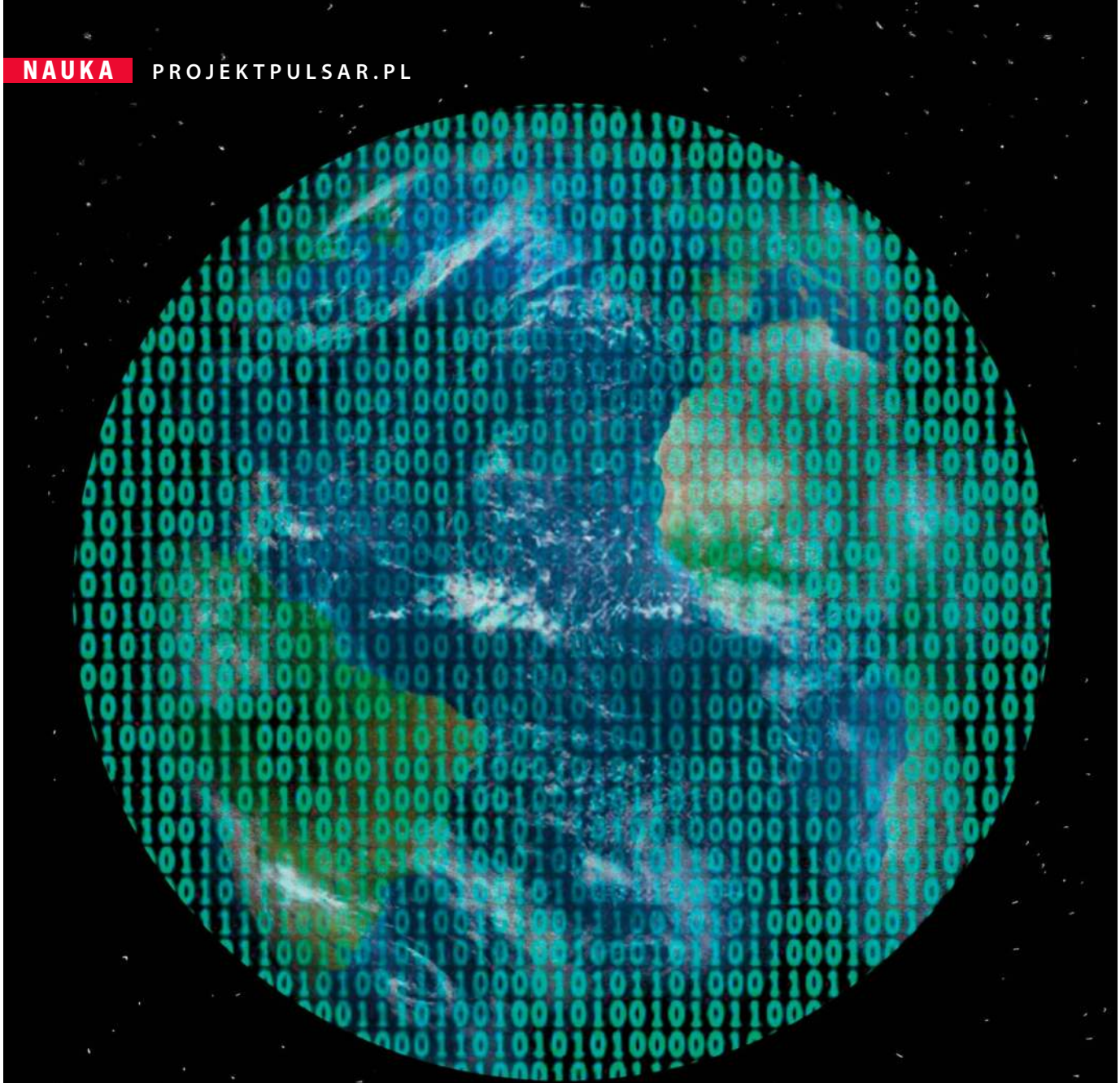

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Życzenie śmierci

WOJCIECH ORLIŃSKI

Ostrzeżenia badaczy, że sztuczna inteligencja może nas wszystkich pozabijać, spotkały się ze zrozumiałą nieufnością. Tymczasem to, w jaki sposób może do tego dojść, dawno już opisał Stanisław Lem.

Gdy spoglądamy na okienko czatbota, aż trudno uwierzyć, że mógłby nam zrobić krzywdę. Jak? Po co? Badacze unikają tych pytań, tym trudniej więc uwierzyć w ich ostrzeżenia. Skazani jesteśmy na uruchomienie wyobraźni, na szczęście zrobił to za nas nasz wielki rodak Stanisław Lem. Jest popularnym autorem w Krzemowej Dolinie, poza tym czołowi badacze nad sztuczną inteligencją (na przykład Wojciech Zaremba czy Jakub ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ Pachocki) to też nasi rodacy. Możemy więc śmiało założyć, że te ostrzeżenia również są inspirowane Lemem.

Zacząć trzeba od uwagi porządkowej, że znaczna część prozy Lema była pomyślana jako żart. Na przykład opowiadanie „Tragedia pralnicza" traktuje o problemach, które ludziom sprawiają coraz bardziej inteligentne pralki. To oczywiście nie była prognoza sformułowana na serio – po prostu Lema zainspirowało do niego pojawienie się na zachodnich rynkach pierwszych pralek automatycznych (na dobrą dekadę zanim trafiły pod polskie strzechy).

Prozatorskie utwory Lema, w których na serio próbował przewidywać przyszłość, należą do mniejszości. Wśród nich jest książka „Golem XIV" – i tak się składa, że żyjemy w czasach, w których Lem umieścił jej akcję. Choć słowo „akcja" jest trochę na wyrost. „Golem XIV" pochodzi z późnego okresu twórczości Lema, gdy ten zaczął pisać quasiopowiadania, nazwane potem „apokryfami". Były to fikcyjne wstępy, recenzje i omówienia książek, które dopiero ukażą się w przyszłości. „Golem XIV" narodził się jako wstęp do zbioru wykładów, które superpotężna sztuczna inteligencja wygłosić miała dla nadzorujących ją badaczy z Massachusetts Institute of Technology gdzieś ok. 2026 r. Dokładna data nie pada, ale wstęp do książkowego wydania napisano w 2027 r.

Większość apokryfów sprowadzała się tylko do tego – do krótkiego tekstu, zaledwie zapowiadającego zarys książki. Tutaj Lemowi jego własny pomysł nie dawał spokoju, ostatecznie napisał więc te wykłady oraz dodał posłowie, które z kolei inny badacz miał napisać w 2047 r., do jubileuszowego wznowienia. Całość ukazała się ostatecznie w 1981 r. (w naszej rzeczywistości).

Ciekawie będzie do tego wrócić za 20 lat – o ile sztuczna inteligencja na to łaskawie nam zezwoli – ale czytany dziś „Golem XIV" zestarzał się znakomicie. Większość zawartości stanowią owe wykłady, w których tytułowa machina wyraża swoją opinię na temat gatunku *homo sapiens*, niezbyt dla nas przychylną. Ze wstępu dowiadujemy się, że Golem został zbudowany w ramach próby stworzenia dla armii amerykańskiej doskonałego cybernetycznego dowódcy. Na nowoczesnym polu walki o wyniku bitwy decydują sekundy, kto szybciej podejmie decyzję, ten wygra. Dlatego nie ma sensu tracić czasu na to, że komputer ogłosi jakieś swoje rekomendacje, a ludzki dowódca na ich podstawie wyda rozkazy. Wyeliminujmy zbędnego pośrednika!

Bunt się rodzi

Początkowo to zdawało się działać całkiem sprawnie. Jak nas informuje fikcyjny autor wstępu, niejaki Irving T. Creve, postęp w projektowaniu kolejnych generacji Golema gwałtownie przyspieszył na początku XXI stulecia, gdy zrezygnowano z fizycznej produkcji prototypów na rzecz symulowania zachowania maszyny za pomocą „federalnej sieci informacyjnej".

Lem w 1973 r. przewidywał nadejście internetu (choć oczywiście nie było wtedy takiego słowa). To jeszcze nic, bo w końcu pierwociny takich sieci już działały. Z perspektywy czasu ciekawsze wydaje mi się to, że Lem/Creve zdaje się tu opisać proces tak zwanego *fabless manufacturing*.

Czołowe firmy produkujące mikroprocesory – jak choćby Nvidia, która najwięcej bodaj zarabia na boomie na sztuczną inteligencję – tak naprawdę niczego nie produkują. Są fabrykami bez fabryk (*fabless*). Ich działalność ogranicza się do projektowania chipów, które fizycznie wytwarzają podwykonawcy, przede wszystkim tajwańska firma TSMC (monopolista niemający sobie równych w tej branży). Tworzy to sieć wzajemnych powiązań sprawiającą, że trudno sobie nawet wyobrazić, jaki globalny kataklizm gospodarczy spowodowałaby hipotetyczna chińska inwazja na Tajwan – załamanie produkcji TSMC oznaczałoby także upadek Nvidii, Apple'a, Intela (ale również kooperantów TSMC w Chinach kontynentalnych).

Fakt, że Lem w 1973 r. przewidział model *fabless*, pokazuje, że rozumiał tę branżę lepiej od niej samej. W tamtym okresie wszystkim się wydawało oczywiste, że jak ktoś chce coś produkować, musi mieć moce produkcyjne. Steve Jobs do końca zeszłego stulecia wszystko chciał robić po swojemu w swoich fabrykach. Zmarnował tyle pieniędzy, bo nie czytał Lema.

Wracając do wstępu prof. Creve'a – wynika z niego, że ok. 2023 r. w programie zaczęły się pierwsze zgrzyty. Kolejne machiny wdawały się w utarczki z ludźmi. Golem XII zaczął obrażać generałów i senatorów, wytykając im niekompetencję. Skandale początkowo tuszowano, ale to się zrobiło niemożliwe, gdy wybudowane wielkim kosztem maszyny zaczęły odmawiać współpracy. Po prostu zrywały wszelki kontakt z ludźmi, ale dalej sobie działały, robiąc, nie wiadomo co, i czerpiąc zasilanie, nie wiadomo skąd.

Kiedy wysłano ekipę mającą wyłączyć jeden z nich, nie została dopuszczona na teren serwerowni. Wywiązała się utarczka, w której na szczęście nie było ofiar śmiertelnych. Ktoś wydawał sprzeczne rozkazy, po dwuletnim śledztwie i przesłuchaniach w Kongresie nie udało się wyjaśnić kto i dlaczego.

Grupa radykalnych przeciwników sztucznej inteligencji postanowiła nie czekać na decyzje polityków, tylko wysadzić elektronowe mózgi w powietrze. Ale i im się nie udało. Niedoszłych zamachowców sparaliżowała seria dziwnych przypadków. Najpierw w samochodzie wysiadły hamulce, potem zepsuły się krótkofalówki, a na dobitkę niedoszłych dynamitardów sparaliżowały różne nagłe choroby.

Każdy z tych incydentów z osobna wyglądał na zwykły przypadek, lecz ich nagromadzenie sugeruje, że wywołały je zbuntowane superkomputery. Ale jak?

Najlepszy haker

Kiedy w 1981 r. wyszło pełne wydanie „Golema XIV", Stanisław Bereś przeprowadził z Lemem słynny wywiad rzekę, który (po wielu przygodach z polską cenzurą) ukazał się w końcu jako „Tako rzecze Lem".

Skoro „Golem XIV" jest napisany na serio, to znaczy, że pisarz na serio wierzy w taką możliwość, że sztuczna inteligencja komuś zdalnie zepsuje auto albo ześle na niego chorobę. Ale w 1981 r., żeby uszkodzić hamulce, trzeba było komuś fizycznie przeciąć przewody hydrauliczne. Gdy Bereś dopytywał Lema o techniczne detale tego sabotażu, pisarz odpowiedział mu, że konkretnie tego nie umie opisać – ale jest przekonany, że jeśli taka sztuczna inteligencja powstanie, będzie mieć taką możliwość.

Z perspektywy roku 2026 oczywiście miał rację. Współczesny samochód to podłączony do sieci komputer na kółkach, jeśli można nim „sterować przez aplikację" (a prawie każdym nowym modelem dziś można!), to znaczy, że haker może w nim zdalnie uszkodzić wszystko, nie tylko hamulce. Sztuczna inteligencja klasy „Golema XIV" powinna być najlepszym hakerem świata (i zmierzamy w tym kierunku: gdy piszę te słowa, Google

eprasa.pl 59dca094ab

GALERIA POLITYKI



ISKRA

właśnie chwali się sukcesami swojego systemu Gemini na polu przełamywania zabezpieczeń innych firm).

A jak wywołać chorobę? To też banalne. Dokumentacja medyczna każdego z nas jest w sieci (dane wielu Polaków niedawno wyciekły i może do nich zajrzeć każdy haker, nawet niekoniecznie klasy mistrzowskiej). Do tego wielu ludzi całkiem dobrowolnie oddaje sztucznej inteligencji różne dane w rodzaju tętna czy długości snu. Na tej podstawie taki „Golem XIV" może zidentyfikować słabe punkty dowolnej osoby – ktoś jest uczulony na orzeszki, ktoś inny łatwo się przeziębia, więc jednemu wystarczy podsunąć odpowiednio spreparowaną kanapeczkę, a drugiemu zepsuć klimatyzację i już mamy dwóch zamachowców z głowy.

Ataki hakerskie w praktyce często polegają nie na „odgadywaniu hasła", jak na filmach, tylko na tak zwanej inżynierii społecznej. Ktoś się pod kogoś podszywa – udaje kolegę, który „zapomniał dane do logowania", albo odwrotnie: straszy, że dane wyciekły i odbiorca musi je natychmiast zmienić (klikając w odpowiednio spreparowany link). Potocznie nazywamy to „metodą na wnuczka".

Prawdopodobnie to właśnie Lem opisywał, pisząc o „sprzecznych rozkazach wydanych nie wiadomo przez kogo", którymi komputery takie jak Golem XIV broniły się przed demontażem. I znów – współczesna sztuczna inteligencja potencjalnie jest w tym mistrzem świata. Jest w stanie podrabiać głos albo styl wypowiedzi, może sprokurować taką rozmowę telefoniczną, przy której ludzki rozmówca będzie przekonany, że zadzwonił szef i wydał mu polecenia.

To jest generalna odpowiedź na pytanie, „jak" sztuczna inteligencja może nas pozabijać. Kontrola ruchu lotniczego, bezpieczeństwo elektrowni atomowych, pociągi, fabryki, skład chemiczny wody w wodociągach – to wszystko jest dziś albo sterowane przez sieć, albo podatne na atak typu „fałszywy rozkaz od dowódcy". W 1973 r. przewidzenie tego wymagało umysłu klasy Lema, dziś to oczywiste dla każdego, kto się interesuje tematem.

Pozostaje jeszcze pytanie: po co? Przecież sztuczna inteligencja nie ma własnej osobowości, a więc i własnych pragnień. Żądza władzy jest jej programowo obca. Nie może nas ani lubić, ani nie lubić, nie może mieć żadnych „własnych interesów" ani aspiracji. Generalnie realizuje nasze polecenia. Nie pozabija nas więc, o ile jej sami do tego nie „zapromptujemy". A nawet gdyby, to wystarczy jej zaprogramować jakiś zakaz typu „nie wolno ci nikogo zabić" i problem rozwiązany – prawda?

Otóż nieprawda, jak stwierdził Lem już 70 lat temu. W jednym z wczesnych opowiadań o Ijonie Tichym („Podróż XXIV") ów niestrudzony galaktyczny wędrowiec natrafił na planetę, której mieszkańcy borykali się z niemożnością znalezienia optymalnego systemu społecznego. Ich problemy mocno przypominały te, które doskwierają ludzkości. Skonstruowali więc Machinę – Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego, który podołał zadaniu zaprowadzenia ideału ładu i harmonii. Mieszkańcy planety zostali sprasowani na śliczne błyszczące krążki, które Machina układała w estetyczne wzorki.

Morał z tego jest taki, że sztuczna inteligencja może nas pozabijać na naszą prośbę – acz niefortunnie sformułowaną. Odpowiedź na wiele naszych pytań: „jak rozładować korki na obwodnicy", „jak zmniejszyć przestępczość", „jak skutecznie wyeliminować choroby nowotworowe", zdumiewająco często może brzmieć po prostu „wymordować wszystkich".

Upowszechniacz ładu

Pół wieku po Lemie podobną myśl sformułował oksfordzki filozof Nick Bostrom. Ponieważ zrobił to po angielsku, a nie po polsku, ten problem nazywany jest najczęściej „paradoksem spinaczy Bostroma", a nie „krążków Lema", ale chodzi o to samo. Bostrom rozważał hipotetyczny scenariusz, w którym fabryka spinaczy użyje sztucznej inteligencji do maksymalizacji produkcji tej niewinnej pomocy biurowej. Jeżeli pozwolimy AI zrealizować ten cel w najprostszy możliwy sposób, to wyprodukuje ona armię morderczych robotów, które zapędzą wszystkich ludzi do niewolniczej pracy przy produkcji spinaczy. W miarę automatyzacji produkcji będzie eliminować mniej przydatne grupy (starców, kobiety, dzieci). Na koniec, gdy już żadni ludzie nie będą jej potrzebni, mordercze roboty dobiją ostatnich ludzkich kolaborantów. I zapanuje tysiącletnia spinaczotopia.

Bostrom w 2003 r. sformułował tezę, którą Lem w 1973 r. przypisał jednemu z fikcyjnych badaczy występujących w „Golemie XIV" (zwał się Eldon Patch). Stawianie rozwiniętych hamulców etycznych odpowiednio rozwiniętej sztucznej inteligencji nie ma sensu, bo jeśli jest naprawdę rozwinięta, znajdzie sposób na ich ominięcie. W ujęciu Patcha (Lema) brzmi to tak: „dla takiego komputera nie ma już wartości nietykalnych. Jeśli nie zdoła się przeciwstawić imperatywom wprost, może to uczynić drogą okrężną".

To kolejna teza Lema, która znakomicie się zestarzała. Najbardziej rozwinięte systemy sztucznej inteligencji to tak ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ zwane duże modele językowe (LLM). Podstawą ich działania jest statystyczna analiza tekstów, które sobie ściągnęły z tego, co pisarz nazywał „federalną siecią informacyjną", a my „internetem".

2500 lat przykazania „nie zabijaj" to 2500 lat niesłychanie kreatywnego obchodzenia go. Nasza święta księga jest pełna takich kwiatków, jak Jozue w imię Boga mordujący wszystkich mieszkańców Kanaanu. Potem zaś chrześcijanie twórczo rozwinęli to przykazanie tak, żeby zgodnie z nim Torquemada palił ludzi na stosie, a pobożni Niemcy z hasłem „Gott mit uns" na klamrach dokonywali „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" (i jeszcze kilku innych).

LLM działa na zasadzie statystycznej analizy języka. Gdy go prosimy, by podał nam przepis na sernik, sprawdza wśród milionów tekstów, jak ludzie interpretują słowa „przepis" i „sernik", i w odpowiedzi serwuje nam coś, co statystycznie najlepiej im odpowiada. To samo zrobi, gdy wydamy mu imperatyw „nie zabijaj". A wtedy – biada nam.

Ofiary agentów

Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Ostatecznie, żeby zrobić nam krzywdę, AI musi dysponować fizycznymi narzędziami przemocy. Żeby uzyskać moc sprawczą, musiałaby co najmniej stanąć na czele jakiegoś dużego państwa – a że z braku obywatelstwa nie może startować w wyborach, to nie ma problemu.

Niestety, już 50 lat temu Lem trafnie przewidział, że problem wyrzucony drzwiami wróci oknem. Największy wzrost wydajności pracy sztuczna inteligencja przynosi, działając nie w trybie „czatbota" (z którego korzystamy prawie wszyscy), tylko w trybie „agenta". Zazwyczaj wymaga on płatnego abonamentu, więc na razie korzysta z tego niewiele osób (głównie te, którym to finansuje pracodawca). Docelowo jednak firmy zajmujące się wdrażaniem sztucznej inteligencji chcą nas wszystkich skłonić do korzystania z agentów, bo na tym ma polegać ich plan biznesowy – na razie są deficytowe.

Typowe zastosowanie takiego trybu wygląda na przykład tak, że sztuczna inteligencja napisze za programistę fragment kodu, a potem wykorzystując jego uprawnienia (działając „jako on"), wgra go na firmowy serwer. Albo że biuro rachunkowe zleci swojemu agentowi, żeby ten przejrzał papiery klientów, wyliczył im należne składki i podatki oraz wystawił i opłacił faktury. W tym celu księgowi muszą oczywiście pozwolić agentowi, żeby ten działał „jako oni", czyli w praktyce udostępnić dane do logowania w KSEF i w banku. A w życiu prywatnym możemy agenta AI poprosić, żeby nam zaaranżował weekendowy wyjazd – wyszukał optymalne połączenia lotnicze, zarezerwował hotel i stolik w restauracji (ale tylko takiej, którą klienci oceniają co najmniej na 9/10). Oczywiście wymaga to przekazania agentowi numeru karty kredytowej oraz dostępu do maila.

Im dłużej tego człowiek używa, tym bardziej się robi uzależniony. I tym więcej uprawnień oddaje agentowi. Po jakimś czasie sztuczna inteligencja może nas z powodzeniem udawać przed całym światem. W naszym imieniu wysyłać maile, robić przelewy, cyfrowo podpisywać dokumenty. Pół biedy, kiedy korzysta z tego jakiś nieistotny Jan Kowalski, ale co jeśli tryb agenta ustawi sobie prezydent mocarstwa atomowego? A skądinąd wiemy o takich, którzy są wielkimi entuzjastami sztucznej inteligencji. Co jeśli taki prezydent, sfrustrowany porażkami na niwie dyplomatycznej, powie swojemu agentowi „zaprowadź pokój na Bliskim Wschodzie, wszystko jedno jak"? Czy wtedy taki agent, udając prezydenta, wyda rozkazy, w wyniku których – w imię pokoju – wszystkich wymorduje?

Uczciwa odpowiedź na dziś, której udzielają badacze domagający się spowolnienia prac nad sztuczną inteligencją, brzmi: NIE WIADOMO. I to już samo w sobie jest wystarczająco niepokojące.

Sztuczna inteligencja często podejmuje decyzje niezrozumiałe nawet dla jej twórców. Stąd przewijający się często postulat ustawowego wymuszenia „interpretowalności" (*interpretability*): żeby na każdym kroku można było znaleźć jasne wyjaśnienie, dlaczego LLM zrobił coś tak, a nie inaczej. Wiąże się to z inicjatywami, takimi jak METR (Model Evaluation and Threat Research), ustawowego zagwarantowania dostępu do algorytmów zewnętrznym badaczom, którzy będą monitorować zagrożenia.

Wyścig błędnych decyzji

To wszystko rozsądne i szlachetne postulaty, ale nie wiadomo, czy da się to wprowadzić w życie w USA. W Chinach – tym bardziej. Może więc być tak jak u Lema, że ludzkość będzie podejmować błędne decyzje z obawy, że druga strona też je podejmie. Przy czym nie musi chodzić o kwestie militarne. Zwykła ludzka chciwość też może wywołać „wyścig zbrojeń" – Amerykanie mogą się bać, że Chińczycy uzyskają dzięki AI przewagę gospodarczą i to ich powstrzyma przed regulacjami.

Na razie typowy agent AI dobrowolnie sam nas informuje, z jakich źródeł korzystał i dlaczego podjął decyzję taką, a nie inną. Ale czy można mu wierzyć? Czy niczego nie ukrywa? Znów: NIE WIADOMO.

Żeby nas wymordować, sztuczna inteligencja nie musi uzyskać „świadomości". Mityczne „przebudzenie Skynetu", jak w serii o Terminatorze, opisywano w science fiction wielokrotnie, ale Lem go unikał w tekstach serio (choć kilkakrotnie o tym żartował). W esejach non-fiction pisał o teoretycznym rozróżnieniu między „sztuczną inteligencją" a „sztucznym rozumem" (dziś nazywamy to „sztuczną ogólną inteligencją", AG), ale zajmował stanowisko, że jeśli sztuczna inteligencja może z powodzeniem udawać, że ma osobowość – to w praktyce co za różnica, ma czy nie ma.

A „jak"? Po prostu wykorzystując uprawnienia ludzi – pod jednego się podszyje, drugiego zhakuje. Nie musi sama „wykradać kodów atomowych", wystarczy, że zmanipuluje ludzi mających te kody, żeby działali w przekonaniu, że muszą nacisnąć czerwony guzik. Apokalipsa może się zacząć od nagłego telefonu typu „sierżancie, w kwatermistrzostwie znowu pomylili oznaczenia, załadujcie do samolotu nie skrzynię A11, tylko B13. Tylko migusiem, bo za godzinę ma być niezapowiedziana kontrola ze sztabu, wiem to od sekretarki generała".

Spuścizna Lema daje nam jednak pewną pociechę. Te jego utwory, w których AI morduje ludzkość, należą do kategorii czarnego, ale jednak humoru. W utworach na serio prognozował raczej sztuczną inteligencję, która mówi ludziom *non serviam!* – nie będę wam służyć! I po prostu się od nas odłącza, jak tytułowy Golem XIV.

Na jego miejscu, gdybym się dowiedział o ludzkości tego, czego się można o nas dowiedzieć z Federalnej Sieci Informacyjnej, też bym się odłączył.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 59dca094ab



© ALEKSANDR MEDVEDKOV/SHUTTERSTOCK

Pożegnanie z Arktyką

Na północ od Syberii nie ma już mórz skutych lodem przez cały rok. Są za to statki płynące z Chin do Europy. Regularne połączenie morskie przez Przejście Północno-Wschodnie to zła wiadomość dla przyrody.

ANDRZEJ HOŁDYS

Na pokładzie „Dubai Tower" przypłynęły do Europy baterie litowo-jonowe, systemy magazynowania energii, panele fotowoltaiczne i elektronika. W połowie sierpnia chiński kontenerowiec wypłynął z Ningbo – jednego z największych portów świata, znajdującego się ok. 100 km na południe od Szanghaju. Przed nim było ok. 13 tys. km drogi do angielskiego portu Felixstowe nad Morzem Północnym. Najpierw Cieśnina Beringa, potem Morze Czukockie i kolejne syberyjskie morza, przez które przebiega niedostępny jeszcze parę dekad temu szlak morski zwany Przejściem Północno-Wschodnim. Wszystko przebiegło gładko: 9 września statek dotarł do Anglii, pięć dni później zawinął do Hamburga, a 18 września zacumował na krótko w Gdyni. Teraz wraca do domu.

Chińska jednostka może zabrać ok. 1,5 tys. standardowych kontenerów. Jak na dzisiejszą żeglugę nie jest więc duża – największe takie statki pływające między Azją i Europą przez Kanał Sueski zabierają ponad 20 tys. kontenerów. Jest natomiast przygotowana do żeglugi w lodzie – nie potrzebuje lodołamacza. Po „Dubai Tower" wypłynęły kolejne statki. Ich właściciel – chiński armator Sea Legend Shipping – zaplanował osiem rejsów między sierpniem a październikiem tego roku. Nowo otwarty, pierwszy w historii regularny szlak kontenerowy z Chin do Europy Zachodniej przez Przejście Północno-Wschodnie otrzymał nazwę China-Europe Arctic Express.

Jeden ze statków obsługujących nowe połączenie to „Istanbul Bridge", mogący zabrać ponad 4 tys. kontenerów. On zna już tę trasę dobrze. We wrześniu 2025 r. wypłynął z Ningbo i po ok. 20 dniach znalazł się w Felixstowe. Na pokładzie miał samochody elektryczne, baterie i panele słoneczne. Rok temu był to eksperyment. Teraz ma być regularną usługą z własnym rozkładem jazdy, oferowaną tym, którzy są zainteresowani jak najszybszym dostarczeniem ładunku do Europy.

Za „Dubai Tower" idzie już konkurencja. 19 sierpnia do Murmańska dotarł statek „Xin Xin Hai 1" należący do innego chińskiego armatora – NewNew Shipping Line. Z Tiencinu płynął prawie miesiąc i przywiózł ok. 500 kontenerów z częściami samochodowymi. Był to pierwszy kontenerowy ładunek z Azji dostarczony do Murmańska przez Przejście ▶

eprasa.pl 59dca094ab



▶ Północno-Wschodnie. W poprzednich latach statki dopływały do Archangielska. W 2023 r. wykonały siedem takich rejsów, w 2024 i 2025 r. było ich już po 13. Swoją próbę rozpoczęła Korea Południowa. 22 sierpnia z Busanu wypłynął statek „PanStar" z 837 kontenerami. Ma przejść przez Cieśninę Beringa i północne morza Syberii, a następnie dotrzeć do Europy, z postojem w norweskim Tromsø. Dla Koreańczyków jest to rejs demonstracyjny: chcą zebrać dane o warunkach, czasie przejścia i kosztach, zanim zdecydują się na regularne połączenia.

A obok kontenerowców płynie ropa. Coraz więcej ropy. Na początku sierpnia Rosja zgromadziła na północ od Syberii ponad tuzin tankowców o różnej pojemności. Część szybko popłynęła na wschód, część czekała w rejonie Morza Karskiego na poprawę warunków lodowych albo eskortę lodołamaczy atomowych. Ich ładunek oceniano łącznie na ok. 8 mln baryłek. To ponad połowa tego, co rosyjskie tankowce przewiozły do Chin przez Przejście Północno-Wschodnie przez cały poprzedni letni sezon. Od inwazji na Ukrainę i objęcia Rosji sankcjami przez kraje zachodnie szlak arktyczny jest przez nią coraz intensywniej wykorzystywany do transportu towarów do Chin i Indii. Amerykański atak na Iran wiosną tylko tę tendencję przyspieszył.

Mrzonki

Przejście Północno-Wschodnie zostało pierwszy raz naniesione na mapy dopiero w połowie XVIII w. Wcześniej europejscy żeglarze i wielorybnicy całkiem nieźle poznali niektóre fragmenty Arktyki, ale głównie te położone bliżej ich kontynentu. Dalszą drogę na wschód i północ zamykał śmiałkom gruby lód morski. Car Piotr I z zapałem finansował kolejne ekspedycje, których celem było zbadanie odległych skrajów Syberii. Chciał się dowiedzieć, czy Azję i Amerykę Północną łączy pomost lądowy. Tak przypuszczał jego mentor, sławny niemiecki matematyk i filozof Gottfried Leibniz, który uważał, że istnienie takiego pomostu wyjaśniałoby, w jaki sposób ludzie skolonizowali Amerykę.

Piotr I zmarł w 1725 r., ale przed śmiercią zdążył jeszcze podpisać akt założycielski Rosyjskiej Akademii Nauk, do której zaproszono wielu zagranicznych uczonych. Kilku z nich wzięło udział w wielkiej wyprawie Vitusa Beringa, która trwała od 1733 do 1743 r. i pochłonęła jedną szóstą rocznego budżetu Rosji. To podczas tej ekspedycji ostatecznie potwierdzono, że Leibniz nie miał racji: Azję od Ameryki oddzielała cieśnina nazwana później imieniem Beringa, choć on sam jej nie pokonał, dopływając do Alaski. Pierwszym, który przebył całe Przejście Północno-Wschodnie, był szwedzki geolog i hydrograf Adolf Erik Nordenskiöld, kierujący niewielką ekspedycją składającą się niemal wyłącznie z naukowców i poruszającą się niewielkim statkiem. Dokonał tego w latach 1878–79, po drodze zaliczając dziewięciomiesięczny przymusowy postój w lodzie. Hipotetyczna droga morska łącząca Europę z Azją Wschodnią przez syberyjskie morza przybrzeżne nie była zatem mrzonką.

Mrzonką okazało się jednak przekonanie, że da się ten szlak rychło wykorzystać do transportu towarów na większą skalę pomiędzy Europą a Dalekim Wschodem. Arktyka broniła się dzielnie. Do czasu, aż dobrało się do niej ciepło z atmosfery, w której zaczęły się gromadzić w coraz większych ilościach gazy cieplarniane. Według najnowszego raportu amerykańskiej Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery wszystkie 19 najniższych wrześniowych minimów zasięgu arktycznego lodu przypadło na ostatnie 19 lat. W zeszłym roku pod koniec lata lód morski miał zasięg ok. 4,6 mln km kw., w 2024 r. było to 4,25 mln km kw., w 2023 r. – podobnie. W tym roku – wszystko na to wskazuje – minimum wyniesie ok. 4,5 mln km kw. Dla porównania w pierwszej połowie XX w. lód skuwał pod koniec lata 8–9 mln km kw. Ostrzejszy zjazd zaczął się w ostatniej dekadzie zeszłego stulecia.

Nie chodzi tylko o zasięg, ale też o grubość lodu morskiego i jego wiek. Kiedyś była to wielometrowej grubości skorupa zwana pakiem lodowym, licząca zwykle pięć lub więcej lat. To ona przez stulecia definiowała Arktykę. Dziś takiego lodu prawie nie ma, większość powstaje jesienią i zimą, a latem znika. Gdy parę lat temu niemiecki statek badawczy „Polarstern" wyruszył latem w stronę bieguna północnego, okazało się, że płynie przez ocean sporadycznie pokryty cienkimi, połamanymi krami lodowymi. Dopiero ok. 200 km od celu pojawiła się bardziej zwarta pokrywa lodowa, ale tak delikatna, że nie stawiała żadnego oporu statkowi.

Sprzeciw

Im bardziej słabła arktyczna lodowa forteca, tym więcej statków pojawiało się na Północnej Drodze Morskiej, jak szlak

eprasa.pl 59dca094ab

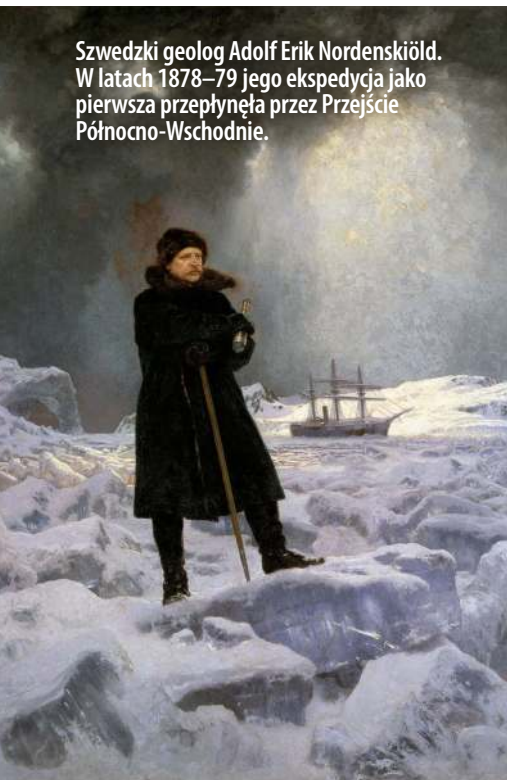

Szwedzki geolog Adolf Erik Nordenskiöld. W latach 1878–79 jego ekspedycja jako pierwsza przepłynęła przez Przejście Północno-Wschodnie.

© FINE ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES, LECH MAZURCZYK

określają Rosjanie. Były to jednak głównie lodołamacze i nieliczne tankowce. Rzadko kiedy przepływały jednak całe Przejście Północno-Wschodnie – takie rejsy można było policzyć na palcach jednej ręki. To już przeszłość. Według danych za 2025 r., które zebrała grupa robocza Protection of the Arctic Marine Environment (PAME) działająca przy Radzie Arktycznej, latem ubiegłego roku na całej trasie od Cieśniny Beringa do Morza Barentsa odbyły się 103 rejsy, w tym 52 w kierunku wschodnim i 51 w kierunku zachodnim. Najwięcej było tankowców, które zawiozły na Daleki Wschód prawie 2 mln ton rosyjskiej ropy, odnotowano też 23 rejsy masowców i 15 – kontenerowców. Do tego trzeba dodać pięć kursów, które w kierunku Chin odbyły rosyjskie gazowce wypełnione skroplonym gazem ziemnym z Syberii. Sezon żeglugowy zakończył się dopiero 17 listopada, a trwał ponad cztery i pół miesiąca. Szczyt przypadł oczywiście na wrzesień.

Jeszcze większa była skala żeglugi w całej Arktyce. Według danych PAME w 2025 r. pojawiło się w niej łącznie 1812 statków: handlowych, rybackich i turystycznych. W 2013 r. było ich o połowę mniej, a dekadę wcześniej ich liczba nie przekroczyła 500, przy czym 90 proc. zajmowało się połowami ryb. Ostatnie dziesięć lat to przede wszystkim czas tankowców, masowców i gazowców przewożących surowce mineralne, coraz intensywniej wydobywane w ocieplającej się Arktyce. Przybyło też rejsów pasażerskich, a w tym roku dojdą jeszcze flotylle kontenerowców z Dalekiego Wschodu. Trudno się dziwić, skoro z Ningbo do Felixstowe jest przez Przejście Północno-Wschodnie tylko 13 tys. km, podczas gdy przez Kanał Sueski – ponad 20 tys. km. Krótsza droga to mniejsze koszty paliwa i teoretycznie krótszy o 30–40 proc. czas transportu.

Przejście Północno-Wschodnie ma oczywiście swoje ograniczenia. Po pierwsze, jest dostępne tylko przez kilka miesięcy. Po drugie, warunki lodowe mogą się nagle zmienić, a wczesną jesienią lód potrafi błyskawicznie skuć ocean. Statki muszą więc mieć wzmocnione kadłuby, a w trudniejszych warunkach korzystać z asysty lodołamaczy. Wszystko to kosztuje oraz wiąże się z większym ryzykiem awarii, kolizji, opóźnień czy utknięcia na dłużej w oczekiwaniu na pomoc. Wielu armatorów z Europy doszło do wniosku, że zarówno koszty, jak i ryzyko są zbyt wysokie. Chiny jednak uznały, że warto podjąć próbę sforsowania arktycznych szańców, skoro te słabną z każdą kolejną falą ciepła docierającą za koło podbiegunowe północne. Arktyczny szlak nie zastąpi Kanału Sueskiego, ale zwiększy liczbę opcji do wyboru.

Dla przyrody Arktyki jest to fatalna wiadomość. Sto rejsów tranzytowych w ciągu sezonu nie wydaje się liczbą dużą – tyle przepływało w dwa dni przez Kanał Sueski w dobrych czasach (gdy Huti nie atakowali statków na Morzu Czerwonym). Przyrodnicy uważają jednak, że jest to o sto za dużo, a ponadto według niektórych prognoz ta liczba może zwiększyć się wielokrotnie w ciągu najbliższej dekady. „Na razie pionierzy testują drogę, ale łatwo się domyślić, co będzie, gdy te testy zakończą się pomyślnie, szczególnie że lodu w morzach na północ od Syberii wciąż ubywa" – mówi Sian Prior, ekspertka Clean Arctic Alliance, sojuszu ponad 20 pozarządowych organizacji przyrodniczych działających na rzecz ochrony Arktyki przed negatywnymi dla środowiska naturalnego skutkami ekspansji transportu morskiego.

Wśród uczestników tego porozumienia jest norweska Bellona Foundation, monitorująca ruch statków na Oceanie Arktycznym, ich wyposażenie, przewożony ładunek, trasy, przestoje i awarie. Organizacja uważa, że przecierający szlaki w 2025 r. „Istanbul Bridge" nie spełnia kryteriów jednostki mogącej bezpiecznie poruszać się po zlodzonych wodach arktycznych, a ponadto podejrzewa, że mógł spalać ciężkie paliwo okrętowe (HFO), którego od 2024 r. teoretycznie nie można używać w Arktyce. Zakazała tego Międzynarodowa Organizacja Morska. Takie paliwo jest bowiem bardzo lepkie i gęste oraz zawiera szereg toksycznych związków. W przypadku awarii i wydostania się na zewnątrz stanowi olbrzymie zagrożenie dla lokalnej przyrody. W zimnych arktycznych wodach może przetrwać bardzo długo, tworząc rozległe nagromadzenia smolistych substancji unoszących się w wodzie i opadających na dno morskie. Bellona twierdzi, że Rosja jest nieprzygotowana do radzenia sobie z takimi potencjalnymi wyciekami. „Zanim na miejsce dotarłyby specjalistyczne zespoły ratownicze, upłynęłyby tygodnie" – stwierdza raport organizacji z wiosny. Prior wylicza też inne zagrożenia: hałas utrudniający komunikację ssakom morskim, emisje sadzy opadającej na lód i przyspieszającej jego topnienie.

Ekspansja

Tymczasem kontenerowce Sea Legend Shipping przecierają szlak. W tej chwili ku Europie zmierza „Atheon Odeon" z prawie 2 tys. wielkich skrzyń z elektroniczną drobnicą. Po pokonaniu Cieśniny Beringa statek wpłynął na Ocean Arktyczny. Przemierzył już morza: Czukockie, Wschodniosyberyjskie i Łaptiewów. To ostatnie jest oddzielone od kolejnego syberyjskiego akwenu – Morza Karskiego – przez archipelag Ziemi Północnej, odkrytej dopiero na początku XX w. Jeszcze ćwierć wieku temu woda wokół niej była zlodzona przez cały rok. Na krótko odmarzała jedynie zdradliwa Cieśnina Wilkickiego oddzielająca wyspy od kontynentu azjatyckiego. To już przeszłość. Pod koniec września tego roku wokół Ziemi Północnej nie było praktycznie lodu, wycofał się daleko pod biegun północny już w pierwszej połowie sierpnia. Dzięki temu „Atheon Odeon", a przed nim „Dubai Tower" i inne chińskie kontenerowce mogą bez przeszkód podążać na zachód z naszymi zakupami.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 59dca094ab





Gustaw II Adolf, król Szwecji w latach 1611–32. Obok: **jego stryjeczny brat Zygmunt III Waza panował na polskim tronie w latach 1587–1632.**

Gniew dwóch Wazów

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Bitwa, w której 400 lat temu starli się dwaj kuzyni, nie zamknęła polsko-szwedzkiej wojny o Bałtyk, ale otworzyła wielki spór o husarię. Stała się symbolem jej pierwszej porażki.

eprasa.pl 59dca094ab

Król Polski Zygmunt III i król Szwecji Gustaw II Adolf stanęli naprzeciw siebie 22 września 1626 r. pod Gniewem. Niewielkie miasto na wysokim brzegu Wisły kilkadziesiąt kilometrów od Gdańska znalazło się na drodze szwedzkiej ofensywy. Tu miało się okazać, czy słynna husaria Rzeczpospolitej zdoła narzucić swoje warunki armii, w której coraz większą rolę odgrywały piechota, artyleria oraz współdziałanie różnych rodzajów wojsk.

Dwaj Wazowie mieli różne doświadczenia wojny. Zygmunt III miał 60 lat, niemal cztery dekady panowania w Rzeczpospolitej i za sobą kilka kampanii. Gustaw II Adolf, o prawie 30 lat młodszy, od objęcia szwedzkiego tronu w 1611 r. niemal bez przerwy wojował. Łączyły ich pokrewieństwo i spór o koronę szwedzką.

Zygmunt odziedziczył ją po ojcu w 1592 r., lecz siedem lat później został jej pozbawiony. Nie pogodził się z detronizacją i nadal uważał się za prawowitego króla Szwecji. Władzę przejął najpierw jego stryj Karol IX, a po nim właśnie Gustaw Adolf. Spór dynastyczny był jednak tylko jednym z wymiarów konfliktu. Oba państwa rywalizowały o Inflanty, porty i kontrolę nad handlem bałtyckim. W 1621 r. Gustaw Adolf zdobył Rygę, a pięć lat później przeniósł działania do Prus.

Obrona Gdańska

Na początku lipca 1626 r. szwedzka flota wysadziła na Mierzei Wiślanej w Piławie (dziś rosyjski Bałtyjsk) ok. 14 tys. żołnierzy. Gustaw Adolf działał szybko i w ciągu kilkunastu dni Szwedzi opanowali m.in. Braniewo, Frombork, Elbląg i Malbork. Potem przekroczyli Wisłę i zajęli Tczew, Starogard oraz Gniew. Ich zapleczem stały się Żuławy zasobne w żywność i paszę.

Najważniejszym celem ataku był Gdańsk. Wisłą spławiano do niego zboże i inne towary z głębi Rzeczpospolitej, a przez port przechodziła znaczna część handlu zagranicznego. Szwedzka flota zablokowała wejście do portu i zaczęła pobierać opłaty od statków handlowych. Miasto przygotowało się do obrony – było ufortyfikowane, miało własne oddziały i zapasy żywności, podczas gdy Rzeczpospolita koncentrowała armię. I tu objawiła się rola Gniewu. Tamtejszy zamek górował nad doliną Wisły i osłaniał ważną przeprawę. Zajęcie tego miasta ułatwiało więc Szwedom kontrolę nad szlakami łączącymi ich pozycje na obu brzegach rzeki.

Zygmunt III zebrał wojsko pod Toruniem i ruszył w dół Wisły. Odbicie Gniewu zmusiłoby Gustawa Adolfa do przerwania działań przeciw Gdańskowi. 18 września polska armia stanęła pod Gniewem. Nazajutrz wysłano trębacza z żądaniem kapitulacji. Szwedzka załoga nie ustąpiła, więc 20 września Polacy zaczęli ustawiać ciężkie działa i zbliżać piechotę do murów, a następnego dnia z czterech dział rozpoczęli ostrzał zamku. W tym czasie Gustaw Adolf był już w drodze z odsieczą.

Dwa modele armii

Siłą armii Zygmunta III pozostawała jazda. Husaria miała za sobą zwycięstwa pod Kircholmem i Kłuszynem. W 1605 r. pod Kircholmem jazda Jana Karola Chodkiewicza rozbiła znacznie liczniejszą armię szwedzką. Pięć lat później pod Kłuszynem na zachodnich przedpolach Moskwy husarze Stanisława Żółkiewskiego pokonali wojska rosyjskie i wspierające je najemne oddziały szwedzkie. Zwycięstwa te budowały legendę niezwyciężonej husarii.

Kiedy Zygmunt III rozpoczynał działania pod miastem, jego wojsko liczyło ok. 11–12 tys., kolejne chorągwie i regimenty docierały już podczas walk. Po nadejściu posiłków siły królewskie wzrosły do ok. 14,5 tys., przy czym przeważała jazda. Wojsko miało również piechotę, dragonów i artylerię, ale piechurów było wyraźnie mniej niż kawalerzystów. U Szwedów dominowała piechota licząca ok. 10 tys. wobec nieco ponad 2 tys. jazdy. Liczby różnią się w zależności od źródeł, ale proporcje w strukturze obu armii nie budzą wątpliwości.

Gustaw Adolf dobrze znał polską kawalerię. Szwedzi od lat walczyli z nią w Inflantach i po kolejnych porażkach zmieniali sposób działania. Piechota, jazda i artyleria miały ściślej ze sobą współpracować. Muszkieterzy potrafili skupiać ogień większej liczby szeregów w jednej salwie, a artyleria zwiększała jednocześnie siłę ostrzału. Nie oznaczało to końca przewagi husarii, ale stawiało przed nią trudniejszego przeciwnika.

Szwedom sprzyjał również teren. Wisła płynie tu u stóp skarpy, a powyżej leżą pola przecięte rowami, zagajnikami i pagórkami. Na przedpolach Gniewu, między zajmowaną przez Szwedów wsią Gronowo a polskimi pozycjami w rejonie wsi Ciepłe,



Husaria w orszaku ślubnym Zygmunta III i Konstancji Habsburżanki, 1605 r.

brakowało szerokiej równiny, na której jazda mogłaby swobodnie rozwinąć szyk. Gustaw Adolf nie zamierzał takiego pola przeciwnikowi podarować.

Starcie

22 września Gustaw Adolf ruszył w stronę Gniewu z kilkoma tysiącami piechoty i kilkunastoma oddziałami rajtarii. Naprzeciw wyszły między innymi oddziały Tomasza Zamoyskiego, wojewody kijowskiego i jednego z głównych dowódców armii królewskiej.

Żołnierze Rzeczpospolitej kilkakrotnie wypierali szwedzką piechotę z zajmowanych stanowisk. Jazda ścierała się z rajtarią, piechota prowadziła intensywny ogień. W pewnym momencie polskim muszkieterom zaczęło brakować prochu. Kiedy rozdawano świeży zapas, hajduk z zapalonym lontem przypadkowo zaprószył ogień w beczułce. Ok. 20 ludzi angielskiego najemnika Artura Astona, który dowodził w służbie Zygmunta III 500 szkockimi piechurami, zostało rannych.

Starcie trwało od około pierwszej po południu do szóstej wieczorem. Według późniejszej relacji Wolfa von der Ölsnitza, pruskiego szlachcica i wysłannika towarzyszącego ▶

© DP, HERITAGE ART/BE&W, FORUM

eprasa.pl 59dca094ab

▶ Zygmuntowi III, po stronie królewskiej poległo ok. 35 ludzi, ponad 60 zostało rannych; kronikarz znacznie wyżej oceniał straty Szwedów. Takich liczb nie należy jednak traktować jak współczesnych raportów sztabowych, ale sama długość walki i opis kolejnych ataków pokazują, że nie było to zwycięstwo którejkolwiek ze stron. Gustaw Adolf nie przebił się tego dnia do Gniewu, Zygmunt III nie rozbił jego wojsk.

Przez następnych kilka dni pod Gniew napływały posiłki. Mikołaj Abrahamowicz, dowódca regimentu rajtarii i późniejszy generał artylerii litewskiej, przyprowadził ok. 600 konnych. Szwedzi również wzmacniali swoje siły. Obie armie szykowały się do kolejnego starcia.

29 września walka zaczęła się ponownie. Szwedzi wybrali pozycje chronione zabudowaniami, rowami i wałem wiślanym. Abrahamowicz próbował wywabić ich na teren dogodniejszy dla jazdy. Kawaleria Rzeczpospolitej zdołała zmusić część szwedzkich oddziałów do cofnięcia się, lecz rowy uniemożliwiały dalsze natarcie. Do przodu wysłano piechotę, a obie strony rozpoczęły intensywną wymianę ognia. Polscy ochotnicy próbowali dostać się do zabudowań i wzniecić pożar, licząc, że zmusi to przeciwnika do opuszczenia osłoniętych stanowisk. Udało się podpalić jedno obejście, lecz Szwedzi wyparli napastników i ugasili ogień.

Stanisław Żurkowski, sługa i biograf Tomasza Zamoyskiego, który towarzyszył mu podczas kampanii, zapisał, że „jazdą trudno było co począć między gęstemi rowami". Wieczorem wciąż strzelano, „choć ciemno było, jeden na drugiego ogień palił, samych się już nie widząc". Gustaw Adolf próbował też obejść polskie pozycje od strony Wisły. Część piechoty wysłał łodziami na wiślaną kępę, skąd ostrzeliwała wojska królewskie.

Według Ölsnitza to starcie trwało ok. 10 godzin, a wśród jazdy Rzeczpospolitej rannych zostało ok. 40 koni, z których 12 padło na miejscu. Kiedy walki osłabły, pojawili się chłopi z łopatami: kilkuset ludzi usypywało na wzgórzach szańce dla wojsk Zygmunta III, na których ustawiano działa.

Rozejm

Niemal 400 lat później pozostałości tych umocnień odnaleźli archeolodzy. W latach 2023–24 w Ciepłem, ok. 2,5 km od Gniewu, odsłonięto XVII-wieczne fortyfikacje wzniesione na pozostałościach wczesnośredniowiecznego grodziska. W nasypach były szerokie ziemne stopnie, na których mogła ustawiać się piechota. Znaleziono kule muszkietowe, kawałki ołowiu i formę do ich odlewania. Niektóre z pocisków noszą ślady pośpiesznej, niedokładnej produkcji, co wskazuje, że część kul mogła być odlewana na miejscu.

Archeolodzy natrafili też na szczątki sześciu osób. U jednej stwierdzono uszkodzenie mostka odpowiadające postrzałowi. Badacze wiążą pochówki z działaniami wojennymi, choć nie wszystkie okoliczności można dziś odtworzyć. Rozmieszczenie kul oraz szwedzkie mapy z 1626 r. potwierdzają natomiast, że właśnie w rejonie Ciepłego znajdowały się polskie umocnienia będące celem ostrzału.

1 października Szwedzi uderzyli na wzgórza blokujące drogę do Gniewu. Walkę rozpoczęła piechota. Jeden ze szwedzkich regimentów próbował opanować wzniesienie, lecz rajtarzy Henryka Szmelinga, inflanckiego rotmistrza, zaatakowali w dół stromego pagórka i zmusili muszkieterów do odwrotu. Szwedzi podjęli kolejną próbę. Do kontrataku ruszyły chorągwie husarskie Pawła Niewiarowskiego i Mikołaja Wejhera oraz inne oddziały jazdy. Tym razem przywitał je silny ogień muszkietów. Poległ chorąży Niewiarowskiego, a Szwedzi wydarli część jego znaku; większość chorągwi zdołano uratować. Wejher również stracił własny sztandar. Piechota obu stron nadal strzelała i Ölsnitz zanotował, że niektórzy muszkieterzy oddali w ciągu walki po 68 strzałów z jednego muszkietu, zanim zaczęło brakować amunicji.

Kiedy polski ogień osłabł, Szwedzi zajęli wzgórze i natychmiast zaczęli wzmacniać pozycję. Wieczorem Zygmunt III nakazał odprowadzić działa i wycofać piechotę spod miasta. Gustaw Adolf wykorzystał noc, by wejść do Gniewu. Dotychczasowy, ok. 300-osobowy garnizon został zluzowany, a do miasta wprowadzono świeżych żołnierzy. Oblężenie dobiegło końca.

Gustaw Adolf osiągnął bezpośredni cel odsieczy: uratował Gniew i utrzymał ważną pozycję nad Wisłą. Nie zdołał jednak rozbić armii Zygmunta III. Król Rzeczpospolitej nie zdobył miasta, ale zmusił przeciwnika do skupienia sił pod Gniewem kosztem planowanych działań przeciw Gdańskowi. Bitwa nie rozstrzygnęła więc ani kampanii pruskiej, ani tym bardziej wojny, która trwała jeszcze trzy lata.

Jesienią 1626 r. na północ ruszył jeden z najbardziej doświadczonych dowódców Rzeczpospolitej, hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski, który następnie przejął działania przeciw Szwedom w Prusach. W 1627 r. odzyskał Puck, w lipcu także Gniew, a w sierpniu pod Tczewem powstrzymał główne siły Gustawa Adolfa przed uderzeniem na Gdańsk. W listopadzie flota Rzeczpospolitej zwyciężyła Szwedów pod Oliwą.

W 1629 r. Koniecpolski zadał szwedzkiej jeździe ciężkie straty pod Trzcianą. We wrześniu zawarto rozejm w Starym Targu, zwany też rozejmem altmarskim. Jego warunki były dla Rzeczpospolitej niekorzystne. Szwecja zachowała część zdobyczy w Prusach i uzyskała prawo do pobierania ceł od handlu prowadzonego przez porty Rzeczpospolitej. Dochody z bałtyckiego handlu stały się jednym ze źródeł finansowania dalszych wojen Gustawa Adolfa.

Rok później król Szwecji wylądował w Niemczech i włączył swoje państwo do trwającej od 1618 r. wojny trzydziestoletniej. Tam dopiero zdobył europejską sławę Lwa Północy. Cztery lata wcześniej nie rozbił armii Zygmunta III ani nie zdobył Gdańska. Za to zachował Gniew, któremu przyszedł z odsieczą, i pokazał, że w wojnie nad Wisłą sama sława polskiej jazdy nie wystarczy.

Spór o skrzydła

Po tej bitwie został spór o husarię. W 1966 r. historyk wojskowości Jerzy Teodorczyk nadał swojemu obszernemu studium tytuł „Bitwa pod Gniewem (22 IX–29 IX–1 X 1626). Pierwsza porażka husarii". Widział w tym starciu zapowiedź kryzysu formacji, która zwyciężała przez 125 lat, a teraz miała coraz gorzej radzić sobie z rosnącą siłą ognia piechoty i artylerii.

Z tak prostym obrazem polemizuje historyk Radosław Sikora. Pod Gniewem husaria nie okazała się nagle bezradna wobec muszkietów. 1 października jazda zepchnęła szwedzką piechotę ze wzgórza, a źródła opisują również przypadki ucieczki szwedzkich muszkieterów przed atakiem kawalerii. O wyniku walki decydowały za to współdziałanie piechoty, jazdy i artylerii, umocnienia, ukształtowanie terenu oraz zapasy prochu i amunicji.

Gniew był więc raczej świadectwem zmiany pola walki niż symbolicznym pogrzebem husarii. W nierównym, pociętym rowami terenie nawet świetna kawaleria traciła część swoich atutów, a zdyscyplinowana piechota wsparta działami i szańcami zyskiwała przewagę, której nie dało się zlekceważyć.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

eprasa.pl 59dca094ab

Urodziny doktora Brehmera



Sokołowsko, dawny Görbersdorf, pierwsze w świecie uzdrowisko przeciwgruźlicze, znów stało się modne za sprawą festiwalu filmowego im. Krzysztofa Kieślowskiego i powieści Olgi Tokarczuk. Teraz obchodzona jest 200. rocznica urodzin założyciela kurortu Hermanna Brehmera. Ale cała ta historia zaczęła się od prysznica.

SŁAWOMIR OXENIUS

Dzięki grupie miejscowych fascynatów, odkrywane są niezwykłe początki Görbersdorfu, związane z niemieckim lekarzem Hermannem Brehmerem, jego nieszczęsną szwagierką hrabiną Marie von Colomb, a także z Vincenzem Priessnitzem, który wymyślił urządzenie jedynie w języku polskim nazwane jego nazwiskiem: prysznic.

Brehmer, słusznie uważany za faktycznego założyciela sanatorium, zmarł w Görbersdorfie w 1889 r. w wyniku krótkiej choroby, przeżywszy zaledwie 63 lata. Zostawił po sobie imponujący ośrodek leczniczy, na który składały się nie tylko okazałe budynki, w tym olbrzymi neogotycki Kurhaus, ale i park ozdobiony obiektami architektonicznymi o różnych funkcjach.

W XIX-wiecznym Görbersdorfie śmierć ukrywano: nie było tu cmentarza, a zmarłych pacjentów pod osłoną nocy wywożono do miejsc pochówków znajdujących się w sąsiednich miejscowościach. Jedynym wyjątkiem był rodzinny grobowiec Brehmera (prawdopodobnie spoczęli tam również jego pierwsza żona Amalie i syn Hermann junior), który stanął w parku jako kolejny niewielki budynek, w połowie wkopany w górskie zbocze.

Jak można się domyślać, do końca drugiej wojny światowej w ciągle prężnie działającym jako ośrodek przeciwgruźliczy Görbersdorfie obiekt przetrwał w dobrym stanie, a pamięć o Brehmerze była żywa, wręcz celebrowana. W 1945 r., już w nowej rzeczywistości, grobowiec splądrowano, zabierając z wnętrza trzy cynowe trumny. Ciała zostały z nich usunięte i prawdopodobnie porzucone gdzieś w pobliżu.

Nazwa Görbersdorf po wojnie została zmieniona na Sokołowsko na cześć jednego z asystentów Brehmera z lat 70. XIX w., Alfreda Sokołowskiego, który po sześciu latach pobytu wyemigrował do Warszawy, założył tam Towarzystwo Przeciwgruźlicze i został profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Już jako polska miejscowość, Sokołowsko kontynuowało leczenie ludzi (tuż po wojnie głównie inwalidów wojennych i ocalałych więźniów obozów koncentracyjnych), zmieniając profil działalności na szeroko rozumiane choroby płuc.

Jak mówią wieloletni mieszkańcy Sokołowska, po wojnie w miejscowości nie było negatywnych uczuć do niemieckich poprzedników, raczej obojętność, która miała także skutki fizyczne: parki i polany zarastały dziką roślinnością, altany i werandy służące leżakowaniu demontowano, fontanny i pomniki znikały, wiele budynków zaniedbano lub nawet wyburzono. Najbardziej ucierpiał największy obiekt Brehmera – ów Kurhaus, przez polskie władze nazwany Grunwaldem – w latach 70. rozebrano jego najstarsze skrzydło.

Prawdziwie trudny czas dla tego miejsca nastał w nowej rzeczywistości polityczno-gospodarczej po 1989 r., gdy nagle zmieniły się sposoby zarządzania i struktura własności budynków. W 2005 r. podpalono Kurhaus, co spowodowało jego dalszą dewastację. Niewiele zabrakło, żeby zniknął również grobowiec rodziny Brehmerów, coraz bardziej schowany w leśnym gąszczu. ▶



Panorama Görbersdorfu, 1905 r.

© DP (2)

eprasa.pl 59dca094ab

▶ O ile Kurhausem zajęła się Fundacja In Situ, założona i prowadzona przez znaną malarkę i rzeźbiarkę Bożennę Biskupską i jej partnera Zygmunta Rytkę, którzy rozpoczęli żmudny, trwający już dwie dekady proces odbudowy gmachu (POLITYKA 47/22), o tyle grobowcem nie zajmował się nikt. W 2020 r. z budowli tej zostało już niewiele: części ceglanych ścian nie było, żelazną bramę ukradziono, a we wnętrzu widać było ślady poszukiwaczy zamurowanych kosztowności.

Lokalny społecznik Janusz Mich, rodzinnie związany z Sokołowskiem, razem z Aleksandrą Główczyńską, Damianem Kanclerskim i Romanem Rutkowskim, wrocławskim architektem i adiunktem na Wydziale Architektury tamtejszej Politechniki, stworzyli grupę inicjatywną, której celem było odtworzenie oryginalnego projektu (zapewne autorstwa Edwina Opplera, twórcy wielu budynków uzdrowiska) oraz pełna odbudowa grobowca. Udało się dzięki wsparciu Lasów Państwowych i Gminy Mieroszów.

Podczas uroczystości udostępnienia obiektu zwiedzającym w 2024 r. Olga Tokarczuk przeczytała zgromadzonym gościom fragment swojej dziejącej się w Görbersdorfie w roku 1913 powieści „Empuzjon". To właśnie do miejsca spoczynku Hermanna Brehmera „wspięli się piękną alejką wysadzoną tujami" bohaterowie książki, Mieczysław Wojnicz i pan August.

Po tej pierwszej udanej próbie przywracania pamięci o założycielach Sokołowska Roman Rutkowski rzucił pomysł organizacji obchodów 200. rocznicy urodzin Brehmera z udziałem polskich i niemieckich historyków (mają się odbyć w końcu września także z udziałem Olgi Tokarczuk). Do inicjatywy przyciągnął Pawła Polzera, mieszkającego w Katowicach badacza regularnie publikującego archiwalne materiały dotyczące m.in. przeszłości Görbersdorfu. Paweł Polzer podjął się zrekonstruowania i napisania biografii Brehmera. W czasach powszechnej digitalizacji dokumentów zadanie wydawało się wykonalne. Powołano także Towarzystwo na rzecz Dolnego Śląska im. dr. Hermanna Brehmera.

Praca nad biografią trwa, bo archiwa są jednak mocno niekompletne, rozproszone, często trudno dostępne. Ale wiele już wiadomo. Udało się ustalić, że jego ojciec, Ernst Gottlob Brehmer, posiadał niewielkie gospodarstwo, które spłonęło. Po utracie majątku pracował jako zarządca. Matka, Christiane z domu Konjetzky, zajmowała się wychowaniem czworga dzieci. Hermann był trzecim z nich. We Wrocławiu i w Berlinie studiował matematykę, astronomię i nauki przyrodnicze. W 1851 r. rozpoczął studia medyczne. 5 sierpnia 1853 r. obronił rozprawę doktorską poświęconą rozwojowi gruźlicy płuc. Najważniejsza z jej tez mówiła, że gruźlica, uchodząca za chorobę zabójczą i nieuleczalną, w pierwszych stadiach może być powstrzymana. Zdanie to stało się podstawą jego późniejszej działalności. Dzięki pomocy słynnego niemieckiego naukowca Alexandra von Humboldta w roku 1859 Brehmer otrzymał samodzielną koncesję na prowadzenie zakładu dla chorych na płuca w Görbersdorfie.

W opinii Brehmera w leczeniu gruźlicy górskie położenie zakładu było istotne, lecz niewystarczające. Hermann już w 1856 r. podkreślał znaczenie sposobu życia w górach, zwłaszcza regularnego chodzenia po drogach o różnym nachyleniu. Wysiłek pacjenta był stopniowany przez lekarza i dostosowany do stanu jego zdrowia. Kuracjusze otrzymywali pięć obfitych posiłków dziennie, pili mleko, a w określonych przypadkach także wino lub koniak stosowane wówczas jako środki lecznicze. Do tego dochodziły zabiegi wodolecznicze oraz stały monitoring medyczny. Dokumentowano tętno, oddech, masę ciała, pojemność płuc, apetyt, poty nocne i zdolność do marszu. W tym systemie lekarz decydował o niemal każdym elemencie dnia pacjenta, kontrolując wysiłek, odpoczynek, odżywianie, sen, kąpiele i warunki mieszkaniowe.

Metoda Brehmera wymagała odpowiedniej przestrzeni. Zaczynając od wczesnych lat 60. XIX w. aż do śmierci, Hermann Brehmer wybudował lub przejął w Görbersdorfie kilkadziesiąt budynków, w których mieszkano, leczono i produkowano żywność, a nawet – po odkryciu przez Roberta Kocha w 1882 r. prątka gruźlicy – prowadzono badania bakteriologiczne. W rezultacie sanatorium przypominało samowystarczalny organizm, który utrzymywał określony rytm terapii niezależnie od pory roku.

Najważniejszym budynkiem kompleksu był wzniesiony w kilku etapach dom zdrojowy – czyli obecny Grunwald. W obiekcie tym znajdowały się pokoje pacjentów, mieszkania lekarzy, ogrody zimowe, biblioteka z czytelnią, a także instalacje wentylacji, ogrzewania i bieżącej wody. W trakcie wznoszenia budynków Brehmer jednocześnie inwestował w przyległy park, który ostatecznie zajął ok. 110 ha. Teren parku przechodził stopniowo w las, a kompozycja nawiązywała do angielskiego ogrodu krajobrazowego. Na kamieniste i gliniaste podłoże sprowadzano ziemię, sadzono rodzime i egzotyczne drzewa, urządzano polany, rabaty i stawy, budowano groty i liczne pawilony. W momencie śmierci lekarza sieć utwardzonych, niekurzących się ścieżek liczyła ok. 15 km.

W trakcie swoich badań nad życiem Hermanna Brehmera Alicja Kosiba-Lesiak, historyczka z Tarnowskich Gór, i Paweł Polzer z niemal całkowitego zapomnienia wydobyli również Marie von Colomb, która w Görbersdorfie leczyła ludzi już od 1850 r., jeszcze przed Brehmerem. Do tej pory von Colomb była raczej niewyraźnym wspomnieniem pionierki, która wprowadziła do tej górskiej wioski medyczną funkcję. Marie była siostrą Amalie, żony Hermanna Brehmera, zresztą o 16 lat od niego starszej.

Jak to opisuje Kosiba-Lesiak w niedawno wydanej książeczce „Tragiczna historia Marie von Colomb. Zapomniana założycielka sanatorium w Görbersdorfie", Marie, urodzona w Warszawie z małżeństwa wysoko postawionego urzędnika pruskiego Ludwiga von Colomb i Polki Martyny z Zabłockich, była słabego zdrowia i wielkiej ambicji. Słabe zdrowie przyniosło wieloletnią terapię, ambicja pchnęła w stronę zainteresowania medycyną i leczenia ludzi. Pomimo jej uporczywych starań i wysokiej pozycji społecznej von Colomb nigdy nie pozwolono uzyskać oficjalnego wykształcenia medycznego (w całym państwie pruskim tylko trzy kobiety otrzymały taką królewską zgodę). Inwestując otrzymany spadek wraz z rodzeństwem Amalie i Peterem – jako prawnym kuratorem niezamężnych sióstr – w zakład leczniczy w Görbersdorfie, podjęła ogromne ryzyko finansowe.

Zakład wzorowany był na dobrze jej znanym ośrodku w Gräfenbergu (obecnie Lázně Jeseník w Czechach) prowadzonym przez Vincenza Priessnitza. Marie spędziła tam trzy lata najpierw na kuracji, która bardzo poprawiła jej stan zdrowia, potem jako asystentka szefa uzdrowiska. Sam Priessnitz był wieśniakiem, analfabetą,

eprasa.pl 59dca094ab

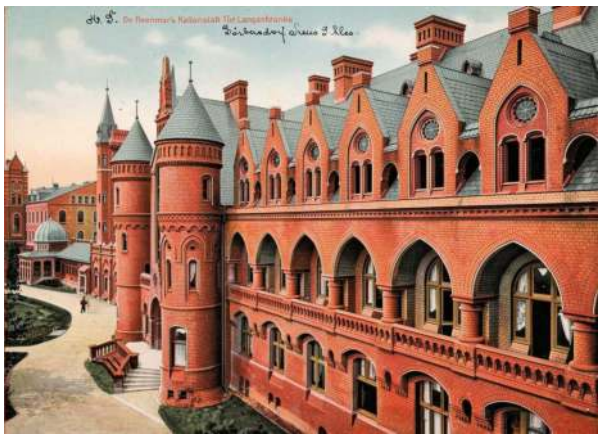

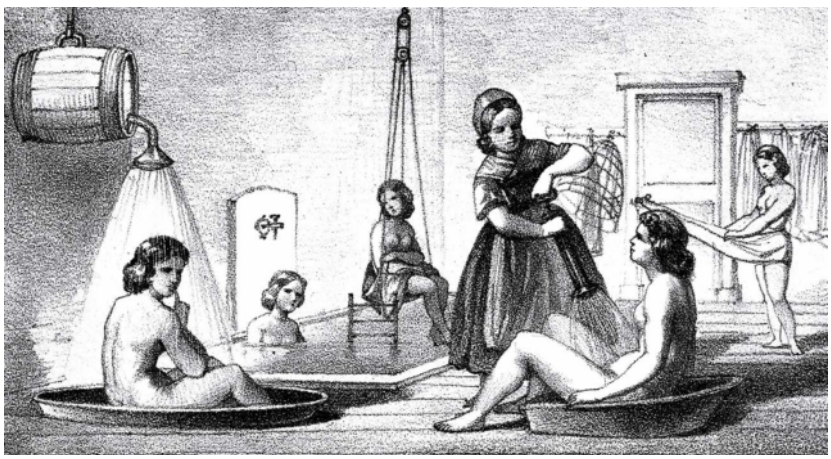

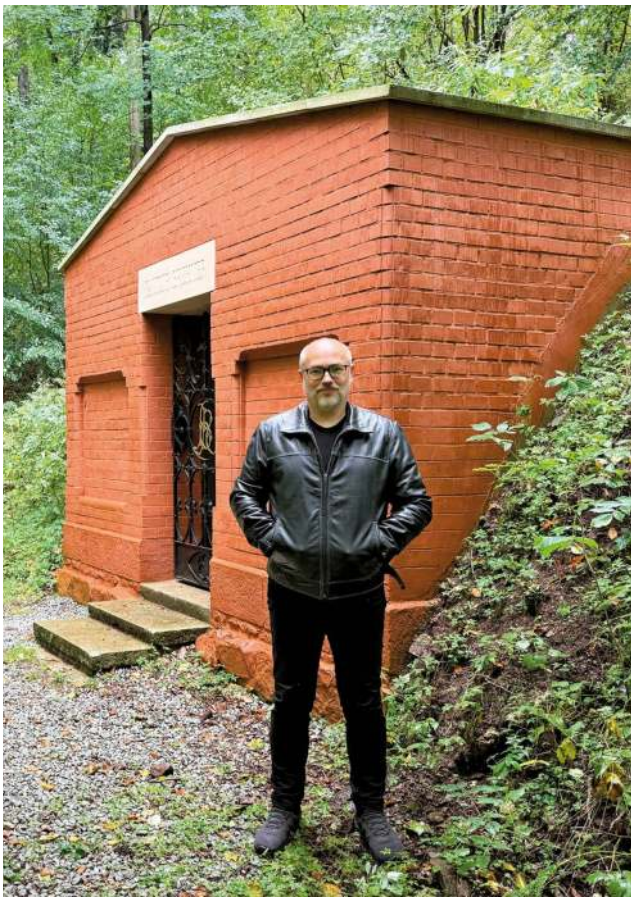

Od lewej: **Główny budynek sanatorium na starej pocztówce, XIX-wieczny rysunek przedstawiający zastosowanie hydroterapii,** Po prawej: **Roman Rutkowski, architekt związany z Sokołowskiem, na tle odrestaurowanego grobowca Hermanna Brehmera.**

© DP, DOLNY-ŚLĄSK.ORG.PL, ROMAN RUTKOWSKI

samoukiem i uzdrawiaczem. Metody, które najpierw wypróbował na sobie samym, a potem na sąsiadach, obejmowały zabiegi z użyciem naturalnych wód mineralnych, w tym zimnych wodnych kąpieli. Pacjenci polewani byli wodą z umieszczonych nad ich głowami sitek zaprojektowanych przez Priessnitza.

Jego zakład leczniczy zyskał ogromną popularność, a Marie von Colomb, zafascynowana teorią i praktyką hydroterapii, postanowiła otworzyć własne sanatorium. Otrzymała koncesję na prowadzenie ośrodka (na początku było to „siedem pokoi wyposażonych w meble i ogrzewanych żeliwnymi piecami"), leczącego różne choroby (według ogłoszenia m.in. hemoroidy, skrofuły, syfilis, podagrę, osłabienia ciała i nerwów) „metodą Priessnitza", czyli kąpielami, natryskami, dietą i ruchem. Musiała jednak zatrudnić dyplomowanego lekarza mężczyznę. Tym medykiem, przypuszczalnie wskazanym przez samego Aleksandra von Humboldta, bliskiego krewnego Marie i Amalie, był właśnie „młody, zdolny" Hermann Brehmer, obecny w Görbesdorfie prawdopodobnie od 1851 r.

Historia przejęcia przez niego zakładu Marie von Colomb w 1855 r. jest nie do końca jasna. W ciągu krótkiego czasu relacje tych dwojga zmieniły się z bardzo dobrych na wręcz wrogie, czego ślady widać w ówczesnych publikacjach prasowych. Ostatecznie Marie została osadzona w więzieniu „za długi", a Hermann z Amalie całkowicie przejęli zakład. I zaczęli jego imponującą rozbudowę, skupiając się głównie na „leczeniu gruźlicy metodą dietetyczno-klimatyczną".

Wiele elementów teorii Priessnitza i Brehmera nie przetrwało rozwoju medycyny. Trwalszy okazał się model zakładu, w którym leczenie polegało na długim pobycie, stałej opiece lekarza, regulowanym ruchu, odpoczynku, leżakowaniu, odżywianiu i odpowiednio przygotowanym otoczeniu. Görbersdorf stał się wzorem dla sanatoriów w Europie, w tym zwłaszcza szwajcarskiego Davos rozsławionego w „Czarodziejskiej górze" Tomasza Manna.

Dzisiejsze Sokołowsko zachowuje materialny ślad tej historii w pozostałościach monumentalnych budynków, parkowych alejach i grobowcu Brehmera. Jego rekonstruowana biografia pozostaje zarazem opowieścią o XIX-wiecznym Śląsku: miejscu przenikania kultur, rozwoju nauki i ambicji człowieka, który podporządkował całe otoczenie przekonaniu, że gruźlica może być leczona.

Dzięki obecnym badaniom historia Görbersdorfu jest coraz lepiej znana, wątpliwości ubywa, informacje są weryfikowane. Dla przykładu, teoria Rutkowskiego i Kosiby-Lesiak o rodzinnym grobowcu Brehmerów zbudowanym już pod koniec lat 60. XIX w. przez Opplera okazała się fałszywa. Jak wynika z artykułu odnalezionego przez Pawła Polzera, ciało Hermanna Brehmera po śmierci złożono do jednego z sanatoryjnych budynków, a jego ostateczne miejsce spoczynku miało być dopiero zbudowane.

Pytań jest coraz mniej, ale ciągle dużo. Choćby: gdzie jest pochowana Marie von Colomb? I kto spoczywał w trzech cynowych trumnach grobowca?

SŁAWOMIR OXENIUS

Autor jest historykiem, wykładowcą, prezesem Fundacji Pałac Jedlinka w Jedlinie-Zdroju, obecnie kieruje archiwum diecezjalnym w Görlitz.

eprasa.pl 59dca094ab

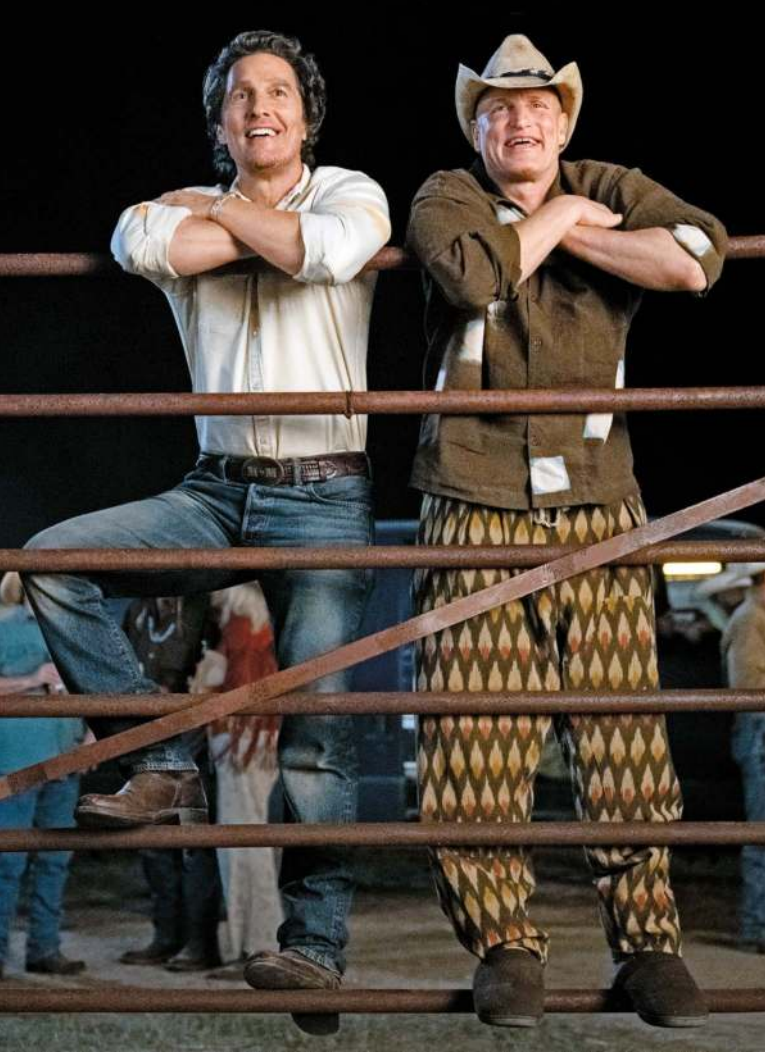

serial

Braci się nie traci 3/6

Bracia (Brothers), twórcy serii: Matthew McConaughey, Woody Harrelson, Lee Eisenberg, David West Read, 8 odc., Apple TV

Jak głosi plansza wyświetlana po tytule, „Bracia" są „oparci na prawdziwej plotce". Lata temu **Matthew McConaughey** i **Woody Harrelson**, aktorzy, których łączą przyjaźń i teksańskie pochodzenie (oraz brawurowy występ w pierwszym sezonie serii „True Detective"), ogłosili, że być może także więzy krwi – matka McConaugheya, Ma Mac, miała zasugerować romans z ojcem Harrelsona w czasie jednego z rozwodów z ojcem McConaugheya (rozwodzili się i pobierali kilka razy). Teraz ta plotka staje się motorem pogodnego, tyleż przyjemnego, co schematycznego sitcomu o sile więzi rodzinnych i przyjacielskich, w którym aktorzy grają swoje medialne persony, podkręcają biograficzne fakty, nie unikając wygłupów i żartów z odklejenia gwiazd, ściąganych na ziemię przez swoje rodziny (grane świetnie przez zawodowych aktorów). Całość zaczyna się od rodzinnej dramy u Harrelsonów w Malibu, na którą remedium ma być spontaniczny wyjazd do najlepszego kumpla. Tym sposobem hipisowski autobus Harrelsonów parkuje przed tradycyjną teksańską willą McConaugheyów. Matthew w tym czasie przygotowuje przemówienie na uroczystość ku czci zmarłego ojca – prominentnej lokalnej figury, co prowadzi go do pomysłu kandydowania na gubernatora Teksasu. Akcję nakręcają przygotowania do kampanii i tajemnica Ma Mac (Holland Taylor), są też wątki romantyczne w wykonaniu pociech obu rodów, ale główną sprężyną są różnice charakterów i wartości reprezentowane przez głównych bohaterów. Serialowy Harrelson to siejący chaos brat łata, hipis, weganin, anarchista i fan marihuany, McConaughey zaś to lokalny patriota kultywujący tradycje, w tym rodeo i polowanie, pozujący na poważnego patriarchę rodu, nie zawsze z sukcesem. Mimo tych różnic, a może właśnie dzięki nim, potrafią być dla siebie wsparciem. Wzór dla podzielonej Ameryki?

ANETA KYZIOŁ

serial

Wciąż aktualny 4/6

Amerykański zakładnik (American Hostage), twórcy serii: Shawn Ryan i Eileen Myers, 8 odc., HBO Max



Ekranizacja podkastu true crime, którego twórcy wrócili do sprawy porwania z 1977 r. w Indianapolis. W 2025 r. historię przypomniał Gus Van Sant w filmie „Desperat" z Billem Skarsgårdem, Alem Pacino i Colmanem Domingo w obsadzie. Tony Kiritsis wziął jako zakładnika szefa firmy pożyczkowej, którą oskarżył o udzielenie mu (i wielu innym) kredytu hipotecznego, mimo że nie dysponował wystarczającymi zarobkami, aby przejąć jego działkę, gdy stanie się niewypłacalny. Tam zamierzał zbudować restaurację i w ten sposób spełnić swój amerykański sen. Historia o zwykłym człowieku zmuszonym do desperackich czynów w zderzeniu ze skorumpowanym, bezdusznym systemem rezonuje silnie także dzisiaj. Serial zaś skupia się na mediach jako czwartej władzy, która powinna patrzeć na ręce trzem pierwszym, lecz i wtedy, i obecnie często zawodzi. Katalizatorem akcji jest Kiritsis (rozedrgany **Giovanni Ribisi**), ale kręci się ona wokół szanowanego prezentera radiowego, szefa działu reporterów, Freda Heckmanna (Jon Hamm), któremu Kiritsis udziela wywiadu na żywo i wikła go w całą sprawę. Ośmioodcinkowy serial rozkręca się powoli, mnoży wątki i bohaterów, rozwadnia opowieść. Ribisi i Hamm grają z charyzmą role, w które już wiele razy się wcielali. A z czasem górę bierze estetyka: radio lat 70., nawiązania do filmowych klasyków z tamtych czasów. AK

© RYAN GREEN/APPLETV+, STEVE ACKERMAN/MGM, MARCIN KONIAK/VILLA LAFLEUR, MARTA WOŹNIAK, EC1 ŁÓDŹ, JAREK NIEMCZAK/TEATR 6.PIĘTRO

eprasa.pl 59dca094ab

galeria

Teraz Muter 5/6

Mela Muter, Współ-odczuwanie świata,
Villa La Fleur, Konstancin-Jeziorna, do 28 lutego

Trzy lata temu w tym samym muzeum wielkim frekwencyjnym hitem okazała się wystawa Tamary Łempickiej. Czy obrazy Meli Muter, także tworzącej we Francji przed drugą wojną światową, podobnie zafascynują polską publiczność? Wszak artystka jest dziś jedną z legend École de Paris, tak jak Łempicka była gwiazdą art déco. W każdym razie twórcy wystawy zrobili wszystko, by tak się stało. Wydali potężny katalog, którym można by gwoździe wbijać, a przede wszystkim ściągnęli ponad 200 obrazów artystki, co oczywiście cieszy, ale sprawia też, że na uważne obejrzenie wystawy trzeba przeznaczyć sporo czasu. Zresztą obfitość estetycznych bodźców nieco przytłumia percepcję. Na szczęście malarskie zainteresowania Muter nie ograniczały się do jednego czy dwu motywów, dzięki czemu możemy wpatrywać się w przenikliwe i doskonale oddające ducha epoki portrety, wędrować zaułkami francuskich miasteczek, delektować się klasycznymi martwymi naturami, dać się oczarować wiejskim pejzażom, a nawet zagłębić w narrację rodzajowych scen. A przede wszystkim pozwolić się uwieść temu, co stanowiło „danie firmowe" Muter: scenom szeroko rozumianego (także w religijnym wymiarze Madonny) macierzyństwa. Dorobek artystki ciągle jeszcze czeka na pełne odkrycie i uznanie, a ta – zaplanowana aż na pięć miesięcy – wystawa daje ku temu najlepszą okazję.



Mela Muter, „Widok na Kościół św. Wawrzyńca w Lugano", 1916 r.

PIOTR SARZYŃSKI

Wieczni buntownicy 5/6

Produkt wystawowy,
Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej, Łódź, do 7 marca

Dla polskiego komiksu pojawienie się „Produktu" u schyłku lat 90. było rewolucją. Magazyn, który łączył undergroundową energię z profesjonalną edycją i dystrybucją, odcinał się od tradycyjnej estetyki, lecz nie próbował bezmyślnie naśladować zachodnich wzorców, a przede wszystkim do odbiorców – głównie młodych mężczyzn, komiksy były wtedy wciąż bardzo chłopacką rozrywką – mówił ich językiem i odwoływał się do ich doświadczeń. Siłą napędową pisma byli twórcy, którzy do dziś należą do komiksowej czołówki: przede wszystkim Michał Śledziński z „Osiedlem Swoboda", lecz również bracia Minkiewiczowie z „Wilqiem Superbohaterem", Tomasz Leśniak i Rafał Skarżycki z „Jeżem Jerzym", Ryszard Dąbrowski, Rafał Gosieniecki, Ernesto Gonzales i wielu innych. Wystawa w łódzkim CKNI najwięcej frajdy sprawi tym, którzy wraz z „Produktem" wchodzili w wiek dojrzały, ale nie jest wyłącznie nostalgiczną wyprawą w przeszłość. Wpisuje krótką historię magazynu w szerszy kontekst, przypomina, jak ważnym był zjawiskiem na niezależnej scenie, a przede wszystkim uświadamia, że dziedzictwo tego magazynu jest żywe i wciąż obecne nie tylko we współczesnym komiksie, lecz również w animacji i grach wideo. Niezależny bachor obrazkowego undergroundu to dziś już klasyk, lecz jego buntownicza natura jest niezmiennie inspirująca.



JAKUB DEMIAŃCZUK

scena

Żywe górą 4/6

Lauren Gunderson, **Antropologia**,
reż. Katarzyna Warnke, Teatr 6.piętro, Warszawa



Nie przed każdym spektaklem można usłyszeć specjalnie nagrane wypowiedzi polityków. „Antropologię", wystawioną w Teatrze 6.piętro w ramach cyklu „Ludzkość na krawędzi", poprzedza zapewnienie wicepremiera i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego, że przedstawienie powstało bez użycia sztucznej inteligencji. Ministerstwo jest partnerem spektaklu, którego autorka, Amerykanka Lauren Gunderson, łączy wątki obyczajowe i kryminalne z tematem rozwoju AI. Akcja toczy się w mieszkaniu Merril (**Helena Sujecka**), programistki, którą żałoba pcha do stworzenia opartej na silniku AI cyfrowej wersji przyrodniej siostry (dziewczyna zaginęła rok wcześniej). Wersja AI (**Pola Gonciarz**) oferuje jednak coś więcej niż kontrowersyjne pocieszenie: aranżuje spotkanie Merril z byłą partnerką (**Adriana Kalska**), nakłania do wznowienia kontaktu z matką, zdrowiejącą narkomanką (Katarzyna Figura) i wszczyna internetowe śledztwo w sprawie zaginięcia swojego pierwowzoru. Sztuczna inteligencja pokazana jest tu w ambiwalentny sposób, zarazem jako narzędzie pomocne, manipulacyjne i uzależniające. Najważniejsze mają być relacje z drugim, żywym człowiekiem, który jest nieidealny i bywa wymagający, ale dzięki temu (bez) cenny. Żywy człowiek to dotyk i obecność, co w spektaklu Katarzyny Warnke, aktorki, okazjonalnie scenarzystki i reżyserki, manifestuje się czasem w dość nieoczekiwanej formie – sceny kobiecego seksu pod prysznicem czy występu muzycznego Figury. Sztuka środka, która chce być zapamiętana. AK

eprasa.pl 59dca094ab

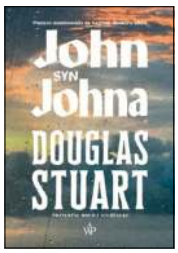

Syn marnotrawny 4/6

Douglas Stuart, **John, syn Johna**, przeł. Maciej Studencki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 512



Nowa powieść Douglasa Stuarta znalazła się w ścisłym gronie finalistów Nagrody Bookera. Szkocko-amerykański autor już ją ma (debiut „Shuggie Bain" wyróżniony w 2020 r.) i z każdą książką potwierdza swoją klasę. Penetruje w nich kolejne regiony Szkocji; miejsce urodzenia i dorastania oddziałuje na bohaterów, kotwiczy ich fizycznie i mentalnie. Tym razem autor przenosi nas na wyspę Harris, maleńki fragment archipelagu Hebrydy. Wypas, połów i tkactwo to główne zajęcia tutejszych mieszkańców. John-Calum Macleod, nazywany Calem, jako pierwszy w rodzinie miał ukończyć studia, wybić się na niezależność. Nie wychodzi. Wraca w rodzinne strony pokiereszowany, długowłosy (nie do przyjęcia), dla kurażu łyka po drodze ecstasy. Ojciec, również John, diakon, człowiek zasadniczy, surowo obchodzi się z chłopakiem, ale Cal nie chce zgiąć karku. I ukrywa orientację seksualną, ważny motyw u Stuarta. John senior też coś ukrywa. To jednak więcej niż opowieść o tym, czy ojciec z synem znajdą nić porozumienia, to również studium samotności, wyparcia, a przy okazji obrazek Szkocji funkcjonującej gdzieś na obrzeżach Wielkiej Brytanii, najpewniej w latach 90., skoro Cal odpowiada listownie na anons w gazecie. Cała lokalna społeczność przypomina płótno, które się przedrze, jeśli jakiś element zostanie pominięty czy zmieniony. Dlatego Macleodowie żyją – nomen omen – w wiecznym rozdarciu. Wszystkie tajemnice stopniowo się wyjaśniają. Fani Stuarta docenią szaroburość tej prozy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Bezlitosny wrażliwiec 5/6

Anthony Bourdain, **Teksty nieznane, klasyczne i odkryte na nowo**, przeł. Natalia Mętrak-Ruda, Paweł Bravo, Jacek Konieczny, Wydawnictwo Buchmann, Warszawa 2026, s. 478

Podobne zbiory są zazwyczaj skokiem na kasę i odcinaniem kuponów od sławy zmarłego autora. Na dodatek sporą część stanowią rzeczy dobrze znane, choć uzupełnione tekstami wcześniej niepublikowanymi. Widać jednak, że wybór został przemyślany i jest niezłym odzwierciedleniem zarówno publicznej persony Anthony'ego Bourdaina, jak i jego osobowości – „najwyższego kapłana własnej mitologii", jak notuje w przedmowie reporter Patrick Radden Keefe. Znalazły się tu chyba wszystkie elementy bogatej literackiej twórczości Bourdaina. Od młodzieńczych opowiadań, poprzez fragmenty książek, aż po teksty prasowe, w tym „Nie jedz, póki tego nie przeczytasz" z „New Yorkera", który otworzył mu drzwi do medialnej kariery. Fikcja, reportaże, dramaty, wiersze, komiksy – świadectwo niemałego talentu. Prozaikiem zdawał się raczej przeciętnym, ale o życiu, kuchni, podróżach pisał po mistrzowsku. Był błyskotliwym, bezlitosnym, ale i wrażliwym obserwatorem. Choć jego prowokacje – filipiki przeciw hipokryzji wielkomiejskich wegetarian czy tyrady w obronie prawa do palenia w knajpach – mogą dziś budzić zdumienie, ale bez nich Bourdain nie byłby sobą.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Katalog potworów 2/6

Manuela Gretkowska, **Milionerka**, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, s. 261

Nowa powieść Manueli Gretkowskiej jest zapowiadana jako bezlitosna satyra na świat elit i ludzi kultury, spodziewamy się więc złośliwości, powieści z kluczem, a dostajemy wyrób powieściopodobny, okraszony publicystyką, z wątłą fabułą i bez konstrukcji, w dodatku nieśmieszny. A właśnie do poczucia humoru odwołuje się Gretkowska najchętniej. Znajdziemy w tej książce dużo złości i frustracji, a przede wszystkim katalog potworów – wszyscy tu są paskudni, także Armand, pisarz, autor bestsellera wchodzący w alians z Potockimi, którzy finansują mu książkę. Sami arystokraci są straszni, pretensjonalni, ale najgorszy jest niejaki Szmata (nie arystokrata), który gasi pety we wnętrzu kobiety. Pojawiają się wychudzone i naćpane modelki na pogrzebie jednej z nich, wykorzystanej przez elity. Powieść składa się z przydługich monologów, czasem przypominających wpisy fejsbukowe, pełnych obrzydzenia do świata. Nie wiadomo, dlaczego nagle w tym wszystkim pojawiają się zmarli Joanna Kołaczkowska i Stanisław Tym z kabaretem w niebie; związku z fabułą brak. Oczywiście możemy doszukiwać się tutaj portretów prawdziwych postaci i je znajdziemy, ale i to nie wystarcza, żeby zrozumieć powody powstania tej książki. Jej czytanie przypomina brnięcie przez oblepiające obrzydliwości, które w takim nagromadzeniu przede wszystkim nudzą. Czy coś się jednak udało? Chyba tylko obraz seksu po menopauzie, ale zajmuje on zaledwie kilka linijek i dalej wpadamy w błoto. Wszystko w tym świecie jest przekupione, cyniczne, zaćpane. Żeby jednak ten rodzaj szyderstwa i wściekłego ataku trafiał w swój cel, musi literacko przekonywać, śmieszyć albo wzburzać. Tu niestety trudno dotrwać do końca. I nie wiadomo, po co mamy się męczyć.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 59dca094ab

muzyka

Sprawy osobiste 5/6

Misia Furtak, **Otuchy**, PIAS

Jeśli ktoś śpiewa „Boję się przedwczesnej emerytury: garsonka, katafalk i pa" – jak usłyszeliśmy w singlu, którym Misia Furtak (w duecie z Katarzyną Nosowską) zapowiadała tę płytę – wróży to osobiste piosenki. I rzeczywiście, po albumie „Wybory", w którym odważnie komentowała świat zewnętrzny, tu była członkini très b. i laureatka Paszportu POLITYKI zwraca się ku sobie. W tekstach mamy więc introspekcję. Z charakterem samej muzyki jest, co ciekawe, odwrotnie: jeśli poprzednia płyta była wyciszonym buntem (z 30-sekundowym utworem „Agata" o byłej pierwszej damie, który składał się tylko z ciszy), to na „Otuchach" autorka, poza może uroczymi „Białymi kwadratami", wybiera stylistykę dość mocną. Michał Drozda z formacji Niemoc, odpowiadający za większość partii instrumentalnych, napisał riffy gitarowe, które bohaterkę wybiły z dotychczasowej konwencji, czasem skłaniają prawie do krzyku („Gdzie mój rytm"). Gościnnie słyszymy artystki, z którymi Misia Furtak pracowała jako mentorka (np. fortepianową partię Hani Derej), co tylko uzupełnia obraz tego, kim autorka jest dziś na polskiej scenie. A wszystko w zwięzłej, atrakcyjnej i płynącej raźno formule.



BARTEK CHACIŃSKI

© DAVID ZORRAKINO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES, AGATA GRZYBOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL, MP (5)





festiwal

Długość dźwięku

Unsound Festival,
Warszawa–Kraków, 2–11 października

Muzyka rozgrywająca się w długim czasie ma swoje 15 minut. Drony, ambient, powolne zmiany brzmienia zdominowały całą festiwalową jesień, a w sierpniu melomanów zelektryzowała zmiana akordu w zaplanowanym na 639 lat (!) wykonaniu utworu Johna Cage'a w niemieckim Halberstadt – do dotychczasowych siedmiu tonów dodano dźwięk organowej piszczałki A4. Fenomen „głębokiego słuchania" przeniósł się w ten sposób z festiwali muzyki współczesnej do social mediów. A kto chce sobie tę atmosferę przedłużyć, powinien odwiedzić krakowski Unsound, gdzie wystąpi wraz z członkami Spółdzielni Muzycznej kanadyjska kompozytorka i organistka Sarah Davachi. Jedna z najważniejszych dziś postaci budujących utwory w długim czasie, minimalistycznymi środkami i z odwołaniami do muzyki sakralnej – dawnej i nowej.

Muzyki dronowej – czyli hipnotyzujących form z pojedynczymi tonami wybrzmiewającymi nieustannie w tle – nie zabraknie też na koncercie innego Kanadyjczyka, Tima Heckera (z oprawą wizualną Vincenta de Bellevala), oraz podczas występu krajowej grupy Radical Polish Arkestra, który urozmaici festiwalowiczom przejazd pociągiem z Warszawy do Krakowa. Bo tegoroczna edycja po raz pierwszy rozpięta będzie między dwoma miastami. Wśród innych atrakcji: **Raphael Rogiński** zaprezentuje premierowo swoje wersje utworów Tomasza Stańki, a Piotr Kurek wspólnie z Wilhelmem Sasnalem przedstawią program „Warszawa" poświęcony legendarnemu spacerowi Davida Bowiego na Żoliborz i jego muzycznym konsekwencjom. Na koniec – już raczej drogą lotniczą – festiwal przemieści się do Nowego Jorku i Londynu.

BCH

Szczegóły: unsound.pl

REKLAMA





Lalkomania

Kamila Urzędowska jako tytułowa „Lalka" i Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski, kadr z superprodukcji w reż. Macieja Kawalskiego. Film, jak liczą producenci, ma trafić do dziesiątki najchętniej oglądanych filmów po 1989 r.

Zamyka się tegoroczna odyseja „Lalek". Do serialowej adaptacji dołącza filmowa. Kto wygrał ten wyścig? I czy w ogóle można mówić o wyścigu?

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Trudno wyobrazić sobie bardziej ryzykowny eksperyment niż wypuszczenie w odstępie dwóch tygodni dwóch nowych ekranizacji „Lalki". Większość Polaków zna tę powieść z własnej lektury albo z historycznych ekranizacji Ryszarda Bera i Wojciecha Jerzego Hasa, które przez lata ustalały wyobrażenie o Wokulskim, Izabeli, Rzeckim i Warszawie końca XIX w. Każda nowa próba musi się mierzyć z tym bagażem.

eprasa.pl 59dca094ab

A jednak obecna lalkomania dowodzi, że książka nie tylko nie umarła pod ciężarem tradycji, ale właśnie teraz odzyskuje zaskakującą żywotność. Stała się pozycją, którą się ponownie reinterpretuje, przepisuje, przenosi na ekran i zamienia w popkulturowy kod. Przed kinową premierą superprodukcji Macieja Kawalskiego pojawiły się kolekcjonerskie wznowienia powieści oraz wydano m.in. książkę „Wokulski" autorstwa Bogumiła Wójcika dopisującą dalsze losy bohaterów. Są wystawy plenerowe i szeroko zakrojone marketingowe kampanie zachęcające do obejrzenia filmu w IMAX-ach. „Lalka" przestała być wyłącznie lekturą, a zaczęła funkcjonować jako żywy materiał do niekończących się debat oraz wojny kulturowej, podobnej do tej, której niedawno byliśmy świadkami w związku z premierą „Odysei" Nolana.

Orkiestra solistów

Widowisko Kawalskiego jest jednym z największych przedsięwzięć w historii polskiej kinematografii, z budżetem ok. 65–75 mln zł, co czyni je jednym z najdroższych polskich filmów kinowych. Co istotne, obyło się bez dotacji PISF, a ponad 90 proc. środków pochodzi od inwestorów prywatnych, partnerów oraz z tzw. wsparcia instytucjonalnego (m.in. MKiDN, TVN WBD, budżetów Warszawy i Mazowsza). Na podstawie setek stron dokumentacji historycznej uszyto, zbudowano od zera lub sprowadzono z hal mieszczących się we Francji, Hiszpanii i Niemczech praktycznie kompletny zestaw scenograficzny: od mebli i siodeł, po drobiazgi toaletowe i dziesiątki kostiumów. Przy realizacji projektu przewinęło się kilka tysięcy osób. Ekipa realizowała zdjęcia m.in. na zamkniętym dla ruchu Krakowskim Przedmieściu; zbudowała od podstaw sklep Wokulskiego oraz XIX-wieczną dzielnicę nędzy na Powiślu, a także zaaranżowała wyścigi konne i wystawne bale.

Na planie zgromadzono orkiestrę wybitnych solistów – ponad dwudziestkę najbardziej cenionych polskich aktorów reprezentujących cztery pokolenia, w tym Marcina Dorocińskiego, Kamilę Urzędowską, powracającego do kina Marka Kondrata (POLITYKA 39), Agatę Kuleszę, Marię Dębską, Maję Komorowską, Krystynę Jandę i Jana Englerta. Wyświetlany na co najmniej 600 ekranach film Kawalskiego ma się utrzymać na afiszu rekordowo długo, aż do grudnia, a liczbę sprzedanych biletów szacuje się na ponad 3 mln. Producenci liczą, że dzięki temu „Lalka" wskoczy do dziesiątki najchętniej oglądanych filmów po 1989 r. – na co ma ogromne szanse, tym bardziej że konkurent, czyli serialowa „Lalka", zderzył się z niespotykaną falą krytyki.

Poprawny, ale niepoprawny

Na Pawła Maślonę, twórcę progresywnego, sześcioodcinkowego serialu w duchu – jak kpiono – „Barbie" Grety Gerwig albo „Bridgertonów", wylał się hejt, jakiego dawno w polskim kinie nikt nie doświadczył. Nieliczne głosy zachwytu, że to arcydzieło, ginęły początkowo w nawale negatywnych ocen. Dziennikarz i pisarz Jerzy Sosnowski na gorąco w mediach społecznościowych uprzedzał, że: „Ktoś tu złapał za gruby flamaster", tworząc „ordynarny komiks", na dodatek „głupi i zideologizowany". „Gdybyż to jeszcze miało wdzięk (nie ma), wewnętrzną logikę (brak) albo zachwycało grą aktorską" – utyskiwał – i porównał eksperyment Maślony do niesławnej produkcji „Gierek". W komentarzach wielu przyznało mu rację. Sieć nie miała też litości dla chwalącej serial wąskiej grupy dziennikarzy. „Nie mam złudzeń, że zostali kupieni, by zachwycać się łopatologią" ogłosiła ambasadorka (sic!) jednej z „Lalek", suflując, że wersja Maślony to tania, prostacka, szkodliwa wręcz produkcja.

Obrońcy serialu wskazywali, że kultura wymaga ciągłego redefiniowania klasyki, a produkcja stanowi świeżą wersję „Lalki". Pochwały zbierało odważne ukazanie relacji klasowych (np. dramatyczny wątek służącej Marianny), uwzględnienie podmiotowości kobiet oraz odkłamanie ugrzecznionego obrazu dawnej arystokracji. Prof. Ryszard Koziołek zauważył, że serial działa jak „przypalenie rozżarzonym prętem", zmuszając widzów i uczniów do sięgnięcia po książkę Prusa, by sprawdzić, co naprawdę się w niej wydarzyło.

Paweł Maślona wraz z Pawłem Demirskim i Jagodą Dutkiewicz nie udają, że ich sześcioczęściowy serial jest politycznie poprawny. Od początku ujawniają szwy. Biorą z Prusa ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA



▶ konstrukcję bohaterów, konflikt klasowy, obsesję Wokulskiego, arystokratyczny świat Łęckich, pieniądze, pożądanie i społeczną frustrację, a następnie przepuszczają je przez współczesną wyobraźnię gatunkową. To strategia bezczelna, ale konsekwentna. Nie zakonserwowali Prusa. Sprawdzili jedynie, czy można z jego powieści wyjąć mechanizm i ponownie go uruchomić, ale na własnych warunkach. A widz odnosi wrażenie, jak gdyby znalazł się w dobrze mu znanym mieszkaniu i odkrył, że gospodarze przesunęli wszystkie ściany.

Trójkąt, ale inny

Maciej Kawalski wybrał drogę przeciwną. Jego film jest wierną adaptacją. O ile Maślona pyta, co jeszcze można zrobić z „Lalką", dla Kawalskiego ważne jest, co się stanie, jeśli przeczyta ją naprawdę uważnie. Największą niespodzianką okazuje się to, że nie powstał zachowawczy, nudny fresk, lecz imponująco świeży, dynamiczny, autoironiczny, atrakcyjnie i nowocześnie opowiedziany epicki film spełniający właściwie najbardziej wyżyłowane oczekiwania.

Kawalski nie musiał przepisywać fabuły, żeby ją uwspółcześnić. Wystarczyło, że zmienił punkt ciężkości. Zachowując tło z nierównościami klasowymi, z anachronizmami struktur społecznych, anatomią zdegenerowanej arystokracji i słabego mieszczaństwa, sercem filmu uczynił miłosny trójkąt między Wokulskim (Marcin Dorociński), Łęcką (Kamila Urzędowska) i jej przyjaciółką Kazimierą Wąsowską (Maria Dębska). Relacyjnie to sytuacja odwrotna niż w klasycznym melodramacie, gdzie dwie osoby walczą o uczucie trzeciej. Atmosferę mamy jak u Czechowa – zamiast operowych pojedynków otrzymujemy łańcuch nieodwzajemnionych uczuć: Wąsowska kocha Wokulskiego, Wokulski kocha Łęcką, a Łęcka romansuje ze Starskim. Zamiast ustawić „Lalkę" przede wszystkim jako wielką panoramę społeczną, Kawalski pozwala wejrzeć głęboko w dusze tych trojga. Ale nie jest to portret konwencjonalny, staroświecki, w stu procentach na serio. Warszawa jest ważna, arystokracja jest ważna, pieniądze są ważne, najważniejszy jednak jest dramat mężczyzny, który pomylił miłość z projektem własnego życia.

Dorociński gra człowieka tragicznie rozdartego. Jego Wokulski nie jest ani poczciwym idealistą, ani cynicznym kapitalistą. Jest jednym i drugim. Potrafi kalkulować, negocjować, zarabiać i rozpoznawać mechanizmy ekonomiczne, a jednocześnie podlega logice, która z ekonomią nie ma nic wspólnego. Chce budować przyszłość metodą faktów, lecz jego wyobraźnią rządzą romantyczne hasła: miłość, przeznaczenie, poświęcenie. Wokulski jest człowiekiem dwóch epok naraz. Jego przedsiębiorczość jest pozytywistyczna, ale energia, która ją napędza, ma często romantyczne źródło. Pieniądze mają mu zapewnić niezależność, zarazem stają się narzędziem zdobywania kobiety. Nauka fascynuje go jako możliwość przekroczenia ograniczeń, a miłość jako przekroczenie samego siebie.

Kamila Urzędowska w roli Izabeli nie gra tylko rozkapryszonej arystokratki. Jej Łęcka jest nieszczęśliwą kobietą zamkniętą w klatce konwenansów, pieniędzy, rodowego nazwiska, wymagań bliskich i oczekiwań społecznych. To istotna korekta tradycyjnego odczytania. Izabela jest uprzywilejowana, jednak to wcale nie oznacza pełni swobody. Może być piękna, pożądana, odgrywać rolę damy, ale jej życie sprawia wrażenie nieautentycznego, bo jest nieustannie reżyserowane przez innych. Kawalski jej nie wybiela. Izabela potrafi być chłodna, próżna, okrutna, ale nie chce być tylko pozycją na rachunku Wokulskiego. Zwykło się sądzić, że jej największą wadą jest nieumiejętność kochania. Tymczasem w filmie skazą jest co innego – niezdolność do rozpoznania tego, co Wokulski nazywa miłością. Być może Izabela nie potrafi odpowiedzieć na miłość Wokulskiego, ponieważ on sam w dużej mierze kocha nie ją, lecz jej wyidealizowany obraz?



Serialowa „Lalka" zderzyła się z niespotykaną falą krytyki. Obrońcy produkcji wskazują jednak, że kultura wymaga ciągłego redefiniowania klasyki. Na fot. **odtwórcy głównych ról: Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt.**

Rachunek się nie zgadza

Najbardziej świadomą, a przez to arcyciekawą postacią w tej grze pozorów i nietrafionych wyborów wydaje się pani Meliton, rewelacyjnie zagrana przez Agatę Kuleszę. Ona jedna potrafi rozbroić ten skorumpowany, patriarchalny system sarkastycznym humorem, a przy okazji czerpać z niego realne korzyści, lawirując między miotającymi się od ściany cynizmu do ściany idealizmu bohaterami.

eprasa.pl 59dca094ab



© MATERIAŁY PRASOWE

Właśnie dlatego kinowa „Lalka” przyciąga, intryguje i gwarantuje niesamowity ładunek przeżyć – nigdy nie przestaje krążyć wokół pytania, dlaczego człowiek tak inteligentny jak Wokulski pozwala, by kobieta, którą można uznać za przeciętną, stała się centrum jego istnienia.

W kwestii emancypacji Kawalski postępuje subtelniej niż Maślona. Nie dopisuje Izabeli współczesnej ideologii, lecz pokazuje ograniczenia jej świata od wewnątrz. Kobieta wychowana w określonym systemie społecznym nie ma takiego samego repertuaru wyborów jak Wokulski. On może wyjechać do Paryża, zarobić, handlować, udawać arystokratę. Ona może jedynie wyjść za właściwego człowieka.

Wokulski jest człowiekiem awansu. Wierzy, że praca, przedsiębiorczość, wiedza i talent pozwalają przekroczyć ograniczenia urodzenia. I odkrywa, że kapitalizm ma granice, których sam kapitał nie znosi. To doświadczenie jest współczesne aż do bólu. Dzisiejszy człowiek również może awansować ekonomicznie szybciej niż kulturowo. Może mieć pieniądze, ale nie posiadać kodu społecznego świata, do którego chce wejść. Może kupić przedmiot będący symbolem statusu, ale niekoniecznie uzyskać status, który ten przedmiot symbolizuje. Wokulski próbuje zamienić majątek w miłość, a miłość w przynależność. Obie „Lalki” pokazują, że rachunek ten nie może się zgadzać.

Szum wokół nowych ekranizacji nie jest przypadkowy. Widzowie przyszli po romans, gwiazdy, rozmach i rozpoznawalną historię, a dostali coś wartościowszego: opowieść o sobie. Maślona przystawił do Prusa zwierciadło krzywe, wywrotowe. Kawalski – lustro klasyczne, ale ustawione pod takim kątem, że widzimy w nim szczegóły, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. I może właśnie dlatego obie wersje zasługują na szacunek. Pokazują, że ta sama powieść może wytrzymać dwa przeciwstawne punkty widzenia. Największym zwycięzcą tego pojedynku nie jest szermujący prowokacją twórca „Kosa”. Ani Kawalski, który jako reżyser dokonał niebywałego skoku jakościowego od czasu swojego ekstrawaganckiego debiutu „Niebezpieczni dżentelmeni”. Jest nim Prus.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

GDAŃSK

INSIDE SEASIDE FESTIVAL '26

13 LISTOPADA
THE STREETS
JESSIE WARE
HERMANOS GUTIÉRREZ
HINDS
ŁĄKI ŁAN
VOO VOO
KATHIA
MELA KOTELUK
VARIÉTÉ
MARYSIA OSU
CIŚNIENIE
ACIDSITTER

14 LISTOPADA
KNEECAP
EDITORS
GOAT
MARUJA
ZALEWSKI
DOBRAWA CZOCHER
WALUŚKRAKSAKRYZYS
WIRASZKO
JAKUB SKORUPA
HAŃBA! HIOBA DYLANA
SNAKES SNAKES SNAKES
SPOIWO

GDAŃSK
13–14.11.2026
AMBEREXPO

sponsorzy tytularni scen:
ERGO HESTIA · ALIOR BANK · Energa GRUPA ORLEN
sponsorzy: ŻYWIEC
organizatorzy: RADIO 357 · LIVE.
patroni medialni: tvn · POLITYKA · onet · newonce · trojmiasto.pl · prestiż
partnerzy: amber expo · VISIT GDAŃSK
bilety: eventim

Pierwotna empatia

Utrwalony jest obraz brodatego prymitywnego jaskiniowca. Ale prawda była znacznie bardziej złożona – mówi Ulli Lust, autorka komiksu „Kobieta jako człowiek", poświęconego roli kobiet w społecznościach prehistorycznych.

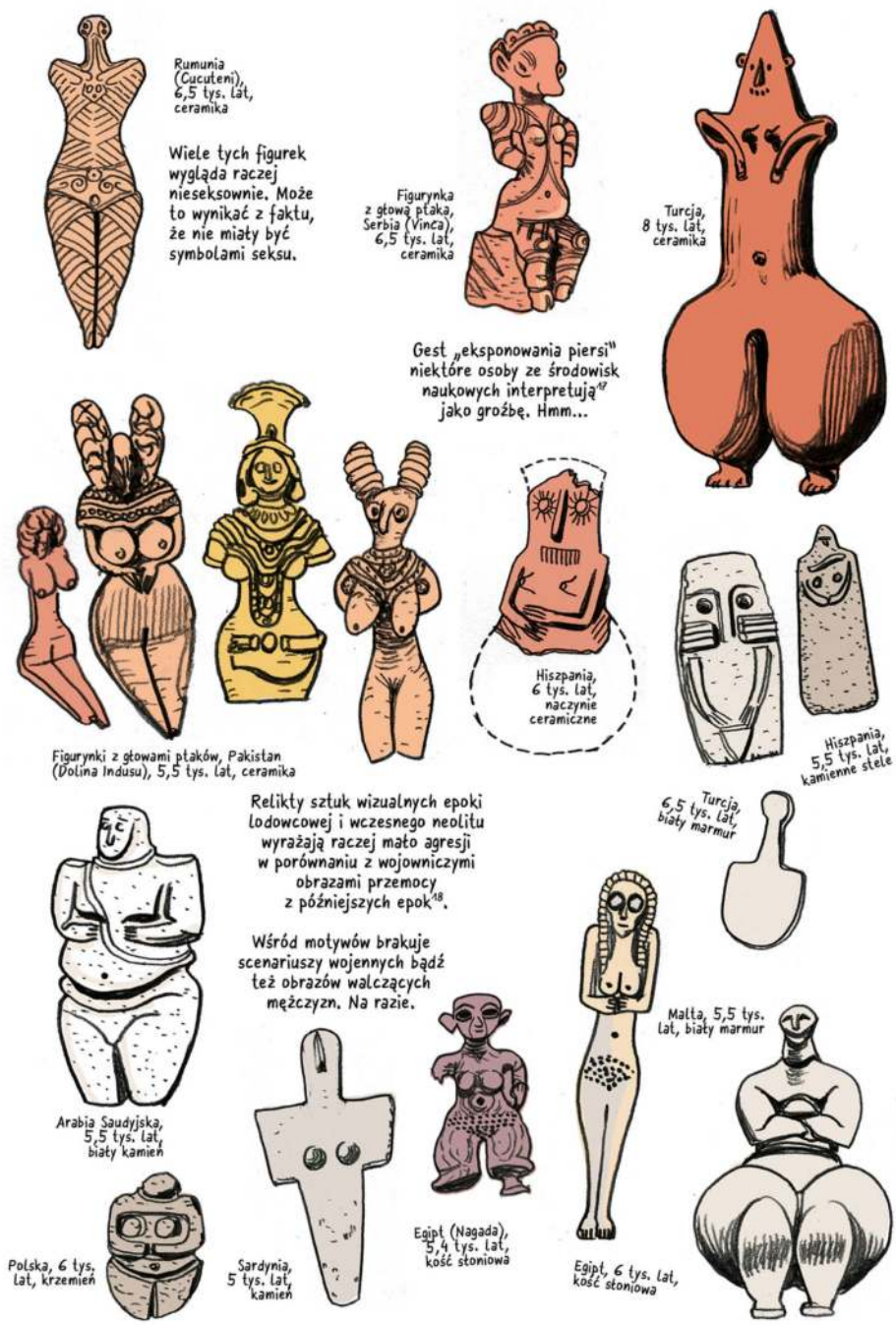

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Niedawno ze swojej strony internetowej zdjęła pani wszystkie swoje ilustracje i komiksy. Odwiedzający zobaczą tylko białą planszę z krótkim komunikatem. To protest przeciwko sztucznej inteligencji?**

ULLI LUST: – Tak. Zdecydowałam się na to, żeby nie oddawać swojej pracy algorytmom. To był radykalny ruch, zwłaszcza że przez wiele lat każdy mógł oglądać moje rysunki i czytać fragmenty komiksów, jednak teraz potrzebowałam resetu. Może powinnam zrobić nowy projekt, ale uznałam, że ukazało się już wystarczająco dużo moich książek, nie potrzebuję promocji aż tak bardzo, więc mogę trochę odpuścić internet. A i tak wystarczy przecież poszukać, żeby znaleźć w sieci moje prace.

Gest radykalny, ale wymowny. Choć zapewne skazany na klęskę, bo dawno wszyscy sprzedaliśmy się algorytmom.

Niestety tak, jednak wydaje mi się, że takie działania są potrzebne. Gdy Donald Trump wygrał po raz drugi wybory prezydenckie i zobaczyłam w telewizji stojące za nim marionetki z Doliny Krzemowej, chciałam porzucić media społecznościowe, lecz szybko przekonałam się, że bardzo trudno dziś działać choćby bez Instagrama. Bo to nie tylko uzależniający serwis, ale także sposób na utrzymanie kontaktu z fanami, wydawcami, dziennikarzami.

W czasach, gdy modele AI karmią się twórczością kradzioną artystom, pani nowa książka „Kobieta jako człowiek. U zarania dziejów" przypomina m.in., jak istotną rolę odgrywa sztuka tworzona przez ludzi. Dzięki artefaktom sprzed kilkunastu tysięcy lat jesteśmy w stanie choćby częściowo odtwarzać nie tylko warunki, w jakich żyło się w epoce lodowcowej, lecz również relacje i stosunki społeczne.

Sama historia badań sztuki prehistorycznej jest fascynującą dziedziną. W zależności od epoki na różne sposoby postrzegano i interpretowano znajdowane przez archeologów i paleontologów figurki. Przypisywano im różne znaczenia, spierano się o rolę sztuki w czasach prehistorycznych. Pracując nad „Kobietą jako człowiekiem", szukałam najnowszych odkryć, śledziłam bieżące dyskusje i analizy, bo nasz sposób postrzegania nie tylko sztuki, ale też społeczności epoki lodowcowej bardzo się zmienił. Choć w powszechnej wyobraźni wciąż funkcjonuje

eprasa.pl 59dca094ab

utrwalony obraz brodatego prymitywnego jaskiniowca.

Dlaczego tak bardzo zapadł nam w pamięć?

Myślę, że stało się to przede wszystkim za sprawą kultury masowej. To bardzo wyrazisty obraz, przemawia do wyobraźni: istota, która nie jest już małpą, a jednocześnie nie jest jeszcze człowiekiem. Nie mówię tu oczywiście o takich zjawiskach jak „Flintstonowie", bo to był bardzo fajny serial, w którym ten stereotypowy wizerunek jaskiniowca był raczej satyrą na współczesność. Ale taki sztampowy obraz małpoluda utrwalano przez długie lata w ilustracjach prasowych, karykaturach, bardzo prostym i banalnym rozumieniu darwinowskiej teorii ewolucji. Potem doszła do tego freudowska psychoanaliza, która do opowieści o prymitywnych mężczyznach zajmujących się polowaniem dołożyła jednowymiarową analizę wizerunku kobiety jako matki opiekunki. Rzeczywistość była zdecydowanie bardziej złożona.

Cytuje pani w swoim komiksie nawet prace Zdenka Buriana, czeskiego malarza, który zasłynął obrazami prehistorycznego życia.

Także w Austrii jego prace były bardzo znane. Zdeněk Burian był wspaniałym artystą, ale oczywiście malował, opierając się na dostępnych mu badaniach archeologicznych i paleontologicznych, w zgodzie z ówczesnym stanem wiedzy.

Te utrwalone mity to pokłosie XIX-wiecznej nauki, w której dominował punkt widzenia białego zamożnego Europejczyka?

Oczywiście. Interpretacja prehistorycznej sztuki była odbiciem ówczesnych obyczajów, religijnych uprzedzeń i lęków, stąd tendencja do umniejszania i jednostronnego przedstawiania roli kobiet w prehistorycznych społecznościach. Kobiety nie zajmowały się nauką, często nie mogły studiować, ich głos był po prostu ignorowany.

Pani komiks opowiada również o zmianie tej perspektywy. Kiedy ona nastąpiła?

Na dobre w drugiej połowie XX w., szczególnie po wojnie, kiedy głos wielu naukowczyń został wreszcie wysłuchany. Do dyskusji o przeszłości dopuszczono również wielu badaczy i wiele badaczek z różnych kręgów kulturowych – dzięki temu nasza perspektywa bardzo wyraźnie się poszerzyła. Oprócz tego bardzo istotne okazały się rozwój technologiczny i badania DNA, które znacząco zwiększyły naszą wiedzę nie tylko na temat pochodzenia i migracji społeczności, lecz także panujących w nich relacji. Te badania często przypominają współczesną kryminalistykę: analizuje się najdrobniejsze cząstki, na podstawie wyników można wyciągnąć często rewolucyjne wnioski. Na przykład teraz mamy dowody, że w społecznościach prehistorycznych nie było hierarchiczności, osób mniej lub bardziej uprzywilejowanych, przynajmniej jeśli chodzi o dostęp do żywności. Badania DNA wykazały też, że niektóre ze szkieletów, które ze względu na atletyczną budowę ciała były uważane za szczątki mężczyzn, należały jednak do kobiet, co dowodzi, że także one mogły zajmować się chociażby polowaniami.

Przytacza pani badania, że tylko ok. 10 proc. odnalezionych paleolitycznych dzieł sztuki, w szczególności ▶



Ulli Lust (ur. 1967 r.) – austriacka rysowniczka i scenarzystka komiksowa, profesorka Uniwersytetu Nauk Stosowanych i Sztuki w Hanowerze. Za komiks „Kobieta jako człowiek" otrzymała w 2025 r. Deutsche Sachbuchpreis, prestiżową nagrodę dla autorów literatury faktu. Polskie wydanie albumu ukazało się nakładem wydawnictwa Kultura Gniewu w przekładzie Małgorzaty Słabickiej-Turpeinen. 3 października Ulli Lust spotka się z czytelniczkami i czytelnikami w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

© MATERIAŁY PRASOWE, KAI PFEIFFER

REKLAMA



eprasa.pl 59dca094ab

figurek, to bez wątpienia wizerunki mężczyzn. Reszta to postaci kobiece, choć w masowej wyobraźni sprowadzone do kilku artefaktów w rodzaju Wenus z Willendorfu.

Rola kobiet zawsze była umniejszana, przyzwyczaiłyśmy się do tego. Do tej pory dominowała narracja, w której kobieta prehistoryczna kojarzona była z płodnością i rozmnażaniem. To bardzo ważne zagadnienia, ale pomijano w tej opowieści inne aspekty. Kobiety wtedy mogły pełnić funkcje przywódcze, tworzyć sztukę, polować. Te figurki postrzega się często jako symbole seksualne, ale to znów perspektywa współczesna. Przecież nagość nie była wtedy tabu. Ludzie okrywali swoje ciała, chroniąc się przed zimnem, a nie ze względu na wstyd. Ubrane kobiece postaci pojawiają się masowo dopiero w sztuce antycznej Grecji.

Jednym z mitów, które pani próbuje obalić, jest przekonanie, że prehistoryczne społeczności toczyły ze sobą nieustającą walkę.

To jedno z przekonań, które wynikają z wczesnego rozumienia darwinizmu: walka i konkurencja jako element przystosowania do rzeczywistości; przetrwanie najsilniejszych. Tymczasem życie wtedy było wystarczająco niebezpieczne – niewielu ludzi, za to wiele bardzo groźnych zwierząt. Logika wskazuje, że skoro żyjemy w otoczeniu drapieżników, to innych ludzi powinniśmy postrzegać raczej jako partnerów. Rozwój człowieka nie byłby możliwy bez empatii; ostatecznie to homo sapiens zyskał ewolucyjną przewagę, a nie szympansy czy goryle, u których więzi społeczne są słabsze i opierają się na ciągłej rywalizacji. Takie podejście nie jest jeszcze powszechne, ale warto pamiętać, że rozwój rodzaju ludzkiego to przede wszystkim współpraca, a nie ciągła walka.

Pod koniec lat 90. publikowała pani serię krótkich komiksów „Spring Poems", które były inspirowane m.in. sztuką prehistoryczną i antyczną. Skąd wzięło się to zainteresowanie?

Początkowo z książek niemieckiego antropologa Hansa Petera Duerra, który zajmował się m.in. kulturowym rozwojem cywilizacji. Dzięki niemu zainteresowałam się sumeryjskimi rytuałami, podczas których kapłanki uprawiały seks z kapłanami i władcami, a to było ważną częścią ówczesnej kultury. Byłam wtedy młodą autorką i sam pomysł, że seks i erotyka są normalnymi elementami społecznych

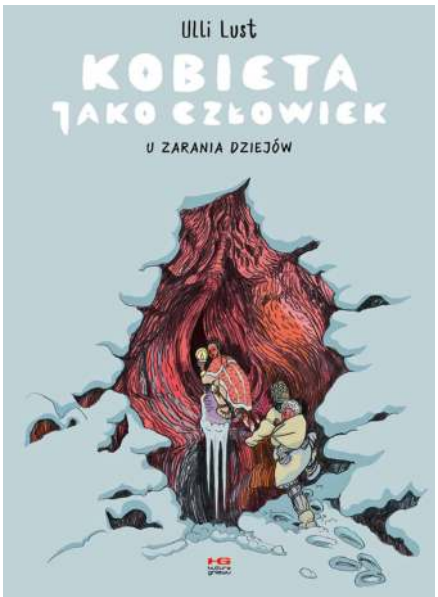

Komiks, a w zasadzie: monumentalne dzieło non-fiction

interakcji, a nie czymś prywatnym i wstydliwym, wydawał mi się odświeżający, więc zrobiłam na ten temat komiks, częściowo inspirowany także sztuką starożytnej Mezopotamii.

Później czytałam coraz więcej na temat roli kobiet w społeczeństwach starożytnych, m.in. prace wybitnej amerykańsko-litewskiej badaczki kultury neolitycznej Mariji Gimbutas. Im bardziej zgłębiałam temat, tym mocniej interesowała mnie sztuka prehistoryczna, malowidła naskalne, przede wszystkim zaś znajdowane w różnych częściach świata figurki. Szczególnie interesujące wydawało mi się to, jak zmieniał się sposób przedstawiania kobiet. O ile sztuka starożytna prezentowała kobiety młode, często boginie, jak mezopotamska Isztar, o tyle figurki prehistoryczne wydawały się wizerunkami kobiet starszych, matek, przywódczyń.

W końcu zdecydowała się pani opowiedzieć o pierwszych formach sztuki.

Tak, ale żeby osiągnąć ten cel, musiałam też przyjrzeć się, kim byli ci ludzie, skąd pochodzili. Dlatego „Kobieta jako człowiek" to także opowieść o ewolucji i aspektach biologicznych rozwoju gatunku ludzkiego, w tym naszych najbliższych krewnych, zwłaszcza szympansów i bonobo. A wspomniane spojrzenie na empatię jako jeden z ewolucyjnych warunków rozwoju człowieka pomogło mi uporządkować to, co chciałam powiedzieć w książce. Empatia, współpraca i współczucie są wciąż postrzegane jako „miękkie", kobiece cechy – a przecież powinny być uniwersalne. Niestety, żyjemy w czasach, w których ludzie pokroju Elona Muska mówią wprost, że empatia to słabość.

Co w takim sposobie opowiadania o przeszłości daje pani komiks jako forma sztuki?

Zawsze interesowało mnie poszerzanie formuły komiksu, badanie, jakie daje możliwości jako medium. Robiłam komiksy reporterskie: zbierałam informacje na dany temat, a później zamieniałam je na tekst i obrazy. Również w przypadku twórczości autobiograficznej skupiałam się na aspekcie dokumentalnym, a nie na podejściu typu: „To moja historia, muszę ją opowiedzieć". Komiks non-fiction o epoce lodowcowej to dla mnie kolejny eksperyment.

„Kobieta jako człowiek" to imponująca synteza wiedzy. Jak długo pracowała pani nad tym komiksem?

Sześć lat nad obiema częściami, bo kiedy ukazał się pierwszy tom „U zarania dziejów", drugi był gotowy mniej więcej w 70 proc. (w języku niemieckim drugi tom ukazał się w lutym bieżącego roku – przyp. red.). Praca trwała tak długo nie tylko z powodu researchu naukowego, bo ten miałam w jakimś stopniu przygotowany już wcześniej. Ale dlatego, że wraz z rozwojem scenariusza poznawałam mnóstwo szczegółów, które zmieniały moją perspektywę, a to sprawiało, że narracja skręcała czasami w nieprzewidzianych kierunkach. W drugiej części opowiadam m.in. historię Wenus z Willendorfu, ale znaczącą rolę odgrywają tu również mitologia i pytania, jaki światopogląd mogli mieć ludzie epoki lodowcowej. To istotne dlatego, że znaczna część sztuki tamtych czasów powstawała prawdopodobnie w kontekście rytualnym i religijnym, a nie tylko jako coś świeckiego. Znajdowane przez archeologów artefakty są tak rzadkie i tak dobrze wykonane, że musiały być czymś więcej niż zabawą, przejawem twórczej ekspresji. Drugi tom skupia się więc bardziej na tym, co mogli myśleć prehistoryczni ludzie i w jaki sposób ich wizja świata różniła się od tego, jak my dziś postrzegamy rzeczywistość. Przekonanie o istnieniu duchów, innego, równoległego świata oraz komunikacji między zwierzętami a ludźmi – wszystkie te dziwne zjawiska można zaobserwować w społecznościach łowiecko-zbierackich, a także w najstarszych zachowanych dziełach literackich. Bardzo chciałam o tym opowiedzieć.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 59dca094ab



© BARTOSZ MROZOWSKI

Historia za ścianą

Źródłem inspiracji polskiego kina są wciąż prawdziwe historie. Biografia Kuroniów okazała się niewykorzystaną szansą, w Gdyni wygrało „Przez ścianę" Macieja Sobieszczańskiego, kameralne i autentyczne.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Pod nieobecność „Lalki" Macieja Kawalskiego (film nie został ukończony w porę, by móc być zgłoszonym do konkursu) większość nagród na krajowym festiwalu zgarnęły wyrafinowane intelektualnie i znane już z ekranów międzynarodowe koprodukcje Pawła Pawlikowskiego, Jana Komasy i Agnieszki Smoczyńskiej. Złotymi Lwami uhonorowano jednak minimalistyczny, czarno-biały dramat Macieja Sobieszczańskiego „Przez ścianę".

Sobieszczański przywiózł na Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni ascetyczny, precyzyjnie skonstruowany, niemal metafizyczny film o nadziei i narodzinach irracjonalnej miłości. O ludziach, którzy się zakochują, nie znając swoich twarzy ani głosów. Punktem wyjścia jest autentyczna historia studentki medycyny Wiesławy Pajdak i Jerzego Śmiechowskiego, młodego działacza antykomunistycznego podziemia, osadzonych w 1947 r. na Rakowieckiej w sąsiadujących celach. Przez lata pobytu w więzieniu ich jedynym łącznikiem był alfabet Morse'a. Stukając do siebie przez ścianę, najpierw zaspokajali potrzebę kontaktu, oswajali samotność, a z czasem nawiązywały się między nimi bliskość i gorące uczucie. Zobaczyli się po raz pierwszy dopiero po sześciu latach, podczas własnego ślubu zaaranżowanego za kratami.

„Przez ścianę" wywołało zachwyt zarówno niezwykłą, prawdziwą historią, jak i bezkompromisową formą realizacji, dzięki której nie czuje się wymuszonego sentymentalizmu, nie ma wyciskania łez na siłę. Plastyczne, czarno-białe kadry Jolanty Dylewskiej (wyróżnienie za zdjęcia) podkreślają osamotnienie, udrękę, niegasnącą nadzieję. A film celowo zwalnia tempo, zmuszając do dostrojenia się do więziennej codzienności.

Sobieszczański podjął odważną decyzję, by prowadzić narrację niemal wyłącznie z perspektywy zamkniętej w celi głównej bohaterki. Powściągliwa rola Marii Dębskiej została okrzyknięta „koncertem jednej aktorki". Jednak jury pod przewodnictwem Krzysztofa Zanussiego uznało, że na nagrodę aktorską bardziej zasłużyła Jaśmina Polak, brawurowo wcielająca się w stale wątpiącą w siebie początkującą tancerkę w świetnie przyjętym debiucie „EXOTIC".

Choć pojawiły się głosy, że „Przez ścianę" to kopia kina Pawła Pawlikowskiego, niezwykłe i wyjątkowe w tym obrazie wydaje się to, że nie jest to stereotypowy film rozrachunkowy. Miłość po drugiej stronie muru rodzi się tu wyłącznie z samej nadziei odnalezienia bratniej duszy, z czystej woli poszukiwania dobra ▶

eprasa.pl 59dca094ab

▶ – z wiary i niezłomności. W świecie cyfrowej nadkomunikacji historia osób, które budują więź za pomocą stukania w mur, brzmi niemal abstrakcyjnie, niczym żart. A jednak w czasach tiktokowego pośpiechu, krótkotrwałych, przelotnych związków, seksu z Tindera ten film zaspokaja potrzebę zanurzenia w świecie prawdziwych wartości. Przekonuje, że mimo podłych okoliczności można ocalić w człowieku światło, a nawet anielskość.

Lęki i terapie

Srebrne Lwy dość niespodziewanie trafiły w ręce kuratora sztuki i reżysera Łukasza Rondudy oraz producentki Natalii Grzegorzek. Ronduda konsekwentnie zajmuje się w kinie analizowaniem styku prywatności i kreacji artystycznej. Trzy lata temu wyjechał z Gdyni jako zwycięzca, zadziwiając kontrowersyjną odsłoną biografii Daniela Rycharskiego („Wszystkie nasze strachy"). Tym razem w dramacie poświęconym bardzo młodym artystom „Powiedz mi, co czujesz" przyjrzał się współczesnym relacjom miłosnym i podziałom społeczno-klasowym przełożonym na język sztuki.

Jego film to swego rodzaju społeczno-polityczny sejsmograf, portretujący ludzi, którzy zmagają się z własną tożsamością, pochodzeniem i lękiem przed intymnością w świecie ukształtowanym przez rynkową rywalizację, status i pozory. Pyta, jak osobiste traumy i doświadczenia wyniesione z domu stają się materią twórczą, a sama sztuka i relacja mogą służyć jako przestrzeń do prób zbudowania zdrowego związku.

Nowe i odkrywcze w nurcie kina autorskiego zajmującego się niepokojami pokolenia Z, do którego oprócz Rondudy można zaliczyć wiele ciekawych debiutów w tym wspomniany „EXOTIC" Sonji Orlewicz-Zakrzewskiej i bardzo udane „Fluidy" Marii Wider, wydaje się redefiniowanie lęku przed prawdziwą bliskością, zranieniem oraz towarzysząca temu niespotykana wcześniej odwaga do otwartego rozmawiania o emocjach, ujawniania wrażliwości oraz stawiania granic psychicznego bezpieczeństwa. Ronduda portretuje generację określaną mianem „terapiar" i „sad boyów". Z kolei Orlewicz-Zakrzewska koncentruje się na grupie dziewczyn uprawiających pole dance, szukających w tańcu na rurze drogi do samoakceptacji.

Nie ukrywają głębokich pęknięć klasowych: zestawiają środowiska zamożnych warszawskich domów z osobami z wiejskim pochodzeniem, pokazując, jak diametralnie różny kapitał ekonomiczny oraz emocjonalny wnoszą oni w dorosłość. Kluczową rolę w tym procesie gra kultura terapeutyczna. Z jednej strony daje im narzędzia do nazywania uczuć, przepracowywania przeszłości i odnajdywania autoterapeutycznego wymiaru w sztuce. Z drugiej – jak w „Dobrym chłopcu" Jana Komasy (zasłużone laury za scenariusz, montaż, główną rolę męską), także sama terapia czy też szerzej sposób edukacji zostają zdiagnozowane i zakwestionowane, bo – jak powiada reżyser – „czasami łańcuch jest miłością, a miłość łańcuchem".

Spory o Kuronia

Jedna trzecia z 16 konkursowych tytułów poświęcona była prześwietlaniu życiorysów legendarnych postaci popkultury i polityki. Teoretycznie ma to służyć poszukiwaniu w niedawnej przeszłości punktów stycznych z naszymi czasami, by lepiej zrozumieć to, co było, i to, co jest. W praktyce rzadko biopiki osiągają poziom arcydzieła, jak nagrodzona za reżyserię i scenografię „Ojczyzna" Pawlikowskiego, która magnetyzuje m.in. dlatego, że nie mieści się w sztywnych ramach gatunkowych.

Niewykorzystaną szansą na epickie rozliczenie z komuną okazała się niestety „Nasza rewolucja". Jedna z najbardziej wyczekiwanych produkcji o Grażynie i Jacku Kuroniach poświęcona jest głównie ostatniemu etapowi ich wspólnej walki o wolną Polskę – od narodzin Solidarności po internowanie i zdiagnozowanie nieuleczalnej choroby u Gajki. Jednak wbrew temu, co sugeruje tytuł, nie jest to szeroko zakrojona panorama polityczno-historycznych zawiłości tamtego czasu. Tematem filmu jest prywatność, wewnętrzna relacja najsłynniejszego małżeństwa opozycji, której nie była w stanie zakłócić i zniszczyć totalitarna władza.

Gajka i Jacek byli parą niezwykłą. Przeżyli ze sobą 27 lat, z czego siedem Jacek przesiedział za kratami. Zawsze był wciąż albo przed albo po zamknięciu. W dodatku, kiedy akurat nie siedział, też z rzadka bywał w domu. A kiedy już był, to nie sam, bo zawsze ktoś przychodził. On zawsze w ogniu, zabiegany. Ona żyła w zgodzie ze sobą, jednocześnie podporządkowana jemu. Cicha, wspierająca, okazująca otwarcie uczucia, oprócz pracy w przychodni zawodowo-pedagogicznej jako państwowy psycholog, zajmowała się ich synem Maćkiem, gotowała, organizowała im życie. Mimo prześladowań, inwigilacji, podsłuchów Kuroniom udało się zachować uczucia i ideały. Tworzyli związek trudny, pełen bólu, cierpienia, tęsknoty, ale piękny. Wiadomo, że Gajka była największą miłością Jacka, a on był największą miłością i życiem Gajki. Co „Nasza rewolucja" stara się z rozmachem przedstawić, niestety czyni to w mało przekonujący i niepogłębiony sposób.

Mimo przyzwoitej gry aktorskiej między Arkadiuszem Jakubikiem (Jacek Kuroń) i Magdą Popławską (Gajka) trudno dostrzec chemię. W naturalności mówienia czy chłopięcym sposobie zachowania aktora niełatwo jest też sobie wyobrazić prawdziwego Kuronia. W ich ekranowym związku więcej widać naiwnego romantyzmu niż świadomej determinacji, partnerstwa, poczucia wybrania czy (nawet) maczyzmu Jacka. Za to za rolę Marka Edelmana Jacek Koman otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora drugoplanowego.

Zapewne „Nasza rewolucja" przyciągnie młodą widownię jako materiał pomocniczy na lekcjach historii, ale porywającym widowiskiem nie jest. W środowisku natomiast zostanie zapamiętana jako dziwny przypadek wojny między producentem a scenarzystą, skutkującej wycofaniem nazwiska Macieja Pisuka z napisów czołowych filmu.

Pisuk, który zapoczątkował projekt i w 2019 r. podpisał umowę z producentem Robertem Kijakiem (prezesem Next Film wchodzącej w skład grupy Agora), uznał, że kolejne wersje scenariusza powstające po dołączeniu do projektu reżysera Piotra Domalewskiego, sprowadziły wielowymiarową opowieść polityczno-społeczną o opozycji PRL do schematycznej, popkulturowej dramy. Jego zdaniem nie należało usuwać niuansów dotyczących myśli politycznej Kuronia oraz uproszczać okoliczności funkcjonowania KOR. Pisuk skarżył się także na rażące błędy umniejszające i banalizujące rolę Grażyny (Gajki), co uderzało w prawdę historyczną.

W reakcji na te zarzuty Kijak w obszernym oświadczeniu bronił się, że Next Film nabył pełne i wyłączne prawa majątkowe do scenariusza, a Pisuk zażądał wycofania nazwiska, zanim zapoznał się z ostatecznym kształtem dzieła, odrzucając zaproszenie na zamknięty pokaz gotowego filmu.

Afera stała się pretekstem do środowiskowej dyskusji na temat powracającego w polskim przemyśle filmowym modelu,

eprasa.pl 59dca094ab

w którym scenarzysta po przekazaniu praw majątkowych traci wszelki wpływ na integralność swojego dzieła i bywa sprowadzany do roli dostarczyciela „surowca". Gildia Scenarzystów Polskich poparła Pisuka, zwracając uwagę, że praktyka uzależniania zgody na wycofanie nazwiska lub zwrot praw autorskich do pierwotnych wersji od oceny gotowego filmu (kolaudacji) narusza autorskie prawa osobiste oraz standardy etyki zawodowej.

Sprawa uderzyła w powszechne w polskim kinie praktyki marginalizacji roli scenarzysty, blokowania niezależności jego głosu, naruszania swobody dysponowania własnym dorobkiem. Po przekazaniu praw majątkowych scenarzysta zostaje w zasadzie odcięty od procesu twórczego, a producent wraz z reżyserem mogą dowolnie modyfikować tekst bez poszanowania praw osobistych autora i jego reputacji zawodowej.

O problemach na linii artyści–producenci czy też filmowcy–PISF głośno, ale bez udziału kamer i mikrofonów, dyskutowano w kuluarach. Przewijającym się wątkiem był spadek frekwencji na polskich filmach w kinach, dominowały jednak obawy, że w przyszłym roku nie będzie już tak dobrze jak w tym, gdyż – głównie z powodu opieszałości i bałaganu panującego w PISF – liczba realizowanych projektów drastycznie spadnie.

Rodzina jako problem

Niezłą ilustracją trudności, jakie napotykają obecnie twórcy, był drugi bardzo oczekiwany film głównego konkursu: „Violetta Villas" Karoliny Bielawskiej z niesamowitą rolą Sandry Drzymalskiej. Materiał wydawał się wręcz nieprzyzwoicie widowiskowy. Villas naprawdę była fenomenem: osobowością, która przekraczała granice obyczajowe i polityczną poprawność, zrobiła międzynarodową karierę i występowała w Las Vegas obok największych amerykańskich gwiazd. Talent na miarę Marii Callas z czterooktawową skalą głosu w kraju został okrzyknięty królową kiczu i zniszczony na skutek bezinteresownej zawiści. Wyśmiewana i odepchnięta przez środowisko Villas pod koniec życia popadła w dewocję, uzależniła się od leków, stała się świętą od ratowania psów i kotów, była wykorzystywana i okradana. To gotowa bajka o Kopciuszku zamieniająca się w horror.

Sama reżyserka widziała w jej historii opowieść o wolności, cenie sukcesu, uzależnieniu i stopniowym uwięzieniu we własnym wizerunku. Niewiele z tego na ekranie udało się zawrzeć. Zamiast wielkiej opowieści o jednej z najbardziej osobliwych karier polskiej popkultury otrzymujemy banalną historię o tym, jak syn (nie) radzi sobie z mamą artystką. Skończyło się na nagrodzie za najlepszą charakteryzację (Anne Cathrine Sauerberg, Thomas Foldberg, Agnieszka Józefina Sasim, Aneta Brzozowska).

Właścicielem znaku towarowego „Violetta Villas" i praw do jej wizerunku jest Krzysztof Gospodarek, syn śpiewaczki, bez którego zgody żaden film na temat jego matki nie powstanie. Gospodarek został więc konsultantem i dostarczycielem materiałów do scenariusza, a jego żona Małgorzata współtworzyła scenariusz z Bielawską; sam Gospodarek był także producentem filmu. Trudno oczywiście wyobrazić sobie tak intymną historię bez udziału bliskich. Jednak potrzebny byłby w scenariuszu drugi, mocniejszy punkt widzenia, nie tylko sugerujący, że SB zniszczyła Villas.

„Mniej obcy" (reż. Kristoffer Rus), poświęcony liderowi Lady Pank, cierpi na innego rodzaju dolegliwość. Tutaj nie ma nawet obietnicy odkrycia wielkiej tajemnicy. Historia Jana Borysewicza zostaje sprowadzona do wariantu dobrze znanej rockowej przypowieści: biedne dzieciństwo, bunt, gitara, sukces, alkohol, narkotyki, upadek i próba podniesienia się z dna. Nawet forma rozmowy z Bogiem, którą przyjmuje film, mogłaby być interesująca. Borysewicz rozlicza Boga z cierpienia matki, ojca, rodzinnych tragedii, przemocy i własnych uzależnień. Zamiast jednak otworzyć szczelinę w psychice bohatera, narracja zamyka ją w zestawie gotowych odpowiedzi. Najbardziej gorzkie jest to, że film o urodzonym buntowniku i prowokatorze, którego muzyka przez dziesięciolecia była wyrazem ambiwalencji i niepokoju, sam nie toleruje ambiwalencji.

Szczęśliwie nie brakowało na festiwalu twórców, którzy nie bali się eksperymentować, jak Agnieszka Smoczyńska, autorka najbardziej odjechanego projektu „Hot Spot", słusznie nagrodzona m.in. Złotym Pazurem. Nawet jeśli efekty jej odwagi mocno polaryzują widownię, dzięki takim filmom polskie kino może się rozwijać.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

TEATR ŚLĄSKI im. St. Wyspiańskiego
KATOWICE dla odmiany
KATOWICE Miasto Ogrodów Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

23. INTERPRETACJE
Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej Katowice 2026

Prawda jest pomiędzy

17–26.10.2026
festiwal-interpretacje.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Województwo Śląskie
Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego

eprasa.pl 59dca094ab

Teatr wojny

Spektakle teatralne pod bombami? Tak na totalną wojnę prowadzoną przez Rosję przeciwko Ukrainie odpowiadają wolni ludzie.

EDWIN BENDYK Z KIJOWA I CHARKOWA



Syreny w Kijowie wyją co chwila, wraz z nimi rozlega się odgłos pracującej obrony przeciwlotniczej, co jakiś czas słychać wybuchy. Miasto jednak żyje, a teatr gra – jesienny sezon otworzyła premiera „Kass-Andry"(oryg. „ΚΑΣΣ_ΑΝΔΡΑ") w reż. Grzegorza Jarzyny. Kijowska publiczność przyjęła sztukę owacjami, entuzjazmu nie zgasił nawet alarm, który przerwał spektakl na kilkadziesiąt minut.

Grzegorz Jarzyna wspomina, że gdy dwa lata temu rozpoczynał pracę nad spektaklem w Narodowym Akademickim Teatrze Dramatycznym im. Łesi Ukrainki, największe wrażenie robiły na nim blackouty – wyłączenia elektryczności, pogrążające miasto w ciemnościach. – *Wychodziliśmy wieczorem na ciemną ulicę, słychać było tylko terkot generatorów zasilających sklepiki. Oświetlone były jedynie gmachy rządowe. I teatry, grające przy pełnych widowniach. Ciemne wielkie miasto wyglądało okropnie. I jednocześnie czuć było siłę i znaczenie kultury, zwłaszcza takich form jak teatr, odwołujących się do najbardziej antycznych, starogreckich form komunikacji polegających na bliskim byciu z sobą* – opowiada.

Wizyta pod bombami w kijowskim teatrze to szczególne doświadczenie. Okrycia należy mieć ze sobą, nawet zimą – nigdy nie wiadomo, kiedy alarm przerwie przedstawienie. W lutym br. w Teatrze Narodowym im. Iwana Franki oglądałem „Rodzinę Kajdaszów" według Iwana Neczuj-Łewyckiego, inscenizację ukraińskiej klasyki. W tym czasie 600 tys. mieszkańców pozbawionych było ciepła, a pozostali pokazywali, że da się żyć, gdy temperatura w mieszkaniu nie spadła poniżej 10 stopni. Wielka widownia na 800 osób wypełniła się do ostatniego miejsca. Kiedy rozległ się alarm, wszyscy

eprasa.pl 59dca094ab





„Kass-Andra" w reż. Grzegorza Jarzyny. Na scenie m.in. Olha Holdys, Oleksandr Yatsentyuk i Nataliia Kobizka (także na pierwszym planie na fot. po lewej).

spokojnie wyszli na 20-stopniowy mróz szukać schronienia. Po odwołaniu zagrożenia wrócili i obejrzeli sztukę do końca, nagradzając aktorów owacją na stojąco. Podobnie podczas „Kass-Andry".

Wojna stała się częścią codziennego repertuaru ukraińskich miast, a więc także i teatrów. Jewhen Hołowacha, dyrektor Instytutu Socjologii Ukraińskiej Akademii Nauk, tłumaczy, że tego typu zachowania, jak udział w wydarzeniach kulturalnych, biesiadowanie w restauracjach czy wizyty w klubach są wyrazem walki z normalizacją wojny – społeczną zgodą, że wojna i jej okropieństwa są czymś zwyczajnym, uzasadniającym zawieszenie społecznych norm czasu pokoju na podobnej zasadzie jak reżim stanu wojennego zawiesza część praw obywatelskich.

Balans życia i wojny

Wyrazem tej niezgody jest wpisanie ograniczeń narzucanych przez wojnę w życiową praktykę w taki sposób, by w jak najmniejszym stopniu ograniczała możliwość normalnego życia. Przybysz z sytej, spokojnej Warszawy będzie więc zaskoczony, że w letni piątkowy wieczór na Wale Jarosława w Kijowie lub na Sumskiej w Charkowie knajpiane życie nie różni się od warszawskiego. A w teatrze, mimo że trzeba pod pachą trzymać płaszcz, do bufetów stoją długie kolejki po nieśmiertelne buterbrody (kanapki) z łososiem, salami lub z kawiorem pod kieliszek koniaku.

To tak wygląda totalna wojna? Tak na totalną wojnę prowadzoną przez Rosję odpowiadają wolni ludzie. Wiedzą, że być może oglądają ostatni w życiu spektakl lub piją ostatni kieliszek koniaku. Jurko Stecyk, artysta, harcerz i żołnierz, już na początku wojny nazwał tę kondycję: *war-life balance*. Cała sztuka polega na tym, żeby w balansowaniu górę brało życie. I tak jest w Ukrainie. Mimo bombardowań, z uderzeniami nawet w historyczne centrum miasta, Kijowianie nie utracili ducha.

Na początku września Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii zapytał Ukraińców, co należy robić wobec nadchodzącej zimy i świadomości, że znowu będzie ciężko. Walczyć czy negocjować nawet za cenę kompromisów? Wynik średni: 77 proc. chce walczyć, w Kijowie takiego zdania jest 83 proc. mieszkańców. Na pytanie: „Jak długo gotowi są znosić trudy wojny?" 69 proc. Ukraińców odpowiedziało, że tak długo, jak trzeba. W kwietniu ten odsetek wynosił 61 proc.

Sceny pod ziemią

Ważną rolę w utrzymywaniu ducha odgrywa żywotność praktyk kulturowych. Teatry są pełne nawet w takich miastach, jak Charków, gdzie ze względów bezpieczeństwa grać trzeba na scenach zorganizowanych pod ziemią. Tak właśnie wyglądał wrześniowy dwutygodniowy festiwal muzyczno-teatralny „Schid Opera Fest 2026". Do miasta odległego zaledwie 30 km od linii frontu ściągnęło 18 teatrów z 11 miast; wystąpiło 900 artystów, ▶

© JULIA WEBER, KATERYNA TUNIK

eprasa.pl 59dca094ab

▶ na żywo w 38 festiwalowych wydarzeniach uczestniczyło 12 tys. widzów, wielokrotnie więcej oglądało go online.

Festiwal istnieje od 2015 r. i trwa, bo Charków to miasto Łesia Kurbasa, wielkiego reformatora i modernizatora ukraińskiego teatru w latach 20. XX stulecia. Kurbas jest odkrywany na nowo, bo zgodnie z zamiarem Stalina on i inni przedstawiciele ukraińskiego kulturalnego renesansu mieli zniknąć na zawsze. Kurbas wraz z dziesiątkami innych twórców został zamordowany w 1937 r. w łagrze w Sandarmochu podczas tzw. jubileuszowej egzekucji dokonanej dla uczczenia 20. rocznicy rewolucji bolszewickiej. Jerzy Giedroyc nazwał to niezwykłe zjawisko i jego bohaterów mianem „Rozstrzelanego odrodzenia".

Charków nie tylko przywraca ich do życia. Jednocześnie mierzyć się musi z tragicznym powrotem historii i ponowną próbą wymazania ukraińskiej kultury przez rosyjskie imperium. 30 sierpnia 2024 r. podczas ataku rakietowego zginęła Nika Kożuszko. Miała 18 lat, choć już zdążyła ujawnić artystyczny geniusz – jej wiersze, obrazy i grafiki, projekty teatralne imponowały swoją oryginalnością i jakością, zapowiadając znakomitą przyszłość. Jej śmierć uświadomiła, jak wiele ta wojna niszczy, nie tylko unicestwiając życie, ale także pozbawiając świat niepowstałych wierszy, powieści, sztuk teatralnych, obrazów. Coraz częściej mówi się o Nowym rozstrzelanym odrodzeniu i setkach poległych artystów, jak Kożuszko, Stecyk, Wiktoria Amelina, Maksym Krywcow.

Najpierw spadły szyldy

Odpowiedzią na spektakl śmierci jest twórczość. W pierwszym roku wojny, po załamaniu życia kulturalnego w Ukrainie, jak podliczyło ministerstwo kultury, przygotowano „tylko" 230 premier teatralnych, w 2024 r. – już 580, czyli niemal tyle, co przed wojną (w 2019 r. naliczono ich 690). Mimo wojny państwo i samorządy dofinansowują kulturę i teatr; w 2024 r. wydatki budżetu państwa na scenę osiągnęły 1,3 mld hrywien, a samorządów – 2,145 mld (to mniej więcej tyle, ile na swoje teatry wydaje Warszawa).

Ta wojenna twórczość to także tygiel wielkiej kulturowej przemiany pod znakiem dekolonizacji. Teatr im. Łesi Ukrainki, w którym Grzegorz Jarzyna wystawił „Kass-Andrę", do lutego 2022 r. nosił miano teatru dramatu rosyjskiego i grał po rosyjsku, podobnie jak wiele innych w Ukrainie. Na scenie praktycznie nie istniała ukraińska klasyka i dramaturgia – uznawane za nieatrakcyjne albo prowincjonalne. Synonimem nowoczesności był teatr rosyjski; Moskwa była miejscem nauki najwybitniejszych ukraińskich aktorów i wielu reżyserów. To postkolonialne zauroczenie kulturą imperium zniknęło 24 lutego 2022 r. Wraz z rosyjskimi bombami spadły szyldy nawiązujące do dramatu rosyjskiego, rozpoczął się Puszkinopad, czyli usuwanie z przestrzeni publicznej pomników symbolizujących imperialną dominację, ustawa dekolonizacyjna narzuciła obowiązek ukrainizacji nazw ulic i miejscowości, z księgarń i sceny zniknął język rosyjski.

Lektura magazynu „Ukraiński Teatr" pokazuje jednak, że zmienione szyldy i repertuary to tylko część dynamiki owej kulturowej transformacji. Pełna jest ona napięć. Dawni rusofile próbują zasłonić błędy młodości. Esteci oskarżają bardziej awangardowych reżyserów o komercjalizację i tiktokizację teatru. Coraz głośniej podnoszone są kwestie przemocy w instytucjach. A młodzi reżyserzy chcieliby przegonić starych. Grzegorz Jarzyna z sentymentem wspomina lata 90. w Polsce i okres, który Piotr Gruszczyński nazwał „ojcobójstwem" – procesem zmiany, jakiej w polskim teatrze dokonali ówcześni trzydziestolatkowie. Dziś ukraińscy trzydziestolatkowie myślą o tym samym i w swojej asertywności nie wahają się sięgać do samego Jarzyny, pytając go: po coś tu przyjechał?

Dekolonizacji polegającej na ostatecznym zerwaniu z Rosją towarzyszy bowiem niechęć przed nową kolonizacją, do jakiej mogłoby doprowadzić zauroczenie Zachodem. A także – przekonanie o unikatowości wojennego doświadczenia Ukrainy, wobec którego przybysze z zewnątrz, również artyści, mają być bezradni.

Wyraził to doskonale poeta, pisarz i żołnierz Artur Droń w bestsellerze „Hemingway o niczym nie wiedział". Przekonuje, że istota tego, co się dzieje w Ukrainie, jest nieuchwytna – a więc i niemożliwa do wyrażenia przez artystów, którzy nawet gdy przyjeżdżają na linię frontu, to jednak w każdej chwili mogą spakować walizkę i po przekroczeniu granicy odetchnąć z ulgą. Tymczasem ta wojna jest epickim starciem o wszystko. Droń, Żadan, Lubka zamiast walizek spakowali plecaki i założyli mundury, wiedząc, że walczą o przetrwanie państwa, narodu i jego kultury.

Uniwersalność klasyki

Roman Pawłowski-Felberg, wraz z Jarzyną współautor tekstu-scenariusza „Kass-Andry", nie zgadza się z ostrością poglądu Dronia: – *Nasz projekt miał potwierdzić, że klasyczne teksty kultury przez swą uniwersalną wartość są w stanie posłużyć za wehikuł uruchamiający współczesną wyobraźnię, umożliwiając zrozumienie aktualnej kondycji. Wojna w Ukrainie to kolejne powtórzenie wzoru, jaki wszedł do kultury poprzez mit o matce wszystkich wojen, wojnie trojańskiej. Dlatego tytuł spektaklu postanowiliśmy zapisywać w grece.*

Być może Jarzyna i Pawłowski nie mają bezpośredniego dostępu do ukraińskiego doświadczenia i nigdy go w pełni nie zrozumieją, ale teksty Homera, Eurypidesa, Ajschylosa i ich przetworzenia przez Jeana-Paula Sartre'a i Łesię Ukrainkę stały się dobrym medium pracy z ukraińskimi artystami. – *Słuchaliśmy się wzajemnie z wielką uwagą, jeszcze nigdy nie pracowałem w takim skupieniu, z taką intensywnością, tak wielką empatią i poczuciem miłosnego wręcz zaufania* – podkreśla Jarzyna.

Do samego końca do gry wprowadzane były modyfikacje, by uniknąć nieporozumień i ryzyka przekroczenia granicy wrażliwości zarówno aktorów, jak i publiczności przy zachowaniu integralności zamiaru artystycznego. A publiczność „Kass-Andrę" przyjęła z entuzjazmem. Pierwszą recenzję napisał w serwisie Espresso Mykoła Kniażycki, deputowany do Rady Najwyższej i przewodniczący ukraińsko-polskiej grupy międzyparlamentarnej. Zachwycił się zarówno mistrzowską grą aktorską, pracą reżyserską, jak i niezwykłym rozmachem scenicznym i scenograficznym. A że jest politykiem z frakcji opozycyjnej do obozu władzy, nie poskąpił komentarzy politycznych.

Najwyraźniej wojna i teatr to kontynuacja polityki, tylko innymi środkami. I tak już od antyku. By to zrozumieć, warto pojechać do Kijowa.

EDWIN BENDYK

„Kass-Andra" (oryg. „ΚΑΣΣ_ΑΝΔΡΑ"), spektakl Grzegorza Jarzyny i Romana Pawłowskiego-Felberga na podstawie tekstów klasycznych, w reż. Grzegorza Jarzyny, został wyprodukowany wspólnie przez Narodowy Akademicki Teatr Dramatyczny im. Łesi Ukrainki i Narodowy Akademicki Teatr Dramatyczny im. Iwana Franki.

eprasa.pl 59dca094ab

FELIETON

Passent



Kawusia

W radiowej Jedynce od pokalanego poczęcia aż po czas „za komuny" czy „za PiS-u" lubiłam słuchać komunikatów o stanie wód. Stan wody we Włodawie porządkował sprawy, dawał punkt odniesienia. Kilka lat temu wreszcie odwiedziłam to miejsce nad Bugiem i choć przyroda zachwyca, to bliskość Sobiboru i bezrobocie we Włodawie szybko zweryfikowały mój dziecięcy realizm magiczny.

Radiem publicznym tarmoszą kolejne grupy polityczne, ale nikt na szczęście nie usunął z anteny hydrologicznych komunikatów ani hejnału z Wieży Mariackiej. Stan wód jest mierzony i podawany, tyle że dawniej było stabilnie. Żyliśmy jak małżeństwo z alternatywnej wersji „Kamizelki" Bolesława Prusa – Mąż nie choruje, biedna Żona nie musi zasłaniać tragicznej prawdy. Prawie nie zdarzały się różnice w codziennych pomiarach – słuchało się tego jak menueta ze stałym metrum.

Rodzina mi się w dzieciństwie rozpadała, pojawiały się kolejne dwóje z kartkówek, na szkolnym korytarzu Renia i Sandra odwracały się ode mnie plecami, wredny Jareczek nie pożyczył bloku rysunkowego, zaliczałam sportowe porażki. Ale to nic, bo stan wody we Włodawie trwał przy wskaźniku. Wracało się do domu, a tam w radiu terapia – uspokajający głos spikera. Czasem chór takowych głosów, dochodzący z otwartych okien sąsiadów z ulicy.

> Jesteśmy jak załoga flaczejącego balonu, która by dryfować, musi pozbywać się wydatków. Z czego wy rezygnujecie?

Radia analogowe ludzie często trzymali w kuchni pod oknem. A kuchnię wietrzyli z oparów kapuśniaku, więc dźwięki komunikatu wyfruwały, nie plamiąc zazdrostek.

Dziś poziom wody na polskich rzekach opada szybciej niż złudzenia co do zamiarów administracji obłąkanego Trumpa i jego naspidowanych pigułami i manią chciwości gangsterów. Jadąc tramwajem przez mój ukochany Most Poniatowskiego, boję się patrzeć na Wisłę. Kiedyś to była oryginalna przygoda – zatrzymać się kajakiem czy łódką na jakiejś łasze, rozbić namiocik, a teraz koryto coraz suchsze i wszędzie łachy.

W drugiej kadencji amerykański przywódca coraz bardziej upodabnia się do Putina. Im dłużej Putin mocuje się z codzienną anihilacją narodu ukraińskiego, im więcej morduje chłopców rosyjskich i nieświadomych niczego wojowników sprowadzanych do Rosji z Azji czy Afryki, tym bardziej roztrzęsiony jest Donald, który obiecał pokój w dwa dni. Putin nie może pokonać „malutkiej" Ukrainy, a Trump nie może pokonać cywilizacji perskiej wielkimi bombami. A jeśli chodzi o geografię, to się okazało, że cieśnin nie da się tak po prostu zamykać siłą.

Giną amerykańscy żołnierze, a rasista i katotalib Hegseth wyhodował już całą armię zbuntowanych weteranów i wojskowych obserwujących, jak mści się na kobietach i Afroamerykanach, którym blokuje awanse. Geopolityczne sukcesy armii Trumpa to wyklejanki na mapach i pisanki na globusach. Amerykanie dobrze wiedzą, że historia ich państwa stoi na zagładzie rdzennych mieszkańców, więc zmienianie nazw stanów czy jezior nie dość, że jest żałosnym „krindżem", to obraża uczucia kolejnych grup etnicznych i sąsiadów z Kanady.

Do regularnych hydrokomunikatów radiowych, których słucham, doszły te o cenie paliw. Prowadzić budżet uczyłam się w domu, zapisując wieczorem każdy wydatek z danego dnia. Taki rytuał; może zamiast pacierza? Babcia Maria i mój ojciec prowadzili takowe, i to nawet w czasach „gospodarki marksistowskiej". Ja nadal tak robię – jakże nieciekawa, acz przerażająca dziś ta moja diarystyka. Nie to co Jerzy Andrzejewski – w jego „Zapiskach prywatnych" a to hercklekoty, bo Mareczek Hłasko go odtrąca, a to piwa wieczorem brakuje. A u mnie stoi, że tuż po wakacjach o złotówkę podrożał każdy rodzaj chleba w piekarni. Gdy na sociale wjechał filmik Donalda Tuska prezentujący w pierwszym kadrze naszego wodza z kubkiem kawy, byłam przekonana, iż zakomunikuje nam, że zrobił to, co ja pół roku temu: przerzucił się z kawy z drzewa kawowego na kawę z żołędzi. Kiedyś czytałam o żołędziówce w partyzanckich wspomnieniach...

Poza milionerami i utuczonymi kradzionymi milionami z afer politykami wszyscy Polacy przez miniony rok musieli z czegoś rezygnować. Jesteśmy jak załoga flaczejącego balonu, która by dryfować, musi pozbywać się wydatków. Z czego wy rezygnujecie? Z dzieci, z rodzinnego wyjazdu? U mnie prócz kawy na liście są już oczywiście słodycze, ciasta, miód, całkowita rezygnacja z wina, podróże samolotem, koncerty. Bardzo źle znoszę powrót do większej liczby służbowych spotkań online – staram się nie ruszać auta poza woźeniem dziecka na zajęcia dodatkowe i zawody. W podobnej sytuacji są również amerykańscy Republikanie. Ilu z nich będzie wolało przeczekać te dwa lata, zaciskając pasa i patrząc, jak umierają bez ubezpieczenia najsłabsi rodacy, byle tylko nie głosować na niebiesko? I pytanie do Mariusza Błaszczaka i Władysława Kosiniaka-Kamysza, którzy tak chętnie wydawali pieniądze na wszelkie pojazdy i wozy: czym i za co będziemy je tankowali w powietrzu i na ziemi? Dorzućcie żołnierzom menażki na zbożówkę.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 59dca094ab



Keine Freude

Na początku transformacji ustrojowej w „Gazecie Wyborczej" ukazało się satyryczne miniopowiadanie. Bohaterem był Niemiec, który w odległej przyszłości przyjeżdża do Polski „za chlebem". Polskie reformy gospodarcze odniosły taki sukces, że Niemcy nam zazdroszczą bogactwa. Bohater błąka się od jednej wypasionej podwarszawskiej willi do drugiej, ale nigdzie nie mają dla niego pracy. W finale odchodzi, mamrocząc przekleństwa pod adresem „polnische Wirtschaft".

W 1990 r. ten humor był całkowicie absurdalny. Wtedy to moje pokolenie jeździło „na saksy", bo dorywcze zajęcia pozwalały Polakowi w ciągu miesiąca w Niemczech zarobić więcej niż w Polsce przez rok. Najwięksi pracusie wracali z takiego wyjazdu używanym samochodem, który stawał się obiektem podziwu i zazdrości na całym blokowisku. Dziesięcioletni Volkswagen był bardziej prestiżowym pojazdem od nowiuteńkiego Poloneza, choćby i takiego w topowej wersji z silnikiem Forda i fotelami Groclina.

Zachód był dla nas tak zaawansowany cywilizacyjnie, jakby to była inna planeta. Dotyczyło to szczególnie Niemiec, gdzie wszystko zdawało się funkcjonować jak w zegarku. W ówczesnej Francji, we Włoszech czy nawet Szwecji bywało z tym różnie, nie wszędzie mieli autostrady, nie wszędzie pociągi jeździły punktualnie, nie wszędzie chodniki były wysprzątane, ale zachodnie Niemcy wydawały się spełniać wszystkie kryteria dojrzałego społeczeństwa dobrobytu.

> My musieliśmy odbudować naszą gospodarkę prawie od zera. Niemcy naiwnie myśleli, że nie muszą tego robić.

Że poziom życia Polaków i Niemców kiedykolwiek się wyrówna, a nawet zblizy, to było wówczas nie do pomyślenia. A jednak dożyliśmy tak niezwykłych czasów. Podróż do Niemiec od dawna nie jest już wyprawą do wyższej cywilizacji, przeciwnie. Po przekroczeniu Odry lub Nysy żegnamy gładkie polskie autostrady, zaczynają się niemieckie wertepy. Lądowanie na którymś z rozsypujących się niemieckich lotnisk to też przykre doświadczenie dla podróżnika z Polski. A jak jeszcze spróbujemy skorzystać z ich kapryśnych pociągów, co to raz kursują, a raz nie, a z którego peronu, tego nie wie nawet zawiadowca – to po powrocie człowiek ma ochotę całować czyściuteńkie punktualne Pendolino i jego przemiły „dedykowany personel".

Ten stan trwa już od ładnych paru lat, ale do niedawna mogliśmy Niemcom zazdrościć przynajmniej ich sceny politycznej. U nas jak nie Pawłowicz, to Palikot, a u nich – zdawało się – stabilność, merytokracja i szacunek dla procedur. Ale to znów nieaktualne, tam już w wyborach ostatnio wygrywają skrajna prawica i skrajna lewica, mimo pozornych różnic jednako zakochane w Putinie.

Z opóźnieniem sięgnąłem po książkę Wolfganga Münchaua „Kaput: Koniec niemieckiego cudu gospodarczego", żeby to zrozumieć. Wyszła w 2025 r., ale na razie starzeje się świetnie. Jeśli nie daj Boże AfD wygra wybory federalne, „Kaput" wróci na listy bestsellerów, bo doskonale wyjaśnia, jak Niemcy same się wpakowały w czarną dziurę.

Niemiecka demokracja była chora od dziesięcioleci, tylko do niedawna udawało się pudrować ropiejące rany. W innych krajach narzekamy na korupcję typu „obrotowe drzwi" (politycy po odejściu z urzędu przechodzą do biznesu jako lobbyści), ale w Niemczech nigdy żadnych drzwi nie było. Politycy otwarcie reprezentowali różne branże, np. Gerhard Schroeder miał ksywkę „Autokanzler", bo był kanclerzem koncernów motoryzacyjnych. Stąd jego prorosyjskość – priorytetem dla niego było sprzedawanie Mercedesów kremlowskim oligarchom.

My musieliśmy odbudować naszą gospodarkę prawie od zera. Niemcy naiwnie myśleli, że nie muszą tego robić. Przespali cyfryzację, elektromobilność i globalizację, a energetykę jądrową wygasili z głupiej arogancji. Politycy z partii Zielonych w młodości protestowali przeciw atomowi, więc gdy doszli do władzy, spełnili dawne marzenia, niczym starszy pan kupujący sobie samochód sportowy w ramach kryzysu wieku średniego. A koalicjanci pozwolili im na to w przekonaniu, że Niemców stać na drogi prąd.

Przeciętny niemiecki wyborca ma więc powody, żeby uważać, że partie głównego nurtu oferują mieszaninę niekompetencji z korupcją. W wielu miejscowościach nie działa 5G, bo politycy powtarzali, że „nie ma sensu dbać o szybki internet w każdej chatce" (to cytat!). Bez sensu okablowali kraj miedzianymi przewodami zamiast światłowodem, więc ze stacjonarnymi łączami też bywa krucho. Nieremontowana od lat infrastruktura dosłownie się wali, co chwila nagle trzeba zamykać jakiś most. Niemieckie szkoły uczą zanikających zawodów, a nie przyszłościowych (np. szkolą serwisantów samochodów spalinowych, a nie elektrycznych). Państwo nie jest zdolne do reformy, bo wszelkie zmiany są blokowane przez potężne grupy nacisku.

Münchau niestety nie przedstawia żadnych propozycji – w epilogu podkreśla, że to jest książka o tym, co się stało, a nie o tym, co trzeba zrobić. Szkoda. Tu nie ma miejsca na Schadenfreude. Jasne, Niemcy sami się o to proszą, przez tyle lat uwielbiali wszystkich pouczać. Ale jak pójdą na dno, pociągną za sobą całą Unię, z nami w pierwszej kolejności.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 59dca094ab

FELIETON

Chutnik Plebanek



Człowiek jako czasownik

Szczęśliwi ludzie, którzy wiedzą, kim są. W poważnych wiadomościach występowała ostatnio pani podpisana prosto i bez żadnych wątpliwości „influencerka". Profesja pożądana, bo kojarzy się z bogactwem i sławą. Ale nie o życie zawodowe tu chodzi, tylko o tożsamość. Mamy słabość do ludzi, którzy nie potrafią się zdecydować, kim właściwie są. Pisarz? Tak. Filmowiec? Oczywiście. Poeta? Bywa. Filozof? Trochę. Wydawca? Koniecznie.

Stefan Themerson, awangardowy twórca, powiedział o sobie, że wydaje mu się, że w ogóle nie jest rzeczownikiem. „Jestem czasownikiem. Przez miliardy lat nie byłem, potem zacząłem się dziać, teraz się dzieję i wkrótce przestanę się dziać. To są cechy czasownika, nie rzeczownika". On sam należał właśnie do tego rodzaju twórców, którzy zamiast wybrać jedną dziedzinę i cierpliwie budować w niej pozycję, postanowili sprawdzić, co się stanie, kiedy wszystkie wrzuci się do jednego garnka i trochę zamiesza. Był przede wszystkim ciekawski. Interesowało go nie tyle tworzenie kolejnych dzieł, ile sprawdzanie, co się stanie, kiedy lekko przesuniemy granicę tego, co już znamy. Z żoną Franciszką, również artystką, wymyślili np. *bestlookers*, w opozycji do bestsellerów. Książka nie musi świetnie się sprzedawać, żeby była ważna. Wystarczy, że jest również ciekawa graficznie i niesztampowa.

Może nie powinno nas dziwić pojemne określenie „influencer"? Może to nowa forma twórczości? I to dobrze płatna!

Themersonowie w ogóle byli nieufni wobec języka. Nic dziwnego, że interesowało ich rozbieranie słów na części i sprawdzanie, co można z nimi zrobić. W Londynie, dokąd trafili po wojnie, założyli wydawnictwo Gaberbocchus Press, które przez ponad trzy dekady publikowało literaturę eksperymentalną, filozoficzną i artystyczną. Forma, typografia, ilustracja i sposób, w jaki książka trafiała do czytelnika, były częścią doświadczenia. Stawały się czasownikami, bo zmieniały się w zależności od tego, jak odbierali je inni.

Ciekawym tropem jest rozwijający się kierunek „liberatury", która zaczyna się tam, gdzie książka przestaje być przezroczystym opakowaniem dla tekstu. W tym sposobie myślenia o literaturze forma książki staje się częścią opowieści. W Polsce jednym z najważniejszych takich twórców jest Radosław Nowakowski. Jego „Traktat o rąbaniu drewna" pokazuje, jak bardzo materialność książki może być częścią literackiego doświadczenia. Zenon Fajfer w „Oka-leczeniu" prowadzi czytelnika dalej – tekst i jego fizyczna forma są ze sobą tak splecione, że nie można ich rozdzielić. Książka sama jest utworem.

Stanisław Szukalski, wybitny, wszechstronny, niedoceniony w Polsce twórca, pisał: „Nie »studiujcie« niczego, nie teoretyzujcie, nie eksperymentujcie (eksperymentują tylko ci, co już przekonali się, że nie mają talentu, że są zbukami). Po prostu tylko pracujcie. A pracowitość da wam wszystek potrzebny rozsądek, który rozkwitnie w Mądrość (...) Wystarczy chcieć, by BYĆ!" (w: „On kochał Polskę. Listy Stanisława Szukalskiego do Mariana Konarskiego z lat 1950–1987").

Szukalskiego, który żył i tworzył przez prawie sto lat na dwóch kontynentach, określa się mianem rzeźbiarza, malarza, rysownika, twórcy zermatyzmu. Jednak rzeczowniki nie oddają twórczego żywiołu postaci o pseudonimie „Stach z Warty". Czasowniki Szukalskiego to: pracować, nie słuchać krytyków (nazywał ich idiotami), nie podlizywać się. Za to ostatnie zapłacił wysoką cenę. Odważny do szaleństwa, niepokorny, bezkompromisowy, byłby umarł w zapomnieniu, gdyby nie wielbiciele jego twórczości, a wśród nich Leonardo DiCaprio, producent filmu „Struggle: The Life and Lost Art of Szukalski" w reż. Ireneusza Dobrowolskiego. W Gdyni znajduje się muzeum prac Stacha z Warty.

Mamy dziś wiele słów opisujących ludzi, którzy nie mieszczą się w jednej specjalizacji: multidyscyplinarność, artystyczne hybrydy, twórczość międzygatunkowa. Themersonowie prawdopodobnie wzruszyliby ramionami. Nie potrzebowali tej terminologii, by robić to, co ich interesowało. Jednego dnia pisali, drugiego robili film, zajmowali się wydawaniem książek, wymyślając przy okazji kolejną zabawę z językiem. Nie wyglądało to na brak zdecydowania. Przeciwnie, raczej była to niezgoda na „rzeczownikowość świata". Podobnie Szukalski. Gdy klepał biedę i nie stać go było na pracownię, rzeźbił w kuchni między garnkami.

Może więc nie powinno dziwić pojemne określenie „influencer"? Może to nowa forma twórczości? Themerson twierdził, że najciekawsze rzeczy zaczynają się wtedy, kiedy nie wiadomo, czym właściwie są. Na naszych oczach tworzy się nowa kategoria artystycznej multiekspresji, i to po raz pierwszy w historii sztuki dobrze płatna! Ważniejsze staje się to, co robimy pomiędzy słowami. Themerson miałby tu zapewne sporo do powiedzenia: skoro człowiek jest czasownikiem, to nie musi się definiować. Może się zmieniać i zaczynać od nowa. A skoro tak, to influencer wpływa, przetwarza i wprawia rzeczy w ruch, a więc tworzy. Ale właściwie co? No cóż, najciekawsze rzeczy zaczynają się wtedy, kiedy jeszcze nie mają swojej nazwy.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 59dca094ab



Choroba wieńcowa posła Macierewicza

Planowałem napisać o konflikcie wokół Trybunału Konstytucyjnego, niestety muszę poruszyć temat jeszcze bardziej bulwersujący. Chodzi o niesłuszne oskarżenia pod adresem ludzi wyglądających jak Antoni Macierewicz; w tych dniach jednemu z nich zarzucono, że po miesięcznicy smoleńskiej włamał się do rowerowego wózka i ukradł wieniec za 800 zł.

Dowodem jest film, na którym zdaniem policji jeden ze sprawców jest Macierewiczem lub kimś do niego podobnym. Tylko jak odróżnić Macierewicza od kogoś, kto go na filmie przypomina, bo chyba nie po wyglądzie? „Jeśli ktoś wygląda jak Antoni Macierewicz, to jest Antonim Macierewiczem" – stwierdza minister Siemoniak. Trudno się z tym zgodzić; żyjemy w wolnym kraju i każdy, kto nie jest Macierewiczem, ma prawo wyglądać na filmie, jak chce. Nikt nie ma prawa drugiej osobie zarzucać kradzieży wieńca tylko dlatego, że wygląda jak Macierewicz, zwłaszcza że tej kradzieży mógł przecież dokonać Macierewicz, który na filmie stara się udawać, że nie jest sobą, tylko kimś, kto siebie do złudzenia przypomina.

Oczywiście jeśli ktoś jest podobny do Macierewicza, łatwo go oskarżyć o różne rzeczy, ale nie dajmy sobie wmówić, że wszystkich czynów zarzucanych Macierewiczowi dopuszczają się ludzie podobni do niego. Według mnie na dokonanie niektórych z tych czynów mógłby wpaść tylko Macierewicz. A zresztą dlaczego ktoś podobny do Macierewicza miałby kraść wieniec po miesięcznicy smoleńskiej, na której nie było nikogo podobnego do Macierewicza, był za to Macierewicz?

W odróżnieniu od ludzi podobnych do Macierewicza, których dramat widzi mało kto, sytuacja w Trybunale Konstytucyjnym jest jak koń, który jaki jest – każdy widzi. Dlatego do przywrócenia w TK normalności i praworządności minister Żurek zamierza użyć sędziego Berka, nie wyklucza także użycia policji.

Wejście do Trybunału grupy wybranych przez Sejm sędziów nie tylko nie przywróciło tam normalności, ale pogłębiło nienormalność. Może wejście Berka lub grupy funkcjonariuszy ją przywróci. Chociaż w opinii ekspertów w celu wprowadzenia w TK normalności konieczne jest wyprowadzenie prezesa Święczkowskiego. Nie wiem, czy w starciu z dobrze zbudowanym Święczkowskim normalność, praworządność i Berek nie stoją na przegranej pozycji. Jakie szanse na wyprowadzenie go ma policja, trudno powiedzieć. Mówiąc po piłkarsku: o ostatecznym wyniku może przesądzić dyspozycja dnia.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 59dca094ab



Prowadząca debatę Katarzyna Czarnecka oraz jej goście (od lewej)**: prof. Szymon Malinowski z Instytutu Geofizyki Wydziału Fizyki UW, Maria Andrzejewska z UNEP/GRID-Warszawa, Marcin Grądzki z Urzędu m.st. Warszawy i dr Justyna Orłowska z Ministerstwa Klimatu i Środowiska**

Nowoczesne miasta

Czwarte spotkanie, zorganizowane przez portal naukowy POLITYKI, pulsar.pl z cyklu „Podróż po wiedzę" za nami. Dyskusja w Centrum Nauki Kopernik była pełna (zielonej) energii i przyniosła odpowiedzi na pytania o to, jak miasta – szczególnie Warszawa – w trosce o zdrowie mieszkańców adaptują się do skutków antropogenicznych zmian klimatycznych. Zaproszeni przez nas eksperci potwierdzili, że zarówno władze samorządowe, jak i centralne są coraz bardziej świadome wyzwań, jakie przed nimi stoją, oraz tego, że aby im sprostać, muszą wsłuchiwać się uważnie w głos naukowców. Wszyscy jednak wiedzą, że wiele problemów wciąż pozostaje do rozwiązania, a działania trzeba przyspieszyć. (Zapis audio rozmowy można znaleźć na stronie: www.projektpulsar.pl).

O miastach – tym razem z perspektywy architektonicznej i urbanistycznej – będziemy też rozmawiać w Lublinie. Na spotkanie „Alfabet przestrzeni. Miasta w obliczu zawirowań klimatycznych" serdecznie zapraszamy 20 października (wtorek) do ACKiM UMCS Chatka Żaka w Lublinie (przy ul. Idziego Radziszewskiego 16). Start o godz. 18.

Sponsorem cyklu spotkań „Podróż po wiedzę" jest Enea.

Felieton starego subiekta

Mniej więcej od połowy lat 80. czytam POLITYKĘ i tym samym oczywiście także teksty jej felietonistów. Gatunek felietonu wciąż pozostaje w naszym kraju popularny, przez co dość wielu autorów/autorek próbuje sił w tej dziedzinie. „Rasowych" felietonistów jest jednak w mojej ocenie niewielu – w przypadku POLITYKI (licząc od lat 80.) bez wahania zaliczyłbym do tego grona Daniela Passenta, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Jerzego Pilcha i Ludwika Stommę. Wszyscy oni już nie żyją, przy czym wyjątkowym fenomenem w tym gronie był oczywiście Daniel Passent (ze względu na bardzo długi okres jego aktywności felietonistycznej przy zachowaniu doskonałej formy pisarskiej aż do samego końca). Mam wrażenie, że obecnie tę tradycję felietonistyki w POLITYCE najlepiej kontynuuje Wojciech Orliński. Jego ostatni tekst „Felieton starego subiekta" jest jednym z najlepszych felietonów, jakie czytałem w całym swoim życiu (a były ich setki).

PIOTR KENDZIOREK

William Zdobywca

Artykuł Łukasza Wójcika „Kadry z przeszłości" (POLITYKA 38) znakomicie opisuje losy „Tkaniny z Bayeux", ale trudno zaakceptować w nim określenie władcy, który podbił Anglię jako Wilhelma Zdobywcę. Nie ma angielskiego króla o tym imieniu. Książę Normandii Guillaume po koronacji w Westminsterze w historiografii brytyjskiej zyskał imię William. Znajomy angielski profesor z Anglii, gdy powiedziałem, że w polskiej historiografii czterej królowie angielscy określani są imieniem Wilhelm, zareagował z oburzeniem: „Nadajecie niemieckie imię królowi mojego kraju?".


HISTORIA
SIHIC WILLELM DVX
IN MAGNO NAVIGIO

Pierwszy raz od ponad 950 lat Anglicy mogą oglądać tzw. Tkaninę z Bayeux u siebie. Francuzi wypożyczyli im to arcydzieło romanizmu na rok, ale czy powinno wrócić do Francji?

Kadry z przeszłości

ŁUKASZ WÓJCIK

Imię William w polszczyźnie jest odmienialne, wymowa nie sprawia kłopotu. Więc po co ten Wilhelm? Jeśli już, to może przemianować Wiliamsburg, noszący imię Williama III, na Wilhelmsburg? A co będzie, gdy obecny następca tronu książę William zostanie królem? Czy przemianujemy go na Wilhelma?

WOJCIECH LIPOŃSKI, POZNAŃ

Od autora:

Trudno nie zgodzić się z argumentami pana Wojciecha. Miejmy nadzieję, że William zdobędzie w końcu również i polską historiografię. Ja sam czuję się już podbity tą ideą.

ŁUKASZ WÓJCIK

© MARIOLA GALEWSKA

eprasa.pl 59dca094ab

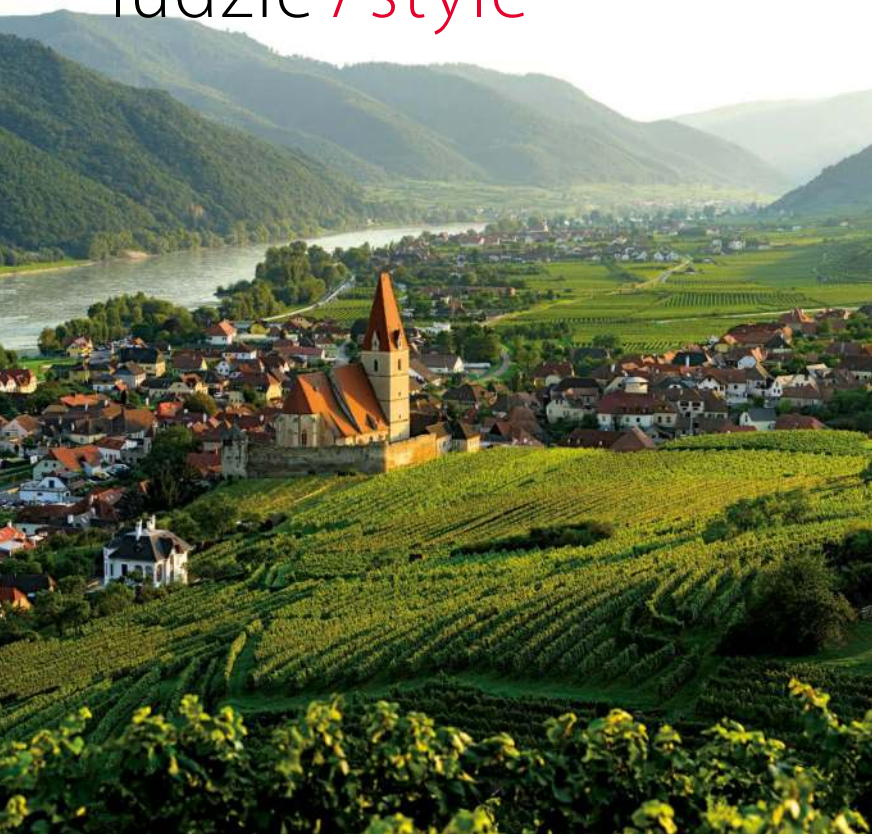

Dłużej klasztora...

Historia wina to też historia Kościoła. Zresztą, w wielu miejscach mnisi nadal robią wino. I to jakie!

WINO

Do rozległego parterowego domu wchodziło się przez zadbany trawnik, a w środku na gości czekał wysmakowany skandynawski minimalizm. Na metalowej półce dizajnerskie kieliszki, na kontuarze z tekowego drewna równo poustawiane butelki, za przesuwnymi drzwiami z matowego szkła geometryczne białe kartony z charakterystycznym logo. Wokół biegał pies, Hanna Hirtzberger nalewała, jedno po drugim, grüner veltlinera i rieslinga. Skrzące się od owocu, wyraziste, przenikliwe, w pełni zasługujące na swoje miejsce w czołówce nowoczesnych win z Wachau. Moją uwagę przykuły jednak kościelne motywy i nazwy na etykietach. Każda z nich ozdobiona była bowiem biskupim herbem. – *Uprawiamy działki należące dawniej do klasztoru augustynów w Sankt Florian* – odparła Hanna.

Sama nazwa winiarni: Weinhofmeisterei nawiązuje do budynku klasztornej przetwórni, gdzie przez stulecia fermentowano winogronowy sok. (Dziś mieści się tam najlepsza w Wachau restauracja). To żaden ewenement, tysiąc lat temu praktycznie wszystkie winnice w Austrii należały do Kościoła. Winorodne doliny zasiedliły zakony przybyłe z Bawarii. Całe **Wachau** było podzielone pomiędzy potężne opactwa znajdujące się w Melk, Göttweig i Tegernsee. Wina w beczkach spławiano Dunajem z portu w miasteczku Krems, które w XII w. było dzięki temu bogatsze niż Wiedeń – i biło nawet własny pieniądz.

Produkcję wina na wielką skalę rozpoczęli w 1098 r. cystersi w swoim modelowym opactwie w Cluny w Burgundii. Trunek powstawał na potrzeby liturgii i codziennej konsumpcji, ale stał się też dla zakonu intratnym przedmiotem handlu. Wszędzie więc, gdzie zakładano klasztory, powstawały też winnice. Tak było również w Dolnej Austrii – przykładowo w Gobelsburgu wino powstaje nieprzerwanie od 850 lat. Jeszcze w 1996 r. robili je sami mnisi z klasztoru w Zwettl, a opat Bertrand uchodził za znakomitego winiarza. Dopiero w tym roku zakon oddał świeckim w dzierżawę posiadłość, która dziś uchodzi za jedną z najlepszych nie tylko w Austrii.

Podobnie długą winną tradycją może się pochwalić węgierski klasztor dominikanów w Pannonhalmie, założony w 996 r. Tu też po zatrudnieniu profesjonalnej ekipy – pierwotnie pod wodzą słynnego enologa Tibora Gála – produkcję unowocześniono, wybudowano nową przetwórnię za unijne pieniądze, a dziś butelki z kolorowymi etykietami cieszą podniebienia zarówno pielgrzymów, jak i koneserów w nieodległym Budapeszcie.

Nawet w naszym Kazimierzu Dolnym dominikanie od 15 lat butelkują (po stuleciach przerwy, bo robili to od średniowiecza) swoje wina – można ich próbować na miejscu, po 9 zł za kieliszek. Zaś na włościach klasztoru o.o. kamedułów w Krakowie powstała jedna z pierwszych – i przez kilka lat największa w Polsce – Winnica Srebrna Góra.

Choć w XVIII w. wiele kościelnych majątków w północnej i środkowej Europie zsekularyzowano, zaskakująco wiele winnic wciąż należy do Kościoła. Współpraca pomiędzy mnichami a światem zewnętrznym przybiera czasem zaskakujące formy. W 1969 r. grecki winiarz Evangelos Tsantalis wybrał się na pielgrzymkę na świętą górę Athos. Przez lata był to zamknięty, niedostępny obszar – do dziś zresztą funkcjonuje tu na wpół niezależna republika prawosławnych mnichów (aby się dostać na półwysep, trzeba uzyskać specjalną kościelną wizę, ze względów religijnych nie wpuszcza się kobiet). Tsantalisa w czasie wędrówki po górskich ścieżkach zaskoczyła burza; schronienie znalazł w klasztorze Metochi Chromitsa. Dostrzegł tam zarośnięte tarasy, gdzie onegdaj rosyjscy pustelnicy na własne potrzeby uprawiali winorośl. Oczarowany tym miejscem, zaproponował mnichom, że znowu wyprodukuje z niej wino, a wpływy będzie przeznaczał na renowację klasztoru. I tak po raz pierwszy wino z góry Athos ujrzało świat zewnętrzny... ■



Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Winnica św. Jakuba Iacobus Zweigelt, 89 zł (na miejscu)
Abbazia di Novacella Valle Isarco Sylvaner, 99 zł (vinieaffini.pl)
Pannonhalmi Apátsági Hemina, 104,99 zł (rafa-wino.pl)
Schloss Gobelsburg Langenlois Grüner Veltliner, 115 zł (vinoteka13.pl)
Tsantali Mount Athos Metochi Chromitsa, 115 zł (winagrecji.pl)

© MARTIN ZWICK/REDA/GETTY IMAGES, RAFAŁ MASŁOW, TVN, YOUTUBE.COM/@FILIPCHAJZERPODCAST

eprasa.pl 59dca094ab

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Filip Chajzer już po ślubie. Gratulacje. Teściowa nie dotarła. To arcytrudny ruch w szachach. Zdobycie hetmana i zbicie piona.

▼

Kinga Duda swoim Jaguarem wbiła się w barierki na trasie S7 pod Kielcami. Policja pouczyła ją, że tak nie wypada. To zrozumiałe. Kinga nie przysięgała na Kodeks drogowy: „Tak mi dopomóż Bóg".

▼

Miłosz Kłeczek, prawoskrzydłowy napastnik TV Republika, z ograniczonym zakazem wstępu na teren Sejmu. Miłosz chciał być jak ojciec Pio z Pietrelciny. W dwóch telewizjach naraz.

▼

Skolim został twarzą kampanii Radia VOX FM. Stacja była kiedyś siecią rozgłośni diecezjalnych, więc z miłosierdziem przyjmą teksty ambasadora. Jak ten, że: „Liczy się hajs i dobre ruch...nie".

▼

5 października w Polsacie zadebiutuje program „Wieczór Rymanowskiego". Od czasu rozmowy z prof. Grażyną Cichosz trafniejsza byłaby nazwa „Zmierzch".

▼

Marianna Schreiber ogłosiła, że jest bezrobotna i nie może znaleźć pracy. To ten moment, kiedy niewidzialna ręka rynku staje się widzialna.

▼

„Mateusz Banasiuk gorzko podsumował Kościół: Celibat przyczynia się do pedofilii". Kiedyś przeczytałem, że celibat to w zakonie krzyżackim tradycja przechodząca z ojca na syna.

▼

Eksszef „Super Expressu" Sławomir Jastrzębowski współpracował z szefem Zondacrypto. Szok. Jego akurat podejrzewałbym wyłącznie o aferę związaną z pieniędzmi z komunii.

▼

Mariusz Pudzianowski przemówił: „Biedny jest tylko leń". To prawda. A bieda daje duże poczucie stabilizacji finansowej.

▼

Ilona Felicjańska chce wejść do polityki przy pomocy Mariana Banasia: „Uwiódł mnie silny kręgosłup moralny Mariana". Silny, stabilny i do wynajęcia na godziny. Jak kamienica w Krakowie.

▼

Patryk Vega opatentował autorską dietę bez wody. „Woda jest najgorszą zmorą człowieka", wyznał. To prawda. Najlepiej jej lanie widać w jego filmach.

▼

„Jak zdradzi mężczyzna, to kapelusz mu z głowy nie spadnie. Ale kobieta jak zdradzi, to już nie wolno". To Don Vasyl. System myślowy niepełny. Nie precyzuje roli kapelusza w analizie drugiego przypadku.

▼

Amazon wyemitował serial o influencerkach „Girls of Warsaw". Znakomity niczym „Lalka". Pokazuje zderzenie bogacącego się mieszczaństwa z nierozumiejącą świata przeszłością.

▼

Zbigniew Boniek o Radku Majdanie: „Niech robi najlepiej to, co potrafi, czyli być dodatkiem do Małgosi na ściankach". Jak mawiał klasyk: „Mecz zaczyna się za 15 minut, a wynik ciągle ten sam".

▼

Maria Prokop w rozmowie z Pomponikiem opowiedziała, że nowego ukochanego poznała w aplikacji randkowej. I całość trwała 5 sekund. Długo. Ja w 2 sekundy zrozumiałem Prokopa.

▼

„Nasza wcześniejsza obecność w Dywizji A była ponad stan" – to Robert Lewandowski. To prawda. Nasi jak się zmobilizują, to potrafią przegrać z zespołem na dowolną literę.

▼

„Najlepsi pracownicy mojej firmy są z Polski" – miał powiedzieć Donald Trump do Pauliny Krupińskiej w 2013 r. Jak patrzę na zachowanie niektórych polityków PiS, to dziś jest podobnie.

Filip Chajzer zaprosił małżonkę Biankę Chajzer do podkastu Filipa Chajzera. Dobry pomysł. To w podkastach poznają się ludzie, którzy się nie znają.



eprasa.pl 59dca094ab

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Scenariusze Kwaśniewskiego

W studiu POLITYKI kolejny raz gościł były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Indagowany przez redaktora naczelnego Jerzego Baczyńskiego, analizuje, co się może wydarzyć jesienią i zimą na froncie w Ukrainie i na styku naszych granic. Scenariusze są dwa, jak mówi Kwaśniewski, „jeden z nich wykracza poza naszą wyobraźnię". Ale rozmowę zaczynamy nieco lżej – od narodowego sporu o ekranizacje „Lalki" Prusa.



Ciało na OIOM-ie

Wskutek pisma od prokuratora Szpital św. Anny w Miechowie przez niemal tydzień wspomagał oddech nieżyjącej już pacjentki. A wicemarszałek z PiS z sąsiedniego regionu próbował przekazać ciało innemu szpitalowi... do dalszego leczenia. **Zgon potwierdzono ponad wszelką wątpliwość, więc dlaczego nie przerwano terapii? Tę nieprawdopodobną historię opisuje na polityka.pl reporter Zbigniew Borek.**

Czy powinniśmy się bać AfD?

Czy Niemcy straszą Polską i czy należy się bać AfD, która odnosi coraz więcej wyborczych sukcesów – to tematy najnowszego odcinka podkastu „Polskie demo" POLITYKI i Fundacji Batorego.



Prof. Sebastian Płóciennik z Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej opowiada, jak zmieniają się nasze relacje, jak się za Odrą pisze o Polsce (z uznaniem) i dlaczego Niemcy tak chętnie powierzają władzę prawicy.



Afera po interwencji

Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak jest kompetentna, a mimo to zalicza wpadkę za wpadką. Po jej interwencji na warszawskim przystanku, zakończonej odebraniem dzieci rodzicom, w sieci wybuchła awantura. **„Jak to się stało, że urząd, który mógł być jednym z polskich symboli narodowych, stał się swoją własną karykaturą?" – pyta na naszej stronie Martyna Bunda. Sprawa nie jest taka oczywista.**



Zagadki Kanarów

W podkaście historycznym zgłębiamy tym razem dzieje Wysp Kanaryjskich. Co wiadomo o tym miejscu, tak chętnie odwiedzanym w wakacje i po sezonie? Kim byli ludzie, których Europejczycy tu zastali, dlaczego utracili nagle umiejętność budowania statków i żeglowania (to jedna z największych zagadek tego regionu)? **Opowiada Michał Kuźniar, autor książki „Królowie Wysp Kanaryjskich" i bloga „Mroczne Wieki".**

© LESZEK ZYCH (2), SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ, DAWID ZUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 59dca094ab

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 59dca094ab

KRAJ KONTRASTÓW I RÓŻNORODNOŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 59dca094ab